



DANIELLE STEEL
SKOK W NIEZNANE



Rozdział pierwszy

Marie-Ange Hawkins leżała w wysokiej trawie pod wielkim, starym drzewem, słuchając śpiewu ptaków i obserwując pierzaste białe chmurki, leniwie sunące po niebie w ten słoneczny sierpniowy ranek. Uwielbiała swój ogród, wypełniony nieco sennym brzęczeniem pszczoł i zapachem kwiatów, i bardzo lubiła spędzać czas właśnie w tym miejscu, z apetytem chrupiąc dojrzewające jabłka. Marie-Ange żyła w bezpiecznym, spokojnym świecie, otoczona kochającymi ją ludźmi. Latem zawsze cieszyła się całkowitą swobodą. Przez całe jedenaście lat swojego życia mieszkała tutaj, w Chateau de Marmouton, i właściwie odkąd nauczyła się chodzić, poznawała lasy i wzgórze wokół zamku, najpierw z rodzicami lub nianią, potem sama albo z bratem. W upalne dni z rozkoszą brodziła w przecinającym posiadłość strumieniu. W stajniach i oborach było dużo miejsca dla koni i krów, a trochę poniżej zamku, na terenie starej farmy, stała prawdziwa, wielka stodoła. Pracujący na farmie mężczyźni zawsze uśmiechali się na jej widok i machali do niej wesoło. Marie-Ange była roześmianym, pogodnym dzieckiem o niezależnym charakterze. Przez większą część dnia biegała boso po ogrodzie i sadzie, zbierając jabłka oraz brzoskwinie i napychając owocami kieszenie fartuszka.

- Wyglądasz jak małe Cyganiątko! - z uśmiechem upominała ją matka.

Françoise Hawkins uwielbiała swoje dzieci i była dla nich cudowną matką. Jej syn Robert przyszedł na świat zaraz po wojnie, w jedenaście miesięcy po ślubie z Johnem Hawkinsem. Mniej więcej w tym samym czasie John założył firmę zajmującą się eksportem win i w ciągu pięciu lat zbił prawdziwy majątek. Kiedy Robert był małym chłopcem, Hawkinsowie kupili Château de Marmouton, gdzie urodziła się Marie-Ange. Dziewczynka chodziła teraz do tej samej miejscowej szkoły, którą niedawno ukończył Robert. We wrześniu, dokładnie za miesiąc, Robert wyjeżdżał do Paryża, aby zacząć studia na Sorbonie. Miał studiować ekonomię, a po uzyskaniu dyplomu planował podjąć pracę w firmie ojca, która zdążyła się już bardzo rozrosnąć. Sam John był zaskoczony tempem rozwoju przedsiębiorstwa oraz sukcesem, jaki odniosło na rynku. Dzięki jego wysiłkom cała rodzina żyła w doskonałych warunkach, ciesząc się dobrobytem i spokojem. Françoise była bardzo dumna z Johna. Zawsze wierzyła w niego i darzyła go nie tylko ogromnym uczuciem, ale także szacunkiem. Historia ich miłości była po prostu niezwykła.

W ostatnich miesiącach wojny amerykański żołnierz John Hawkins został zrzucony ze spadochronem na terytorium Francji i złamał nogę, lądując na drzewie w środku małej farmy należącej do rodziców Françoise. Młoda dziewczyna i jej matka były wtedy same, ponieważ ojciec Françoise pojechał na tajne spotkanie lokalnej komórki francuskiego ruchu oporu

Résistance. Kobiety ukryły Johna na strychu. Françoise miała wtedy szesnaście lat i wysoki, przystojny Amerykanin o wspaniałym poczuciu humoru oraz swobodnym sposobie bycia całkowicie ją zauroczył. Dopiero trochę później dowiedziała się, że John był od niej zaledwie cztery lata starszy i podobnie jak ona wychowywał się na rodzinnej farmie na Środkowym Zachodzie. Matka dziewczyny nie spuszczała obojga młodych z oka, ponieważ obawiała się, że Françoise zakocha się w Amerykaninie i popełni jakieś głupstwo. Szybko jednak

zorientowała się, że John traktuje jej córkę z ogromnym szacunkiem i darzy ją szczerym uczuciem. Françoise uczyła Johna francuskiego, a on dawał jej lekcje angielskiego, i prawie co wieczór prowadzili na strychu długie rozmowy, dzięki czemu z każdym dniem coraz lepiej się poznawali. Nigdy nie ośmielili się zapalić lampy czy świecy, ponieważ doskonale wiedzieli, co stałoby się, gdyby Niemcy odkryli obecność amerykańskiego żołnierza. John spędził na farmie cztery miesiące, a kiedy wyjechał, serce Françoise o mało nie pękło z bólu. Ojciec i jego przyjaciele z Résistance zdołali przeprowadzić Johna do strefy, która została już zajęta przez wojska amerykańskie, a niedługo potem młody człowiek wziął udział w wyzwoleniu Paryża. Obiecał dziewczynie, że po nią wróci i ona ani przez chwilę nie wątpiła, iż spełni dane jej przyrzeczenie.

Rodzice Françoise zginęli tuż przed ostatecznym oswobodzeniem Francji i dziewczyna wyjechała do Paryża, aby zamieszkać u swoich krewnych. Nie miała żadnej możliwości, by skontaktować się z Johnem, ponieważ adres, który jej zostawił, zaginął w ogólnym chaosie. Nie przyszło jej też do głowy, że John może przebywać w Paryżu. Dopiero później się okazało, że gdy Françoise mieszkała w pobliżu Boulevard Saint-Germain, John był zakwaterowany zaledwie kilka ulic dalej.

Niedługo potem John został odesłany do Stanów, gdzie zwolniono go z czynnej służby wojskowej. Wrócił do rodzinnego domu w stanie Iowa. Jego rodzina również przeżywała trudne chwile. Ojciec zginął w walkach o Guam i chłopak musiał zająć się farmą, aby zapewnić utrzymanie matce, siostrom oraz braciom. Natychmiast po przybyciu do Stanów napisał do Françoise, ale jego listy pozostawały bez odpowiedzi. Żaden z nich nie dotarł do Françoise. Dopiero po dwóch latach John zdołał zaoszczędzić dość pieniędzy, by wrócić do Francji i spróbować odszukać dziewczynę, której nie był w stanie zapomnieć. Kiedy jednak dotarł na miejsce, odkrył, że farma rodziców Françoise została sprzedana, a w jej domu mieszkali

obcy ludzie. Sąsiedzi nie potrafili powiedzieć Johnowi nic poza tym, że rodzice Françoise zginęli, a ona wyjechała do Paryża.

John podążył tym śladem. Wykorzystał wszelkie możliwe drogi, usiłując odnaleźć Françoise za pośrednictwem policji oraz Czerwonego Krzyża, przeglądając listy osób studiujących na Sorbonie, a także w innych paryskich szkołach wyższych. Jego wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów. I wreszcie, kiedy w przeddzień wyjazdu do Stanów, zrezygnowany siedział w małej kawiarence na lewym brzegu, nagle ujrzał idącą powoli Françoise. Łał rzęsisty deszcz, a ona szła ze spuszczoną głową, pograżona najwyraźniej w niewesołych myślach. W pierwszej chwili pomyślał, że to na pewno jakaś obca dziewczyna podobna do

Françoise, niemniej wybiegł z kawiarni, wymyślając sobie od naiwnych głupców, i chwycił ją za ramię. Dziewczyna odwróciła się i wątpliwości Johna rozwiały się w jednej chwili. Stała przed nim Françoise. Na jego widok rozpląkała się i zarzuciła mu ręce na szyję.

Spędzili wieczór w domu jej kuzynów, następnego dnia zaś John wyjechał do Stanów. Korespondowali ze sobą przez cały następny rok, a potem John wrócił do Paryża, tym razem już na stałe. W dwa tygodnie później wzięli ślub. Françoise miała dziewiętnaście lat, John dwadzieścia trzy. W ciągu dziewiętnastu lat małżeństwa nie rozstali się nawet na jeden dzień. Po narodzinach Roberta wyprowadzili się z Paryża, postanowili jednak zostać we Francji, ponieważ John szybko doszedł do wniosku, że czuje się tu o wiele lepiej niż w Iowa. Oboje uznali, że najwyraźniej właśnie tak miały potoczyć się ich losy i zawsze, gdy opowiadali swoją historię, uśmiechali się do siebie porozumiewawczo. Przyjaciele i znajomi uważali, że wszystko to było wyjątkowo romantyczne, Marie-Ange zaś po prostu uwielbiała tę opowieść.

Marie-Ange nigdy nie poznała nikogo z krewnych swojego ojca. Jego rodzice zmarli przed jej przyjściem na świat,

podobnie jak obaj jego bracia. Jedna z sióstr umarła parę lat wcześniej, druga zaś zginęła w wypadku samochodowym, kiedy Marie-Ange była niemowlęciem. Jediną żyjącą krewną Johna była ciotka jego ojca, lecz ze sposobu, w jaki o niej mówił, Marie-Ange bez trudu wywnioskowała, że nie darzył jej zbytnią sympatią. Nikt z rodziny Johna nigdy nie odwiedził go we Francji. Marie-Ange nieraz słyszała, jak ojciec mówił, że kiedy postanowił zostać we Francji, jego bliscy uznali go za szaleńca. Kuzyni Françoise, u których mieszkała zaraz po wojnie, zginęli w katastrofie samolotowej, kiedy Marie-Ange miała trzy lata, tak więc poza rodzicami i bratem, oraz mieszkającą w Stanach stryjeczną babką, której John wyraźnie nie znosił, dziewczynka nie miała nikogo. Ojciec powiedział kiedyś Marie-Ange, że jego jedyna pozostała przy życiu krewna jest kobietą twardą, niesympatyczną i pozbawioną wszelkiej wrażliwości, i właśnie z powodu tych jej cech nigdy nawet nie próbował utrzymywać z nią kontaktu. Marie-Ange nie bardzo rozumiała, co ojciec ma na myśli, lecz instynktownie czuła, że jego antypatia do nieznannej krewnej nie jest pozbawiona podstaw. Na szczęście dziewczynka nigdy nie odczuwała, że czegoś jej brak. Jej życie było pełne, a bliscy traktowali ją jak źródło prawdziwej radości i żywy symbol błogosławieństwa. Nawet jej imię świadczyło o tym, że uważali ją za anioła. Wszyscy wokół tak właśnie o niej myśleli, nawet Robert, brat, który czasami bardzo lubił się z nią drażnić.

Marie-Ange wiedziała, że będzie bardzo tęsknić za Robertem, ale Françoise obiecała, iż będzie często zabierała ją do Paryża. John mniej więcej raz na miesiąc jeździł tam w interesach, a Françoise zawsze mu towarzyszyła. Oboje uwielbiali takie jedno- lub dwudniowe wypady do Paryża. Marie-Ange i Robert zostawali wtedy w domu pod opieką Sophie, starej gospodyni, która pracowała u nich od wczesnego dzieciństwa Roberta. Sophie przeprowadziła się wraz z rodziną Hawkinsów do Château de Marmouton i mieszkała w małym domku na terenie

posiadłości. Marie-Ange bardzo lubiła ją odwiedzać i podczas tych wizyt z radością popijała świeżo zaparzoną herbatę oraz pogryzała ciasteczka, które Sophie piekła specjalnie dla niej.

Życie Marie-Ange było idealne pod każdym względem. Miała takie dzieciństwo, o jakim większość ludzi jedynie marzy. Cieszyła się wolnością, miłością, poczuciem bezpieczeństwa i mieszkała w pięknym starym zamku, zupełnie jak prawdziwa księżniczka. A kiedy wkładała jedną ze swych uroczych sukienek, które Françoise przywoziła jej z Paryża, nawet wyglądała jak księżniczka, tak w każdym razie utrzymywał John. Skrupulatnie dodawał jednak, że kiedy Marie-Ange biega po polach i ogrodach boso i wspina się na drzewa, bezlitośnie drąc spódniczki i fartuszki, robi wrażenie raczej sierotki lub elfa niż dobrze wychowanej panienki.

- Co dzisiaj zbroiłaś, mała? - zapytał Robert, gdy przyszedł po Marie-Ange tuż przed lunchem.

Sophie była już za stara, aby uganiać się za dziewczynką, więc Françoise wysłała po córkę Roberta, który doskonale znał wszystkie ulubione miejsca i kryjówki siostry.

- Nic.

Cała buzia Marie-Ange wysmarowana była mięszem brzoskwiń, a w kieszonkach fartuszka grzechotały pestki owoców. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do brata. Robert był wysoki i jasnowłosy, podobnie jak ich ojciec, a także Marie-Ange. Dziewczynka miała twarz aniołka, błękitne oczy i jasne loki. Tylko Françoise miała ciemne włosy i duże, aksamitne brązowe oczy. John często mawiał, że chciałby, aby mieli jeszcze jedno dziecko, które odziedziczyłoby urodę po Françoise, choć zdawał sobie sprawę, że chociaż Marie-Ange zewnątrznie podobna jest do niego, wiele cech charakteru, między innymi poczucie humoru i skłonność do żartów, wzięła po matce.

- Mama mówi, że najwyższy czas, abyś wróciła na lunch - oświadczył Robert, prowadząc Marie-Ange przed sobą niczym niesforenego żrebaka.

Nie chciał się do tego przyznać, ale w głębi serca świetnie wiedział, że w Paryżu będzie bardzo tęsknił za młodszą siostrą. Odkąd Marie-Ange zrobiła pierwszy krok, zawsze chodziła za nim jak piesek.

- Nie jestem głodna - odparła z szerokim uśmiechem.

- Oczywiście że nie, bo przez cały dzień napychasz się owocami. Bardzo się dziwię, że nie boli cię po nich brzuch.

- Sophie uważa, że powinnam jeść owoce.

- Ale lunch także. Chodź już, mała, tata za chwilę wróci do domu. Musisz umyć buzię i włożyć buty.

Wziął ją za rękę, a ona posłusznie szła z nim, żartując i podskakując niczym małe, rozbrykane zwierzątko.

Na widok córki z piersi Françoise wyrwał się cichy jęk.

- Marie-Ange, dziś rano włożyłaś nową sukienkę - powiedziała. - Teraz jest w strzępach.

Françoise zawsze rozmawiała z córką po francusku. Tylko John mówił do niej po angielsku, lecz mimo to dziewczynka posługiwała się jego ojczystym językiem prawie zupełnie płynnie, chociaż z wyraźnym akcentem.

Françoise przewróciła oczami z udawaną rozpaczą, ale nie robiła wrażenia zdenerwowanej. Psoty Marie-Ange najczęściej doprowadzały ją do wybuchów śmiechu, nie gniewu.

- Nie, maman, podarł się tylko fartuszek - zapewniła ją Marie-Ange. - Sukience nic się nie stało.

- Dzięki Bogu za drobne taski. Teraz idź, umyj buzię i ręce, i nie zapomnij włożyć butów. Sophie ci pomoże.

Starsza kobieta w spranej czarnej sukni, przewiązana obszernym białym fartuchem poszła z Marie-Ange do jej pokoju, który znajdował się na najwyższym piętrze. Sophie wspinała się na schody powoli i z wyraźnym wysiłkiem, ale za żadne skarby świata nie zrezygnowałaby z obowiązku

dopilnowania dziewczynki. Kochała Marie-Ange całym sercem i bardzo ją rozpieszczała. Opiekowała się Robertem od najwcześniejszego dzieciństwa i była zachwycona, kiedy siedem lat później na świat przyszła Marie-Ange. Sophie uwielbiała wszystkich Hawkinsów i traktowała ich jak własne dzieci. Miała wprawdzie córkę, lecz ta mieszkała w dalekiej Normandii, więc widywały się bardzo rzadko. Sophie za nic by się nie przyznała, ale, Bogiem a prawdą, była bardziej przywiązana do Hawkinsów niż do własnej córki. Teraz, podobnie jak Marie-Ange, z niechęcią i smutkiem myślała o nieuniknionym wyjeździe Roberta. Powtarzała sobie często, że jej kochany chłopiec musi rozpocząć studia, a ona będzie przygotowywała dla niego wszystkie jego ulubione przysmaki, kiedy będzie wracał do domu na święta i wakacje.

John zastanawiał się kiedyś, czy Robert nie powinien pojechać do Stanów i tam studiować przez rok na jednym z najlepszych uniwersytetów, lecz Françoise nie była zachwycona tym projektem, a i sam Robert przyznał w końcu, że nie ma ochoty opuszczać Francji. Bardzo kochał rodziców i siostrę, miał też wielu bliskich przyjaciół, z których większość mieszkała w okolicy Château de Marmouton. Nawet wyjazd do Paryża był dla niego ciężką próbą, a poza tym, podobnie jak matka i siostra, był Francuzem z krwi i kości, chociaż jego ojciec urodził się i wychował w Stanach.

Kiedy Marie-Ange zeszła do kuchni, John siedział już przy stole. Françoise właśnie napełniła jego szklaneczkę winem, nalewając również nieco mniej dla Roberta. Hawkinsowie pili wino do każdego posiłku i czasami nawet Marie-Ange dostawała kilka kropel rozcieńczonych wodą. John szybko i bez trudu przystosował się do francuskiego stylu życia. Od wielu lat doskonale mówił po francusku, lecz w rozmowach z dziećmi posługiwał się angielskim, pragnąc, aby go dobrze znały. Dzięki temu Robert mówił po angielsku prawie bez śladu obcego akcentu.

Rozmowa przy stole była jak zwykle bardzo ożywiona. John i Robert dyskutowali o sprawach firmy, natomiast Françoise opowiedziała parę nowin z sąsiedztwa i pilnowała, aby Marie-Ange porządnie jadła i nie poplamiała świeżej sukienki. Rodzice pozwalali dziewczynce biegać swobodnie po polach i ogrodzie, lecz bardzo dbali o jej wychowanie, toteż Marie-Ange miała nienaganne maniery, które chętnie prezentowała, zwłaszcza wtedy, gdy miała na to ochotę.

- A co ty dzisiaj porabiałaś, moje maleństwo? - zapytał John, lekko targając dłonią gęste loki córki i rzucając porozumiewawczy uśmiech Françoise, która właśnie postawiła przed nim filiżankę mocnej kawy z ekspresu.

- Marie-Ange znowu okradała sad z owoców, tato - rzekł Robert, siląc się na karcący ton.

Siostra spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Robert mówi, że jeśli będę jadła za dużo owoców, to brzuch mnie rozboli, ale to nieprawda - oznajmiła z przekonaniem. - Po południu wybieram się z wizytą na farmę - dodała tonem młodej królowej, która zamierza odwiedzić poddanych.

Marie-Ange nie spotkała dotąd nikogo, kogo nie darzyłaby sympatią, ani też nikogo, kto od pierwszej chwili nie uległby jej urokowi. Była słodkim dzieckiem i kochali ją wszyscy, a szczególnie Robert. Siedmioletnia różnica wieku między rodzeństwem sprawiła, że nigdy nie było między nimi nawet cienia zazdrości.

- Ty też wracasz niedługo do szkoły - przypomniał jej ojciec. - Wakacje już się kończą.

Marie-Ange zmarszczyła lekko brwi. Koniec wakacji kojarzył się jej przede wszystkim z wyjazdem Roberta. Rodzice zdawali sobie sprawę, że dziewczynkę czekają trudne dni, nie mieli też wątpliwości, iż również dla Roberta pierwsze miesiące w Paryżu nie będą łatwe, chociaż jego tęsknotę przytłumić może nowy styl życia i ciekawość wielkiego miasta.

Rodzice znaleźli dla niego małe mieszkanie na lewym brzegu i chcieli urządzać go tam wygodnie jeszcze przed rozpoczęciem zajęć na Sorbonie. Françoise wysłała już do Paryża trochę mebli i kilka kufrów z rzeczami, które teraz czekały na Roberta w jego kawalerce.

W dzień wyjazdu Roberta Marie-Ange zerwała się z łóżka o świcie i pobiegła do ogrodu. Tuż przed śniadaniem Robert znalazł ją w jednej z kryjówek.

- Nie zjesz ze mną śniadania? - zapytał. Marie-Ange spojrzała na niego poważnie i pokręciła głową. Na policzkach miała ślady łez.

- Nie chcę - szepnęła.

- Nie możesz przecież siedzieć tutaj przez cały dzień. Chodź, mała. Napijemy się kawy z mlekiem.

Rodzice uważali, że Marie-Ange nie powinna jeszcze pić kawy, ale Robert zawsze pozwalał jej pociągnąć duży łyk ze swojej czarki. Częstoował ją także prawdziwym przysmakiem - moczonymi w kawie z mlekiem kostkami cukru, które podawał jej ukradkiem pod stołem. Marie-Ange wkładała je do ust i przybierała ekstatyczny wyraz twarzy, po czym pospiesznie przełykała smakołyk, aby Sophie nie zauważyła, co się dzieje.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał do Paryża - mruknęła, podnosząc na brata pełne łez oczy.

Robert łagodnie wziął ją za rękę i poszli w kierunku zamku, gdzie przy kuchennym stole czekali już na nich rodzice.

- Tak naprawdę wyjeżdżam na bardzo krótko - powiedział pocieszająco. - Przyjadę do domu na Wszystkich Świętych. - Była to pierwsza krótka przerwa w zajęciach na Sorbonie, lecz Marie-Ange miała wrażenie, że dzieli ją od niej całe wieki. - Nawet nie zdążysz za mną zatęsknić - ciągnął Robert. - Będziesz zbyt zajęta dręczeniem Sophie i rodziców, mały potworze. Poza tym spotkasz się przecież ze wszystkimi szkolnymi przyjaciółkami. Zobaczysz, ledwo mrugniesz okiem, a już będzie koniec października.

- Dlaczego w ogóle musisz uczyć się na tej głupiej Sorbonie?
- wymamrotała, ocierając oczy pokrytymi kurzem i sokiem z owoców rękami.

Robert spojrział na nią i wybuchnął głośnym śmiechem. Z brudną, poznaczoną ciemnymi smugami buzią wyglądała jak mały łobuziak. Pomyślał, że chyba jest trochę rozpieszczona. Nic dziwnego, przecież wszyscy kochali ją i pragnęli chronić przed całym złem tego świata. Marie-Ange była ukochanym dzieckiem swoich rodziców i najlepszą siostrą, jaką można by sobie wymarzyć.

- Muszę nauczyć się wielu pożytecznych rzeczy i skończyć studia, aby pomagać ojcu prowadzić firmę. Pewnego dnia ty także wyjedziesz na uczelnię, chyba że planujesz do końca życia łązić po drzewach. Przypuszczam, że tak naprawdę nie miałybyś nic przeciwko temu.

Marie-Ange uśmiechnęła się do brata przez łzy i usiadła obok niego przy stole.

Françoise ubrana była w elegancki granatowy kostium, który kupiła w Paryżu rok wcześniej, John zaś miał na sobie szare spodnie, blezer oraz ciemnoniebieski krawat od Hermesa - prezent od żony. Tworzyli piękną parę. Françoise miała trzydzieści osiem lat, lecz ze swoją dziewczęcą figurą i śliczną twarzą o delikatnych rysach wyglądała znacznie młodziej. John miał wrażenie, że jego żona nie zmieniła się ani trochę od dnia, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, natomiast Françoise, patrząc na niego, nadal widziała tego samego przystojnego, jasnowłosego chłopca, który wiele lat temu zapukał do drzwi jej rodzinnego domu.

- Musisz mi obiecać, że w czasie naszej nieobecności będziesz słuchała Sophie, Marie-Ange - powiedziała Françoise, udając, że nie widzi, jak Robert podsuwa siostrze pod stołem namoczoną w kawie kostkę cukru. - Trzymaj się blisko domu, żeby nie musiała cię szukać.

Marie-Ange za dwa dni zaczynała lekcje w szkole i matka miała nadzieję, że nowe zajęcia odwrócą uwagę dziewczynki od nieobecności brata.

- Tata i ja wrócimy w sobotę, kochanie - dodała. Ale bez Roberta, ze smutkiem pomyślała Marie-Ange. Nie wyobrażała sobie jak znieśie to rozstanie.

- Zadzwoń do ciebie z Paryża - obiecał Robert, poklepując ją po małej rączce.

- Będziesz dzwonił codziennie? - zapytała z nadzieją, patrząc na niego dużymi niebieskimi oczami, które były tak podobne do jego oczu i oczu ich ojca.

- Może nie codziennie, ale na pewno często - powiedział. - Większą część dnia będę zapewne spędzał na uniwersytecie, przynajmniej na początku, ale postaram się dzwonić parę razy w tygodniu.

Mniej więcej godzinę później uściskał ją, ucałował w oba policzki i wraz z rodzicami wsiadł do samochodu. Zanim zatrzasnął drzwi wozu, wcisnął Marie-Ange do ręki maleńką paczuszkę i powiedział, aby zawsze nosiła to, co w niej znajdzie. Kiedy samochód odjechał, dziewczynka stała na podjeździe obok Sophie, trzymając w dłoni prezent od brata. Obie machały na pożegnanie i płakały. Gdy wróciły do kuchni, Marie-Ange otworzyła paczuszkę. Wewnątrz znalazła mały złoty medalionik, w którym Robert z jednej strony umieścił swoje zdjęcie, a z drugiej fotografię rodziców. Marie-Ange natychmiast przypomniała sobie, że obydwa zdjęcia zrobione zostały podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Była zachwycona. Sophie pomogła jej założyć medalionik i zapięła delikatny złoty łańcuszek, na którym wisiał.

- Robert zrobił ci naprawdę piękny prezent - powiedziała Sophie, ocierając oczy i zbierając naczynia ze stołu.

Marie-Ange pobiegła do holu i stanęła przed dużym lustrem. Z uśmiechem przyjrzała się własnemu odbiciu, potem otworzyła medalionik i utkwiała wzrok w małych fotografiach. Serce

ścisnęło jej się ze smutku i nagle poczuła się bardzo samotna. Tęskniła nie tylko za Robertem, ale także za rodzicami. Przed odjazdem matka ucałowała ją serdecznie, a ojciec przytulił mocno, potargał jak zwykle jasne loki i obiecał, że w sobotę, zaraz po powrocie z Paryża, odbierze ją ze szkoły. Dziewczynka wiedziała, że za dwa dni zobaczy rodziców, lecz teraz dom bez nich i bez Roberta wydał jej się przygnębiająco pusty. Powoli poszła na górę, po drodze zaglądając do pokoju Roberta, i długo siedziała bez ruchu na swoim łóżku, myśląc o bracie, którego tak bardzo kochała.

Kiedy pół godziny później Sophie przyszła po Marie-Ange, dziewczynka nadal tkwiła w swoim pokoju, zagubiona i smutna.

- Chcesz pójść ze mną na farmę? - zapytała Sophie. - Muszę przynieść parę jajek i obiecałam, że zaniosę pani Fournier trochę ciasteczek.

Marie-Ange potrząsnęła głową. Tego ranka nawet wyprawa na farmę straciła dla niej wszelki urok. Potrafiła myśleć tylko o długiej jesieni i zimie w Marmouton bez Roberta. Sophie wiedziała, co czuje Marie-Ange, dlatego nie chciała nalegać na wspólny spacer.

- Wrócę przed lunchem, kochanie - powiedziała. - Zostań w ogrodzie, żebym nie musiała biegać za tobą po lesie, dobrze? Obiecujesz?

- Tak, Sophie - odparła posłusznie.

Nie zamierzała nigdzie się wybierać, po prostu nie miała na nic ochoty. Po wyjściu Sophie zeszła do ogrodu, ale szybko uznała, że nie ma tu co robić, postanowiła więc zapuścić się do sadu i mimo wszystko zebrać trochę jabłek. Miała nadzieję, że jeśli przyniesie ich w fartuszkach dość dużo, to Sophie da się namówić na upieczenie szarlotki.

Ale nawet Sophie wydawała się dziwnie pozbawiona humoru, kiedy w południe wróciła do zamku, aby przygotować zupę oraz Croque Madame dla Marie-Ange. Był to ulubiony lunch dziewczynki, lecz dzisiaj przełknęła tylko kilka kęsów, potem

zaś siedziała z wzrokiem utkwionym w talerzu, przesuując widelcem jedzenie. Obie były w nie najlepszym nastroju. Po lunchu Marie-Ange znowu poszła do sadu. Najpierw bez przekonania usiłowała wymyślić jakąś zabawę, a potem położyła się w trawie, patrząc w niebo i myśląc o Robercie. Leżała tak długo i dopiero późnym popołudniem wróciła do domu, jak zwykle bosa, potargana i brudna. Zbliżając się do zamku, zauważyła stojący na dziedzińcu samochód miejscowej żandarmerii, ale nawet to nie wzbudziło jej zaciekawienia. Policjanci z miasteczka dość często zaglądali do Château de Marmouton, aby przywitać się i zamienić parę słów z właścicielami majątku lub wypić zaparzoną przez Sophie pyszną kawę. Marie-Ange pomyślała, że prawdopodobnie policjanci wiedzą o nieobecności jej rodziców i postanowili sprawdzić, czy w zamku wszystko jest w porządku. Kiedy weszła do kuchni, Sophie siedziała przy stole naprzeciwko znajomego policjanta. Płakała. Marie-Ange poczuła leciutkie ukłucie niepokoju, ale zaraz doszła do wniosku, że Sophie na pewno opowiada oficerowi o wyjeździe Roberta. Ta myśl sprawiła, że dziewczynka szybko podniosła dłoń i dotknęła złotego medalionu. Nie zdjęła go przed wyjściem do ogrodu i chciała się upewnić, czy go nie zgubiła. Podeszła bliżej, a wtedy Sophie i policjant zamilkli. Staruszka spojrzała na Marie-Ange z tak wielką rozpaczą w oczach, że miała drgnęła, zaskoczona wyrazem twarzy opiekunki. W jednej chwili zrozumiała, że chodzi o coś znacznie ważniejszego niż wyjazd Roberta. Pomyślała, że może coś złego stało się córce Sophie, ale nie mogła się zdobyć, aby o to zapytać. Oboje dorośli milczeli, wpatrując się w nią. Marie-Ange zadrzała. Nie wiedziała, co robić. Wreszcie Sophie westchnęła ciężko i wyciągnęła do niej ramiona.

- Usiądź, skarbie - powiedziała i wzięła ją na kolana, chociaż już od dawna tego nie robiła, ponieważ jej podopieczna była niewiele mniejsza i lżejsza od niej.

Dziewczynka usiadła ostrożnie, zdumiona zachowaniem niani, i pozwoliła się przytulić.

Sophie pomyślała, że nigdy w życiu nie zdoła wydobyć z gardła słów, które musiała wypowiedzieć, słów, które dopiero przed chwilą usłyszała. Policjant spojrział na nią uważnie i zrozumiał, że to on będzie musiał przekazać Marie-Ange straszną wiadomość.

- Marie-Ange, posłuchaj... - zaczął i zaraz przerwał, przerażony i przytłoczony zadaniem, które go czekało.

Marie-Ange poczuła, że Sophie drży na całym ciele. Nagle zapragnęła zerwać się z kolan staruszki, zasłonić uszy dłońmi i wybiec z kuchni, uciec jak najdalej, wszystko jedno dokąd, byle tylko nie słuchać tego, co ci dwoje chcieli jej powiedzieć. Nie miała jednak dość sił, aby to zrobić...

- Na drodze do Paryża wydarzył się wypadek...

Marie-Ange wstrzymała oddech i usłyszała rozpaczliwie głośne, szybkie bicie swojego serca. Jaki wypadek? To niemożliwe, aby coś stało się jej najbliższym... A jednak ktoś musiał zostać ranny, skoro policjant przyjechał, żeby ją o tym zawiadomić... Całym sercem modliła się, aby ta wiadomość nie dotyczyła Roberta, nie biorąc nawet pod uwagę możliwości, że to jej rodzicom mogło przydarzyć się coś złego.

- Straszny wypadek - ciągnął oficer.

Poczuta, jak przerażenie podnosi się w niej wielką falą i zalewa ją całą, nie pozwalając odetchnąć.

- Twoi rodzice i brat...

Dziewczynka zeskoczyła z kolan Sophie i rzuciła się ku drzwiom, lecz mężczyzna złapał ją i przytrzymał za ramię. Nie chciał mówić Marie-Ange o tym, co się stało, ale wiedział, że nie ma wyjścia.

- Wszyscy troje zginęli godzinę temu. Ich samochód zderzył się z ciężarówką, która z nadmierną prędkością wypadła zza zakrętu. Ponieśli śmierć na miejscu. Zadzwonili do nas policjanci z drogówki...

Przerwał nagle, ponieważ Marie-Ange przestała się wyrywać i zamarała. Miała wrażenie, że serce lada chwila rozsadzi klatkę piersiową. Zegar tykał głośno i miała wrażenie, że odgłos ten narasta z każdą rytmicznie odmierzaną sekundą. Obrzuciła policjanta pełnym wściekłości spojrzeniem.

- To nieprawda! - krzyknęła. - Pan kłamie! Moi rodzice i Robert wcale nie zginęli w wypadku! Są teraz w Paryżu!

- Nie dojechali do Paryża - odparł ze smutkiem.

Z piersi Sophie wyrwał się głęboki szloch. W tej samej chwili Marie-Ange zaczęła się znowu szarpać, próbując oswobodzić się z mocnego uścisku. Mężczyzna puścił ją, ponieważ nie miał pojęcia, co robić. Wiedział tylko, że w żadnym wypadku nie chce sprawić jej jeszcze większego bólu. Dziewczynka z szybkością torpedy wypadła z kuchni i pobiegła w kierunku sadu. Policjant z bezradnym wyrazem twarzy odwrócił się do Sophie. Nie miał własnych dzieci i zlecone mu przez przełożonych zadanie przerastało jego siły.

- Może powinienem pójść za nią? - zapytał niepewnie.

Sophie potrząsnęła głową i otarła oczy rękawem fartucha.

- Trzeba zostawić ją teraz w spokoju. Za chwilę pójde do niej, ale musimy dać jej trochę czasu, aby przyjęła tę tragedię do wiadomości.

Staruszka nie była w stanie powstrzymać łez. Oplakiwała ludzi, którzy stali się dla niej tak bliscy jak własna rodzina i zastanawiała się, co stanie się teraz z Marie-Ange i z nią samą. Wszystko to razem po prostu nie mieściło jej się w głowie. Nie mogła znieść myśli, że John, Françoise i Robert nie żyją. Scena wypadku, którą opisał żandarm, była tak przerażająca, że w pewnym momencie Sophie zatkała sobie uszy. Miała tylko nadzieję, że żadne z nich nie cierpiało. A jaki los czeka jej ukochaną dziewczynkę po śmierci rodziców? Zapytała o to żandarma, lecz ten nie potrafił powiedzieć nic konkretnego. Wiedział, że komendant lokalnego posterunku ma przekazać

wiadomość o wypadku adwokatowi Hawkinsów, ale poza tym nie umiał udzielić odpowiedzi na pytania Sophie.

Zapadał już zmierzch, kiedy stara kobieta wyruszyła na poszukiwanie Marie-Ange. Nie szukała jej długo. Dziewczynka siedziała pod drzewem, z głową wspartą o kolana, i cicho płakała. Wyglądała jak całkowicie bezbronne, śmiertelnie zranione zwierzątko. Sophie bez słowa usiadła obok niej na ziemi.

- Taka była wola Boga, Marie-Ange - powiedziała po długiej chwili, ocierając łzy. - Zabrał ich do nieba.

- Nieprawda - oświadczyła dziewczynka. - A jeżeli rzeczywiście to zrobił, to nienawidzę go z całego serca.

- Nie mów tak - szepnęła Sophie, biorąc Marie-Ange w ramiona. - Musimy się za nich modlić...

Siedziały tak do późnego wieczora, płacząc razem i próbując się wzajemnie pocieszać. Sophie obejmowała dziewczynkę i kołysała ją lekko. Kiedy wreszcie wróciły do zamku, na dworze było już zupełnie ciemno. Staruszka prowadziła Marie-Ange za rękę, ponieważ mała robiła wrażenie kompletnie nieprzytomnej i co chwilę się potykała. Gdy dotarły do drzwi kuchni, dziewczynka przystanąła i podniosła na nią przerażone oczy.

- Co z nami teraz będzie? - zapytała szeptem. - Zostaniemy tutaj?

- Mam nadzieję, że tak, skarbie, ale na razie nic jeszcze nie wiem - odparła uczciwie Sophie.

Nie chciała składać obietnic, których potem nie będzie mogła dotrzymać. Nie miała pojęcia, jakie decyzje zostaną podjęte w sprawie przyszłości osieroconego dziecka. Wiedziała, że mała nie ma dziadków ani żadnych bliskich krewnych ze strony matki i ojca. Wprawdzie słyszała, że John ma w Stanach jakąś rodzinę, ale nikt nigdy nie odwiedzał mieszkających we Francji Hawkinsów. Sophie była pewna, że Marie-Ange została na świecie zupełnie sama.

Marie-Ange także zastanawiała się nad swoją przyszłością. Przerażała ją myśl, że teraz, od tej chwili będzie musiała żyć bez rodziców i Roberta. Miała wrażenie, że ginie, przytłoczona falą strachu, że tonie, opadając na dno bezdennej głębi. Jeszcze gorsza od wizji pustej przyszłości była świadomość, że już nigdy więcej nie ujrzy rodziców i brata. Jej bezpieczny, spokojny i ciepły świat skończył się bezpowrotnie. Czuła się tak, jakby umarła wraz ze swymi najbliższymi.

RS

Rozdział drugi

Pogrzeb odbył się w kaplicy w Marmouton. Z okolicznych farm i miasteczka przybyły na nabożeństwo tłumy przyjaciół i znajomych rodziców Marie-Ange, cała klasa Roberta oraz wszyscy pracownicy i biznesowi partnerzy firmy Hawkinsów. Najbliżsi sąsiedzi przygotowali gorący posiłek dla przybyłych, który podano w zamku. Potem wszyscy zaczęli się powoli rozchodzić, przygnębieni świadomością, że nie są w stanie zrobić nic, aby pocieszyć Marie-Ange i Sophie.

W dzień po pogrzebie do Marmouton przyjechał adwokat Johna, obarczony niełatwym zadaniem wyjaśnienia dziewczynce i jej opiekunce, jakie zmiany zajdą w ich życiu. Okazało się, że jedyną żyjącą krewną Marie-Ange jest ciotka jej ojca, Carole Collins, mieszkająca w Ameryce, w stanie Iowa. Marie-Ange przypomniała sobie, że słyszała o niej parę razy, pamiętała jednak także, iż ojciec nie mówił o swojej ciotce ze zbyt wielką sympatią. Carole nigdy nie odwiedziła bratanka we Francji, nigdy też nie korespondowali ze sobą, nic więc dziwnego, że Marie-Ange uważała ją za całkowicie obcą, nieznaną osobę.

Adwokat powiedział, że dzwonił już do Carole, która zgodziła się przyjąć Marie-Ange i zapewnić jej dach nad głową. Dodał, że sam zajmie się sprzedażą zamku oraz firmy Johna Hawkinsa, lecz jedenastoletnia dziewczynka nie miała pojęcia, co to właściwie oznacza. Ze słów adwokata wynikało, że ojciec zostawił pewne długi, które zostaną pokryte po sprzedaży posiadłości i przedsiębiorstwa, ale Marie-Ange i tego nie rozumiała zbyt dobrze, wpatrywała się więc tylko w mężczyznę szeroko otwartymi oczyma.

- Czy mała nie mogłaby zostać tutaj pod moją opieką? - zapytała Sophie przez lzy.

Prawnik pokręcił głową. Nie mógł pozwolić, aby dziecko zostało w tym domu tylko ze starą nianią. Wkrótce osoba

opiekująca się Marie-Ange stanie przed koniecznością podjęcia decyzji dotyczących wykształcenia i dalszego życia dziewczynki, i nie można było zakładać, że Sophie poradzi sobie z tego rodzaju sprawami. Pracownicy firmy Johna uprzedzili adwokata, że staruszka nie cieszy się dobrym zdrowiem, wydawało mu się więc, iż najlepiej będzie wysłać dziewczynkę do krewnej, która zajmie się nią i właściwie pokieruje jej życiem. Ani przez chwilę nie wątpił w dobrą wolę Sophie, uznał jednak, że schorowana kobieta najzwyczajniej w świecie nie da sobie rady z wychowaniem dziewczynki. Poinformował Sophie, że otrzyma dożywotnią pensję i z pewnym wzruszeniem zauważył, że wiadomość ta nie wywarła na kobiecie najmniejszego wrażenia. Sophie interesowała się wyłącznie przyszłością Marie-Ange i nie ukrywała ogromnego zaniepokojenia stanem swojej wychowanki. Od dnia śmierci rodziców i brata dziewczynka prawie nic nie jadła i rzadko się odzywała. Pograżona w nieukojonym bólu, całe dni spędzała w sadzie, leżąc w wysokiej trawie i wpatrując się w niebo.

- Jestem pewien, że twoja ciotka jest bardzo miłą osobą. - Adwokat zwrócił się do Marie-Ange, pragnąc uspokoić ją i dodać jej odwagi.

Dziewczynka patrzyła na niego bez słowa. Nie mogła przecież powiedzieć wyraźnie zakłopotanemu i poruszonemu całą sytuacją mężczyźnie, że jej ojciec uważał Carole Collins za ograniczoną i złośliwą kobietę. Marie-Ange miała poważne wątpliwości, czy ktoś taki rzeczywiście może okazać się „bardzo miłą osobą”.

- Kiedy chce ją pan tam wysłać? - zapytała Sophie, gdy mała wyszła do ogrodu.

Nie wyobrażała sobie, jak zniesie rozstanie z dzieckiem, które tak gorąco kochała.

- Pojutrze - odpowiedział, ze współczuciem patrząc na płaczącą kobietę. - Sam odwozę ją samochodem do Paryża i oddam pod opiekę stewardesie w samolocie lecącym do

Chicago. W Chicago Marie-Ange przesiądzie się na samolot do Fort Dodge, gdzie z lotniska odbierze ją któryś z pracowników jej krewnej. Pani Collins mieszka na tej samej farmie, gdzie dorastał John Hawkins - dodał z nadzieją, że jego słowa zdołają pocieszyć staruszkę.

Ale Sophie poniosła zbyt wielką stratę. Nie dość, że straciła Françoise i Johna, których podziwiała i kochała, a także chłopca, którym zajmowała się od jego najwcześniejszego dzieciństwa, to jeszcze lada chwila miała na długo, a być może na zawsze, rozstać się z dzieckiem, które uwielbiała. Marie-Ange była prawdziwym promykiem słońca dla wszystkich, którzy ją znali i żadna pensja nie mogła zrekompensować Sophie tej wielkiej straty. Czuła się tak, jakby miała stracić z oczu ukochaną wnuczkę, a uczucie to pogłębiała jeszcze świadomość, że jest teraz dziewczynce bardzo potrzebna. Marie-Ange była tak otwarta i pełna miłości, a los zadał jej tak okrutny cios...

- Skąd będziemy wiedzieć, czy ci ludzie są dla niej dobrzy? - zapytała z niepokojem. - A jeżeli nie będzie tam szczęśliwa?

- Mała nie ma wyboru - powiedział szczerze adwokat. - Carole Collins to jej jedyna krewna, madame. Marie-Ange musi z nią zamieszkać. Dobrze, że pani Collins chce się nią zaopiekować.

- Czy ta kobieta ma dzieci? - Sophie miała nadzieję, że może jej wychowanka znajdzie pocieszenie w towarzystwie rówieśników.

- Carole Collins jest starszą osobą, ale sprawia wrażenie myślącej bardzo trzeźwo i rozsądnie. Była zaskoczona moim telefonem, lecz po krótkim wahaniu zgodziła się przyjąć dziewczynkę pod swój dach. Uprzedziła mnie, że Marie-Ange powinna przywieźć ze sobą ciepłą odzież, ponieważ w Iowa zimy są dość surowe.

Jeśli chodzi o Sophie, to stan Iowa równie dobrze mógłby znajdować się na Księżycu. Jej wiedza o kraju rodzinnym Johna

Hawkinsa była bardzo skromna. Staruszka czuła tylko, że rozstanie z Marie-Ange złamie jej serce, spokojnie obiecała jednak adwokatowi, że zapakuje wszystkie ciepłe ubrania dziewczynki, a także drobiazgi znajdujące się w jej pokoju: zabawki, lalki oraz fotografie rodziców i Roberta. Chciała, aby dziewczynka mogła przynajmniej otoczyć się dobrze znanymi i lubianymi przedmiotami.

Zdołała zmieścić to wszystko w trzech dużych walizkach, a kiedy dwa dni później adwokat przyjechał po

Marie-Ange, nie powiedział ani słowa na temat znacznej ilości bagażu, jaki zabierała ze sobą mała dziewczynka. W milczeniu popatrzył na bladą i mizerną buzię dziecka, i serce ścisnęło mu się z bólu. Marie-Ange sprawiała wrażenie osoby, której los wymierzył tak potężny cios, że nie jest w stanie pojąć, co się wokół niej dzieje. Wyraz jej oczu wyraźnie świadczył o przeżytym wstrząsie i bezbrzeżnym cierpieniu, kiedy zaś rozplakała się w ramionach Sophie, prawnik miał wrażenie, że dziewczynka nie przeżyje tej ciężkiej chwili. Stał przez dziesięć minut, zmieszany i całkowicie bezradny wobec gorzkich łez starej kobiety i dziecka, zanim wreszcie ośmielił się ostrożnie dotknąć ramienia Marie-Ange.

- Musimy już jechać, moja droga. Nie chcesz chyba spóźnić się na samolot...

- Owszem, chcę - odparła z płaczem. - Wcale nie chcę lecieć do Ameryki. Wolę zostać tutaj.

Adwokat nie przypomniał jej, że zamek ma zostać wkrótce sprzedany, razem z meblami i całą zawartością. Było to jedyne rozsądne wyjście, ponieważ Marie-Ange była jeszcze zbyt młoda, aby nadal w nim mieszkać, nawet pod opieką osoby dorosłej. Życie dziewczynki w Chateau de Marmouton dobiegło końca i ona doskonale to wyczuwała. Rozejrzała się dookoła z rozpaczą w oczach, jakby próbowała zapamiętać ukochane miejsce. Sophie obiecała, że będzie codziennie pisać do Marie-Ange, lecz nawet to nie poprawiło nastroju dziecka.

Przekraczając próg domu, Marie-Ange płakała żałośnie, jej opiekunka także nie potrafiła powstrzymać łez. Kiedy samochód zniknął za bramą, staruszka osunęła się na kolana, szlochając głośno. Po długiej chwili podniosła się z trudem, wróciła do kuchni, zamknęła ją, po czym poszła do swego domku i spakowała rzeczy. Miejsce, gdzie mieszkała od tak wielu lat, pozostawiła idealnie czyste. Stała na progu, obejrzała się i wyszła na zalane ciepłym wrześnieowym słońcem podwórko. Już wcześniej umówiła się z przyjaciółmi z farmy, że przez pewien czas zamieszka u nich, potem zaś pojedzie do Normandii, gdzie czekała na nią córka.

Podczas długiej podróży do Paryża Marie-Ange nie odezwała się ani słowem. Początkowo adwokat próbował do niej zagadywać, lecz w końcu się poddał. Dziewczynka nie miała mu nic do powiedzenia, on zaś świetnie zdawał sobie sprawę, że nie ma takich słów, które mogłyby ukoić jej smutek. Mała będzie musiała nauczyć się żyć z cierpieniem i tęsknotą. Być może z czasem przywyknie do życia w amerykańskim stanie Iowa i odzyska równowagę. Był przekonany, że żadne dziecko nie może bez przerwy rozpaczać. Czas leczy nawet najgorsze rany, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, a więc kiedyś, może już wkrótce, Marie-Ange będzie znowu wesoła i pogodna.

Zatrzymali się na lunch, ale dziewczynka nie przełknęła ani kęsa, a kiedy później, już na lotnisku, adwokat chciał kupić jej lody, uprzejmie odmówiła. W popołudniowym świetle niebieskie oczy dziecka wydawały się po prostu ogromne, a okolona jasnymi lokami buzia była nienaturalnie biała. Sophie ubrała Marie-Ange w ładną, błękitną sukienkę z białymi pasami z przodu, którą Françoise kupiła dla córeczki w Paryżu, oraz w rozpinany sweterek w tym samym odcieniu. Na szyi miała złoty medalionik, ostatni prezent od brata. Przez głowę prawnika przebiegła myśl, że Marie-Ange bynajmniej nie wygląda na dziecko, które całe lato spędziło w sadzie i lesie, biegając boso i bawiąc się beztrosko. Przypominała raczej małą księżniczkę,

którą dotknęła wielka tragedia. Podprowadził ją do przejścia do samolotu i stał długo, patrząc w ślad za nią, ale nie odwróciła się, by mu pomachać. Wcześniej pożegnała się z nim grzecznie, uściśniła jego dłoń, po czym bez słowa poszła ze stewardesą, która miała opiekować się nią w czasie lotu do Chicago. Adwokat poprosił stewardesę na stronę i wyjaśnił jej, że dziewczynka straciła w wypadku całą rodzinę i teraz udaje się do krewnej w Iowa, więc teraz patrzyła na Marie-Ange z ogromnym współczuciem, gotowa przychylić jej nieba. Widziała, że mała jest bardzo nieszczęśliwa. Obiecała adwokatowi, że zajmie się nią i zadba, aby niczego jej nie brakowało, a po wylądowaniu w Chicago pomoże dziewczynce przesiąść się na następny samolot. Podziękował jej i z nadzieją pomyślał, że może Carole Collins zdoła przywrócić Marie-Ange spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Zaczekał na odlot samolotu do Chicago i dopiero wtedy wyruszył w długą drogę powrotną do Marmouton, pogrążony w myślach nie tylko o osieroconym dziecku, ale także o czekającej go ogromnej pracy. Musiał zająć się sprzedażą zamku, firmy Hawkinsów i wszystkiego, co posiadali, ze względu na Marie-Ange był wdzięczny losowi za to, że jej ojciec pozostawił swoje sprawy w idealnym porządku.

Marie-Ange nie spała prawie przez całą noc, wpatrując się w ciemność za oknem samolotu. Stewardesy musiały długo ją namawiać, aby zjadła mały kawałek kurczaka i trochę chleba. Poza tym dziewczynka nie tknęła niczego i ciągle milczała. Można było odnieść wrażenie, że widzi coś za oknem, ale przecież nie było tam nic, po prostu nic, nic, o czym mogłaby marzyć i nic, co mogłoby dać jej nową nadzieję. Marie-Ange miała zaledwie jedenaście lat, ale czuła się tak, jakby całe życie miała już za sobą. Kiedy wreszcie zamknęła oczy, ujrzała przed sobą twarze swoich najbliższych, tak wyraźne i żywe, jak na zamkniętych wewnątrz wisiorce zdjęciach. Miała też przy sobie fotografię Sophie oraz adres jej córki. Obiecała staruszce, że

napisze do niej zaraz po przyjeździe na farmę ciotki Carole, a Sophie ze łzami w oczach zapewniła ją, iż od razu odpowie na list.

W Chicago wylądowali o dziewiątej wieczorem czasu lokalnego i już w godzinę później Marie-Ange była w drodze do Iowa. O wpół do dwunastej samolot dotarł do Fort Dodge. Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność, więc dziewczynka nie widziała, jak wygląda małe lotnisko, wydawało jej się jednak, że teren dookoła niego jest zupełnie płaski i pozbawiony wszelkiej roślinności. Stewardesa sprowadziła ją po trapie i weszła z nią do niewielkiego budynku, gdzie czekał mężczyzna w kowbojskim kapeluszu o szerokim rondzie. Miał wąsy i poważne ciemne oczy, i kiedy przedstawił się stewardesie jako zarządca farmy Carole Collins, Marie-Ange ogarnął nagły lęk. Ciotka Carole dała mu list upoważniający do odbioru dziewczynki z lotniska, więc stewardesa po przeczytaniu go wręczyła mężczyźnie paszport małej. Potem pożegnała się z Marie-Ange i zarządca, wzięwszy dziecko za rękę, poszedł po bagaże. Wyraźnie zaskoczony liczbą i wielkością walizek, uśmiechnął się do dziewczynki.

- Dobrze, że wziąłem ciężarówkę, co? - powiedział żartobliwie.

Marie-Ange nie odpowiedziała. Mężczyzna pomyślał nagle, że może mała nie włada angielskim. W jego obecności tylko raz odezwała się do stewardesy i wtedy zorientował się, że mówi z wyraźnym francuskim akcentem. Nie zdziwiło go to, bo przecież wychowywała się we Francji i jej matka była Francuzką.

- Jesteś głodna? - zapytał, starając się dokładnie wymawiać słowa, aby bez trudu go zrozumiała.

Marie-Ange potrząsnęła głową. Nadal milczała.

Przywołał tragarza, który chwycił jedną walizę, sam zaś wziął dwie pozostałe. W drodze do samochodu powiedział dziewczynce, że nazywa się Tom i pracuje dla ciotki jej ojca,

Carole Collins. Marie-Ange wysłuchała tego w milczeniu i skinęła głową. Tom zaczął się zastanawiać, czy wstrząs spowodowany śmiercią rodziców i brata okazał się tak wielki, że pozbawił dziecko mowy, czy też mała jest po prostu bardzo nieśmiała. Na jej buzi malował się przejmujący smutek.

- Twoja ciotka jest dobrą kobietą - rzekł uspokajająco, włączając silnik.

Marie-Ange nie odpowiedziała. W głębi duszy nienawidziła ciotki Carole za to, że oderwała ją od domu i Sophie. Tak bardzo pragnęła zostać w Chateau de Marmouton, dałaby wszystko, byle tylko było to możliwe...

Jechali w milczeniu przez godzinę i kiedy w końcu Tom zjechał z autostrady na boczną drogę, dochodziła pierwsza w nocy. Po paru minutach ujrzała daleko przed sobą duży dom, dwa silosy, wielką stodołę i inne zabudowania. Wydawało jej się, że farma jest ogromna, była jednak tak różna od Marmouton, iż równie dobrze mogłaby znajdować się na jakiejś odległej planecie. Marie-Ange i tak miała już wrażenie, że trafiła do innego świata. Zatrzymali się pod domem, lecz ganek był pusty. Nikt nie wyszedł, aby powitać dziewczynkę. Tom zdjął jej walizki z ciężarówki i pchnął drzwi prowadzące wprost do starej, wyraźnie zaniedbanej kuchni. Marie-Ange z wahaniem przystanęła w progu tuż za nim. Mężczyzna zrozumiał, że dziecko boi się tego, co zastanie w obcym domu, odwrócił się więc do niej z łagodnym uśmiechem i gestem zaprosił do środka.

- Wejdz, Marie - powiedział, zapominając o drugiej części jej imienia. - Poszukam twojej ciotki Carole. Obiecała, że będzie na ciebie czekać.

Marie-Ange była w podróży od dwudziestu dwóch godzin i wyglądała na całkowicie wyczerpaną, lecz jej wielkie oczy czujnie obserwowały Toma. Słyszając za sobą jakiś dźwięk, podskoczyła nerwowo i odwróciła się. Zobaczyła starą kobietę w fotelu na kółkach, która przyglądała się im uważnie,

oświetlona przyćmionym blaskiem lampy, padającym ze znajdującego się za nią pokoju. Widok ten całkowicie przeraził jedenastoletnie dziecko.

- Ta sukienka zupełnie nie nadaje się na farmę - oznajmiła kobieta na powitanie. - Wyglądasz w niej idiotycznie.

Carole Collins miała pociągłą twarz o ostrych rysach i twardym, nieprzyjaznym wyrazie, chociaż jej oczy przypomniały nagle dziewczynce ojca. Długie, kościste ręce spoczywały na kołach fotela. Marie-Ange nie wiedziała, że Carole jest niepełnosprawna i teraz nie potrafiła ukryć przestraszu.

- Wyglądasz, jakbyś wybierała się na przyjęcie - ciągnęła Carole.

Marie-Ange natychmiast zdała sobie sprawę, że nie jest to komplement i z lękiem pomyślała o wielu „idiotycznych” sukienkach, które Sophie zapakowała do jej walizek.

- Umiesz mówić po angielsku? - zapytała Carole krótko.

Marie-Ange kiwnęła głową.

- Dziękuję, że odebrałeś ją z lotniska - powiedziała do Toma.

Tom serdecznym gestem poklepał dziewczynkę po ramieniu i wyszedł. Miał kilkoro dzieci, a także dwoje wnuków, i bardzo współczuł Marie-Ange, która z tak tragicznego powodu znalazła się daleko od domu. Mała była śliczna, ale wyglądała na przestraszoną i jego wysiłki, aby ją uspokoić, nie odniosły żadnego skutku. Wiedział, że Carole Collins nie należy do czułych, wrażliwych kobiet. Nie miała dzieci i nigdy się nimi nie interesowała. Do dzieci swoich pracowników i przyjaciół odnosiła się z całkowitą obojętnością. Tom uważał za prawdziwą ironię losu, że właśnie teraz na ścieżce jej życia stanęło osierocone, wymagające opieki dziecko. Miał nadzieję, że obecność małej dziewczynki przynajmniej trochę złagodzi trudny charakter jego pracodawczyni.

- Musisz być zmęczona - rzekła Carole, kiedy zostały same. - Za chwilę będziesz mogła się położyć.

Marie-Ange zacisnęła na sekundę powieki, starając się powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu na myśl o Sophie. Gdyby tak mogła wtulić się teraz w ramiona swojej niani... Była śmiertelnie znużona, ale także głodna, wreszcie głodna, po raz pierwszy od kilku dni, lecz Carole Collins nie zaproponowała jej nic do jedzenia, a Marie-Ange bała się ją poprosić.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytała Carole, patrząc dziewczynce prosto w oczy.

Marie-Ange przyszło nagle do głowy, że może ciotka ma jej za złe, iż dotąd jej nie podziękowała.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi tu przyjechać - odezwała się, mówiąc powoli i starannie, lecz oczywiście z wyraźnym francuskim akcentem.

- Nie wydaje mi się, aby którakolwiek z nas miała w tej kwestii jakiś wybór - odrzekła Carole Collins trzeźwo. - Musimy jakoś ułożyć sobie życie. Możesz pomóc mi w pracach domowych - dodała, pragnąc od samego początku postawić sprawę jasno. - Mam nadzieję, że przywiozłaś ze sobą trochę bardziej praktycznych ubrań, nie tylko same sukieneczki - rzuciła przez ramię, wyćwiczoną, doświadczoną dłonią tak manewrując kołami fotela, aby obrócił się w miejscu.

Jako młoda dziewczyna Carole Collins przeszła chorobę Heinego i Medina i nigdy nie odzyskała władzy w nogach. Była w stanie poruszać się o kulach, wlokąc za sobą bezwładne kończyny, ale starała się tego unikać. Jeżdżenie w fotelu na kółkach było dużo mniej upokarzające i Carole przemieszczała się w ten sposób od ponad pięćdziesięciu lat. W kwietniu tego roku skończyła siedemdziesiąt lat. W czasie drugiej wojny światowej owdowiała i nigdy ponownie nie wyszła za mąż. Odziedziczoną po ojcu farmę zarządzała niezwykle sprawnie, a po śmierci brata, czyli ojca Johna Hawkinsa, kupiła sąsiednią działkę, która była jego własnością. Jego żona drugi raz wyszła za mąż i wyjechała, sprzedając ziemię szwagierce. Carole Collins była teraz, poza Marie-Ange, jedyną pozostałą przy

życiu osobą z rodziny Hawkinsów. Bardzo dużo wiedziała o uprawie ziemi i prowadzeniu farmy, ale zupełnie nic o wychowywaniu dzieci.

Przeznaczyła dla Marie-Ange pokój gościnny i nie była z tego szczególnie zadowolona, chociaż gości miewała bardzo rzadko. Wydawało jej się jednak, że marnuje w ten sposób przyzwoity pokój i teraz w chłodnym milczeniu poprowadziła Marie-Ange przez słabo oświetlony salon i pogrążony w mroku długi korytarz. Dziewczynka szła za nią powoli, walcząc ze łzami rozpacz, przerażenia i wyczerpania. Carole zapaliła światło i Marie-Ange ujrzała duży, prawie nieumeblowany pokój. Na jednej ścianie wisiał krzyż, na drugiej grafika Normana Rockwella. Łóżko składało się z grubej metalowej ramy i cienkiego materaca, na którym leżały dwa prześcieradła, koc, poduszka i ręcznik. Naprzeciwko stała niska, dość wąska szafa i niewielka komoda. Marie-Ange od razu pojęła, że nie będzie miała gdzie umieścić ubrań zamkniętych w trzech walizkach, ale postanowiła zmierzyć się z tym problemem dopiero rano.

- Łazienka jest w korytarzu - wyjaśniła Carole. - Ponieważ będziemy korzystały z niej wspólnie, wolałabym, żebyś nie spędzała tam zbyt dużo czasu. Na szczęście jesteś chyba jeszcze na to za mała.

Marie-Ange skinęła głową. Jej matka uwielbiała długie kąpiele, a kiedy wybierali się gdzieś we dwoje z ojcem, zawsze poświęcała sporo czasu na nałożenie makijażu. Marie-Ange bardzo lubiła obserwować ją podczas wykonywania tych czynności. Na twarzy Carole Collins nie było jednak śladu makijażu. Ubrana była w dżinsy i flanelową męską koszulę, miała siwe włosy obcięte krótko, tak samo jak paznokcie. Nie było w niej nic frywolnego lub chociażby kobiecego. W oczach Marie-Ange była po prostu stara, stara i ponura. Krótką chwilę w milczeniu mierzyły się wzrokiem.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak się ściele łóżko - chłodno przerwała ciszę Carole. - Jeżeli nie, to trudno, musisz się tego sama nauczyć.

Marie-Ange kiwnęła głową. Sophie dawno temu nauczyła ją, jak słać łóżka, lecz często małej nie do końca się to udawało i wtedy wzywała nianię na pomoc, Robert zaś mamrotał nieprzychylnie uwagi pod jej adresem, ponieważ on musiał sobie sam radzić ze swoim postaniem.

Carole zmrużyła oczy.

- Bardzo przypominasz swego ojca z okresu jego dzieciństwa - powiedziała. - Ostatni raz widziałam go dwadzieścia lat temu - dodała bez żalu.

Marie-Ange natychmiast przywołała z pamięci słowa ojca. Zaczynała rozumieć, co miał na myśli, nazywając ciotkę zimną, twardą i nieczułą osobą. Właśnie taka jest, pomyślała teraz. Miała jednak wrażenie, że ciotka jest także głęboko nieszczęśliwa, być może dlatego, iż większość życia spędziła w fotelu na kółkach. Pragnęła ją zapytać, czy właśnie z tego powodu zachowuje się tak chłodno i obojętnie, lecz była zbyt dobrze wychowana. Czowała, że jej matka wolałaby, aby nie zadawała tego pytania.

- Było to tuż przed jego wyjazdem do Francji - odezwała się ciotka. - Zawsze wydawało mi się, że strzelił straszne głupstwo, zwłaszcza że nie brakowało tu dla niego pracy. Jego ojcu było potem bardzo ciężko, bo musiał przecież sam obrabiać taką wielką farmę, ale Johna najwyraźniej nic to nie obchodziło. Nie wątpię, że wołał uganiać się za twoją matką.

Zabrzmiało to jak oskarżenie i Marie-Ange pomyślała, że Carole spodziewa się chyba przeprosin z jej strony. Milczała uparcie. Doskonale rozumiała, dlaczego ojciec wyjechał do Paryża. Dom, w którym się znajdowała, robił smutne, przygnębiające wrażenie, a ciotka ojca z pewnością nie była osobą przyjaźnie nastawioną do świata i ludzi. Zastanawiała się, czy reszta rodziny była do niej podobna. Carole Collins tak

bardzo różniła się od jej matki, która była serdeczna, pełna wdzięku i życia, radosna, skłonna do żartów i śliczna, po prostu śliczna. Nic dziwnego, że ojciec nie mógł o niej zapomnieć, szczególnie jeśli inne kobiety w stanie Iowa były takie jak Carole. Gdyby Marie-Ange była starsza, odkryłaby szybko, że ciotka jej ojca jest przede wszystkim głęboko zgorzkniała. Życie nie było dla niej zbyt łaskawe - we wczesnej młodości została kaleką, parę lat później zaś straciła męża. Zaznała niewiele radości i ciepła, którymi teraz mogłaby podzielić się z przybyłym do jej domu dzieckiem. Nie potrafiła dać osieroczonej dziewczynce serdeczności i czułości.

- Obudzę cię, kiedy sama wstanę - rzekła ostrzegawczym tonem Carole. - Pomożesz mi zrobić śniadanie.

Marie-Ange zaczęła się zastanawiać, o której wstaje jej nowa opiekunka, lecz bała się o to zapytać.

- Dziękuję - szepnęła z oczami pełnymi łez. Stara kobieta wydawała się nie dostrzegać, w jakim

stanie jest powierzone jej dziecko. Odwróciła się i opuściła pokój. Marie-Ange zamknęła za nią drzwi, usiadła na łóżku i rozplakała się. W końcu wstała, posłała łóżko i długo grzebała w walizkach, szukając starannie poskładanych przez Sophie koszul nocnych. Uszyte były z najlepszego gatunku bawełny i ozdobione wykonanymi troskliwymi dłońmi Sophie haftami. Marie-Ange była przekonana, że Carole Collins nigdy nie widziała tak pięknej bielizny i nigdy nie kupiłaby dla siebie czegoś równie mało praktycznego.

Wyciągnęła się na materacu i długo leżała z otwartymi oczami, zastanawiając się, co uczyniła, że spotkał ją ten straszny los. Robert i rodzice zniknęli z jej życia, Sophie także, i oto została zupełnie sama, sama z tą przerażającą starą kobietą, w ponurym, mrocznym domu. Tej nocy, leżąc w obcym łóżku i przysłuchując się dobiegającym zza okna nieznanym odgłosom, oddałaby wszystko, by móc cofnąć czas. Oddałaby wszystko, by jej rodzice i Robert zabrali ją ze sobą, wyruszając do Paryża.

Rozdział trzeci

Było jeszcze ciemno, kiedy ciotka Carole obudziła Marie-Ange. Dziewczynka podniosła głowę z poduszki i zobaczyła ciotkę w fotelu na kółkach, który stał na progu jej pokoju. Carole kazała jej wstać, potem zaś obróciła fotel w miejscu i pojechała do kuchni. Pięć minut później potargana Marie-Ange dołączyła do swej opiekunki, przecierając zapuchnięte oczy. Była piąta trzydzieści rano.

- Na farmie wstajemy dosyć wcześnie, Marie - oznajmiła Carole, celowo opuszczając drugą część imienia dziewczynki.

Marie-Ange odgarnęła włosy z czoła i podniosła wzrok.

- Mam na imię Marie-Ange - powiedziała cicho, głosem, który poruszyłby serce każdego, z wyjątkiem Carole Collins.

Stara kobieta uznała, że dwuczłonowe imię jest żywym symbolem braku rozwagi jej bratanka, a przede wszystkim brzmi bardzo pretensjonalnie.

- Tutaj zupełnie wystarczy Marie - rzuciła, stawiając na blacie butelkę mleka, bochenek chleba i słoik dżemu. Było to wszystko, co przewidziała na śniadanie. - Jeżeli chcesz, możesz zrobić grzanki. - Krótkim gestem wskazała stary, prawie zupełnie przerdzewiały chromowany toster.

Marie-Ange bez słowa włożyła do niego dwie kromki chleba, marząc o jajkach sadzonych na szynce, jakie robiła Sophie, i brzoskwiach z sadu w Marmouton. Kiedy grzanki były gotowe, Carole wzięła jedną i obficie posmarowała ją dżemem, zostawiając drugą dla Marie-Ange. Potem schowała chleb do pojemnika. Nie ulegało wątpliwości, że jej pierwszy posiłek był bardzo lekki. Po jednej grzance Marie-Ange nadal umierała z głodu.

- Powiem Tomowi, aby oprowadził cię dziś po farmie i pokazał, co masz robić. Od jutra zaraz po przebudzeniu masz posłać łóżko, przyjść do kuchni i przygotować dla nas śniadanie, takie jak to. Potem, jeszcze przed wyjściem do szkoły, zajmiesz

się swoimi obowiązkami. Wszyscy tu pracujemy i ty również będziesz pracować. Jeżeli nie zechcesz nic robić, to nie ma żadnego powodu, abyś mieszkała pod moim dachem. -Rzuciła dziewczynce złowróżbne spojrzenie. - Równie dobrze mogą zabrać cię do domu dla sierot. Jeden z nich znajduje się w Fort Dodge. Oczywiście, tam żyłabyś w znacznie gorszych warunkach niż tutaj. Jeśli chcesz tu zostać, to nie łudź się, że zdołasz wymigać się od obowiązków. Nic z tego nie będzie, moja droga, dobrze to sobie zapamiętaj.

Marie-Ange w milczeniu skinęła głową, zaczynając rozumieć, co to znaczy być sierotą.

- Za dwa dni, w poniedziałek, pójdziesz do szkoły. Jutro razem pojedziemy do kościoła, Tom nas zawiezie.

Carole nigdy nie kupiła samochodu przystosowanego do potrzeb niepełnosprawnych, który mogłaby sama prowadzić. Stać ją było na taki wydatek, ale nie miała zamiaru wyrzucić pieniędzy w błoto, jak zawsze powtarzała.

- Kiedy skończysz pracę, wybierzemy się do miasta i kupimy ci jakieś przyzwoite ubrania - ciągnęła. -Podejrzewam, że nie przywiozłaś ze sobą nic praktycznego.

- Nie wiem, ciociu... Ciociu... - zająknęła się Marie-Ange, stropiona słowami i chłodnym spojrzeniem Carole.

Myślała wyłącznie o ssącej pustce w żołądku. W samolocie prawie nic nie jadła, podobnie jak poprzedniego wieczoru, i teraz brzuch bolał ją z głodu.

- Sophie zapakowała moje rzeczy - powiedziała niepewnie, nie wyjaśniając, kim jest Sophie. Carole najwyraźniej w ogóle to nie interesowało. - Mam parę sukienek, w których w domu zwykle bawiłam się na dworze...

Wiedziała jednak, że wszystkie stare, znoszone rzeczy zostały w Marmouton, ponieważ Sophie uważała, że wstyd byłoby pokazać je nieznannej krewnej.

- Po śniadaniu przejrzymy twoje rzeczy - oświadczyła Carole bez cienia uśmiechu. - I nie zapominaj, że musisz tu pracować.

Twoje utrzymanie będzie mnie sporo kosztować. Nie możesz się spodziewać, że będę cię żywić i ubierać, a ty nie ruszysz nawet palcem, aby mi pomóc.

- Tak, ciociu... - Marie-Ange skinęła poważnie głową. Stara kobieta na wózku inwalidzkim rzuciła jej tak ostre spojrzenie, że dziewczynka zadrżała.

- Możesz mówić do mnie ciociu Carole - mruknęła niechętnie.
- A teraz zmyj po śniadaniu.

Marie-Ange pospiesznie spełniła polecenie. Musiała zmyć tylko dwa talerze i jeden kubek, w którym Ca-role piła kawę. Potem wróciła do swojego pokoju, nie wiedząc, co dalej robić. Usiadłszy na łóżku, utkwiała wzrok w zdjęciach, które przed udaniem się na spoczynek ustawiła na komodzie, zdjęciach rodziców i brata. Jej drobna dłoń mimo woli mocno zacisnęła się na złotym wisiorze.

Drgnęła nerwowo, kiedy usłyszała skrzywienie kół fotela Carole. Ciotka przyglądała się jej od progu.

- Chcę zobaczyć, co przywiozłaś w tych trzech śmiesznie wielkich walizkach. Żadne dziecko nie powinno mieć tyle ubrań, Marie. To grzech.

Marie-Ange zeskoczyła z łóżka i posłusznie otworzyła walizki, po czym zaczęła wyciągać jedną sukienkę po drugiej, haftowane koszulki nocne i kilka płaszczyków, które matka kupiła dla niej w Paryżu i Londynie. Nosiła je do szkoły, do kościoła, gdy co niedzielę całą rodziną spieszyli na mszę, a także na dość częste wycieczki do Paryża z rodzicami. Carole obejrzała wszystkie rzeczy z wyrazem ponurej dezaprobaty na twarzy.

- Takie ubrania nie będą ci tutaj potrzebne - oświadczyła krótko.

Podjechała wózkiem nieco bliżej i zagłębiła ręce w jednej z walizek. Po chwili ułożyła na kocu niewielki stosik swetrów, spodni i spódniczek. Marie-Ange wiedziała, że rzeczy te nie są piękne, ale Sophie uznała, iż zapewne jej się przydadzą. Teraz

pomyślała, że Carole wybrała je tylko dlatego, że były bardzo zwyczajne i niczym się nie wyróżniały. Ciotka zamknęła walizki i kazała dziewczynce przenieść odłożone rzeczy do wąskiej szafy. Bez słowa spełniła jej polecenie, niepewna i zagubiona. Potem Carole poleciła, aby wyszła na dwór i poszukała Toma, który pokaże jej, jak wykonywać prace domowe oraz w gospodarstwie. Sama zawróciła wózek i mrocznym korytarzem udała się do swojej sypialni.

Zarządca farmy czekał na Marie-Ange na ganku. Zabrał ją do obory i nauczył, jak doić krowę i wykonywać inne prace, które zleciła Carole. Marie-Ange miała wrażenie, że nowe obowiązki nie są zbyt ciężkie, chociaż było ich naprawdę dużo. Tom powiedział, że jeśli nie zdąży zrobić wszystkiego rano, przed wyjściem do szkoły, może skończyć sprzątanie późnym popołudniem, zaraz po powrocie. Oprowadził ją po farmie, co zajęło mniej więcej dwie godziny. Potem wrócili do domu.

Ciotka Carole siedziała w kuchni, ubrana i gotowa do wyjścia. Najwyraźniej na nich czekała. Odezwała się do Toma, nie do Marie-Ange, i kazała mu zapakować walizki dziewczynki do bagażnika, i zawieźć je do miasta. Marie-Ange wpatrywała się w nią z przerażeniem. Natychmiast przyszło jej do głowy, że ciotka postanowiła jednak oddać ją do domu dla sierot. Powoli, ze zwieszoną głową, poszła za Tomem i Carole do samochodu. Milczała, nie śmiała zadawać żadnych pytań. Jej życie przeistoczyło się w jedno długie, niekończące się pasmo lęku i upokorzenia. W drodze do miasta siedziała z tyłu, sztywno wyprostowana, z najwyższym trudem powstrzymując łzy. Carole poleciła zarządcy, aby zatrzymał się przed sklepem z używaną odzieżą. Tom rozłożył fotel na kółkach i pomógł Carole usiąść, potem zaś wniósł walizki do środka. Marie-Ange nadal nie miała pojęcia, co się z nią stanie. Nie wiedziała, gdzie przyjechali, dokąd pojedą później i dlaczego przywieźli tu jej walizki. Ciotka nie próbowała niczego wyjaśnić i nie zrobiła nic, aby rozwiązać lęki dziecka.

Sprzedawczynie od razu poznały wjeżdżającą do sklepu Carole, za którą szedł Tom, dźwigając w obu rękach walizki Marie-Ange.

- Potrzebne nam spodnie ogrodniczki dla mojej siostrzenicy - oznajmiła bez żadnego wstępu Carole.

Z piersi Marie-Ange wyrwało się ciche westchnienie ulgi. Może jednak nie trafi do domu dla sierot, przynajmniej na razie. Może nie spotka ją nic złego...

Ciotka wybrała dla niej trzy pary spodni, kilka poplamionych podkoszulków, mocno znoszoną flanelową koszulę i trzy pary prawie nowych tenisówek. Sprzedawczynie pomogły jej także przymierzyć brzydką pikowaną brązową kurtkę, o wiele na nią za dużą, lecz podobno wystarczająco ciepłą, aby nie marzła w zimie. Podczas przymierzania Marie-Ange powiedziała kobietom, że dopiero poprzedniego dnia przyleciała z Francji. Carole szybko przerwała dziewczynce, wyjaśniając, że mała przywiozła ze sobą trzy walizki całkowicie nieprzydatnych i niepraktycznych rzeczy.

- Możecie wziąć część za to, co kupiłam, a za resztę dać mi kredyt. Dziewczyna nie będzie tu nosiła takich wymyślnych ubrań, a jeśli skończy w sierocińcu, to każą jej nosić mundurek - oświadczyła surowym tonem.

Po twarzy Marie-Ange zaczęły płynąć łzy. Sprzedawczynie patrzyły na nią ze współczuciem.

- Czy mogłabym zatrzymać przynajmniej kilka rzeczy, ciociu Carole? Może koszule nocne... I lalki...

- Nie będziesz miała czasu, żeby bawić się lalkami - odparła Carole i zawahała się na moment. - No, dobrze, zatrzymaj koszule nocne.

Marie-Ange pospiesznie wyciągnęła z walizki swoje koszulki i przycisnęła je do piersi. Wszystkie inne rzeczy miały zniknąć na zawsze, wszystkie ubrania, które mama wybierała dla niej z tak wielką miłością, sukienki, w których ojciec tak ją lubił... Było tak, jakby ktoś wydzierał jej z rąk resztkę przeszłości,

resztkę życia, którym kiedyś żyła... Marie-Ange nie zdołała powstrzymać łez. Tom odwrócił się, nie chcąc patrzeć na jej rozpacz. Dziewczynka stała pod ścianą, trzymając w ramionach kłęb koszulek, a jej bezbrzeżnie smutne oczy utkwione były w twarzy ciotki. Carole w milczeniu wręczyła Tomowi torbę z zakupionymi rzeczami i powoli wyjechała ze sklepu. Zarządca farmy i Marie-Ange szli za nią. Małej było teraz zupełnie wszystko jedno, dokąd ją zabrają. Nawet w domu dla sierot nie mogło chyba spotkać ją nic gorszego. Jej oczy miały przejmujący, tragiczny wyraz.

Dopiero widok znajomej obory i podwórka uświadomił jej, że nie zostanie odwieziona do sierocińca, w każdym razie nie dzisiaj. Najwidoczniej ciotka Carole postanowiła dać jej szansę.

Marie-Ange poszła do swojego pokoju i ułożyła na półkach swoje cudem ocalone koszulki nocne i kupione dla niej rzeczy. Dziesięć minut później ciotka zawołała ją na lunch. Posiłek składał się z cienkiej kanapki z szynką, bez masła czy choćby odrobiny majonezu, szklanki mleka i jednego ciasteczka. Marie-Ange pochłonęła wszystko, do ostatniego okruszka. Przez głowę przemknęła jej myśl, że stara kobieta żałuje jej każdego kęsa, każdego kawałka chleba. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że w zamian za jej garderobę Carole dostała w sklepie z używaną odzieżą co najmniej kilkaset dolarów kredytu. Marie-Ange okazała się bynajmniej nie kosztowną, lecz bardzo zyskowną inwestycją.

Przez resztę dnia dziewczynka zajmowała się swoimi obowiązkami i aż do kolacji nie widziała ciotki. Wieczorny posiłek również był skromny. Zjadły mały klops, upieczony przez Carole, i gotowane warzywa o obrzydliwym smaku. Na deser była zielona galaretką.

Po kolacji Marie-Ange zmyła naczynia, myśląc o swoich rodzicach i o wszystkim, co wydarzyło się od chwili ich śmierci. Miała wrażenie, że tamto życie wcale nie istniało i nie wyobrażała sobie, by mogła nie czuć przerażenia, samotności i

głodu, a ból po śmierci najbliższych był tak ostry, że chwilami wydawało się jej, że nie będzie go w stanie znieść. I nagle, myśląc o tym wszystkim, zrozumiała, co chciał powiedzieć ojciec, nazywając ciotkę Carole ograniczoną i nieczułą. Poczula też, że jej matka, pełna radości życia i miłości, znienawidziłaby Carole. Szybko jednak doszła do wniosku, że rozpamiętywanie przeszłości nic jej nie da. Rodzice i Robert odeszli na zawsze, podczas gdy ona, Marie-Ange, była tutaj i musiała postarać się przeżyć.

Następnego dnia Tom zawiózł Carole i Marie-Ange do kościoła. Nabożeństwo wydało się dziewczynce bardzo długie i nudne. Pastor mówił o piekle, zdradzie, rozwiązłości i karze oraz o wielu innych sprawach, które albo nudziły, albo przerażały dziewczynkę. W środku kazania prawie zasnęła, lecz Carole zauważyła to i mocno szarpnęła ją za ramię.

Tego wieczoru, po zjedzonej w milczeniu niesmacznej kolacji, ciotka poinformowała ją, że następnego ranka idzie do szkoły. Już pierwszego dnia Carole z ulgą zorientowała się, że chociaż Marie-Ange mówi po angielsku z wyraźnym akcentem, posługuje się tym językiem na tyle swobodnie, aby móc pójść do szkoły i rozumieć, co dzieje się na lekcjach. Carole nie miała wprawdzie pojęcia, czy Marie-Ange poradzi sobie z angielską pisownią, ale szczerze mówiąc, wcale ją to nie interesowało.

- Kiedy obrobisz się z pracą w oborze, idź drogą mniej więcej kilometr, aż do żółtego znaku - poinstruowała dziewczynkę przed udaniem się na spoczynek. - Musisz być tam punktualnie o siódmej, bo wtedy przyjeżdża autobus. Do szkoły jest około pięćdziesięciu kilometrów i kierowca zatrzymuje się na wszystkich przystankach. Nie wiem, jak szybko chodzisz, ale na wszelki wypadek wyjdź stąd o szóstej. W ten sposób spokojnie sprawdzisz, ile czasu zajmie ci ten spacer. Powinnaś wstać o czwartej trzydzięci. Zjesz śniadanie i o piątej zabierzesz się do pracy.

Dała Marie-Ange stary, wysłużony budzik, żeby nie zasnęła. Dziewczynce przemknęło przez myśl, że pewnie i on pochodzi ze sklepu z używanymi rzeczami. Pełno tam było wysłużonych, zdezelowanych i brzydkich rzeczy, które pierwotni właściciele uznali już za niepotrzebne.

- Powiedziano mi, że po szkole autobus przywiezie cię koło czwartej, więc w domu masz być nie później niż o piątej - dodała Carole. - Zaraz po powrocie skończysz swoje domowe zajęcia, a po kolacji odrobisz lekcje.

Marie-Ange doskonale rozumiała, że czeka ją długi, męczący dzień. Więcej - czekało ją wyczerpujące życie, złożone z takich właśnie dni, życie wypełnione ciężką, prawie niewolniczą pracą. Miała ochotę zapytać ciotkę, dlaczego Tom nie może odwiedzić jej do szkoły, ale nie ośmieliła się tego zrobić. Pożegnała się z Carole i w milczeniu poszła do swojego pokoju.

Miała wrażenie, że budzik zadzwonił zaledwie kilka minut po tym, jak zasnęła, ale wstała i szybko się ubrała. Tym razem, ponieważ śniadanie jadła sama, zjadła trzy grzanki z dżemem, mając nadzieję, że ciotka nie policzyła kromek chleba, kiedy poprzedniego wieczoru chowała pieczywo do pojemnika. Żałowała, że zjadła aż tyle, ale po prostu nie mogła się powstrzymać. Wciąż czuła głód.

Było jeszcze ciemno, kiedy wyszła z domu i skierowała się do obory. Mrok otulał farmę także godzinę później, o szóstej, gdy umyła ręce i wyruszyła w drogę na przystanek. Wiedziała, że o tej porze Carole na pewno już nie śpi, ale nie wstąpiła do kuchni, aby powiedzieć ciotce do widzenia. Miała na sobie spodnie i brzydką flanelową koszulę. Starannie wyszczotkowała włosy, ale po raz pierwszy w życiu przed wyjściem do szkoły nie wplotła w nie wstążki. Nie zrobiła tego, ponieważ nie miała żadnych ozdób do włosów. Sophie nie machała jej na pożegnanie, nie było Roberta, który mógłby poczęstować ją jej ulubionym przysmakiem - namoczonymi w kawie z mlekiem kostkami cukru, nie było też matki ani ojca, którzy uściskaliby

ją serdecznie. Wielka równina stanu Iowa pogrążona była w ciszy i otulona ciemnością. Marie-Ange szła przed siebie w stronę przystanku. Nie wiedziała, jaka będzie jej nowa szkoła i jak przyjmą ją dzieci, ale, prawdę mówiąc, nic ją to nie obchodziło. Nie wyobrażała sobie, aby mogła znaleźć tu jakichś przyjaciół. Miała żyć jak więzień, odcięta od świata w niedostępnej twierdzy, której głównym strażnikiem była Carole Collins.

Kiedy dotarła do przystanku, zobaczyła grupkę oczekujących na autobus dzieci. Większość było starszych od niej, tylko jedno wyglądało na zdecydowanie młodsze, i żadne nie odezwało się do niej ani słowem, chociaż wszystkie przyglądały się jej z wyraźnym zaciekawieniem. Słońce wstawało powoli, przypominając Marie-Ange o porankach w Marmouton, gdzie często czekała na wschód słońca w ogrodzie, wyciągnięta w wysokiej trawie i wpatrzona w różowiejące niebo. Ona też nie przemówiła do żadnego z dzieci. Po pewnym czasie przyjechał autobus, wszyscy zajęli miejsca i po godzinnej jeździe dotarli na rozległy dziedziniec przed długim, niskim budynkiem z surowej cegły. Stały tam już inne szkolne autobusy, z których wysypywały się mniejsze i większe dzieci oraz nastoletnia młodzież. W szkole mieściły się wszystkie placówki edukacyjne, od przedszkola po szkołę średnią, a w nich uczyły się dzieci i młodzi ludzie z farm położonych w promieniu około stu kilometrów. Miejscowość, z której miała dojeżdżać Marie-Ange, nie znajdowała się wcale najdalej. Wyraźnie zagubiona i mimo wszystko przestraszona nową sytuacją powoli weszła do budynku, gdzie natychmiast zauważyła ją młoda nauczycielka.

- Czy to ty nazywasz się Collins? - zapytała. Marie-Ange potrząsnęła głową, w pierwszej chwili nie skojarzywszy usłyszanego nazwiska ze sobą.

- Jestem Marie-Ange Hawkins - odparła.

W szkole spodziewano się Marie Collins, Marie-Ange zaś nie przyszło nawet do głowy, że ciotka zapisze ją pod własnym nazwiskiem.

- Nie Collins? - Nauczycielka ze zdziwieniem uniosła brwi.

Marie Collins była jedyną świeżo przyjętą uczennicą. Wszystkie inne dzieci z jej klasy zaczęły naukę dwa tygodnie wcześniej. Na szczęście młoda kobieta od razu zidentyfikowała akcent nieznannej dziewczynki i zaprowadziła ją do gabinetu dyrektora. Tam łysiejący mężczyzna z brodą poważnie i przyjaźnie przywitał dziewczynkę i powiedział jej, do której sali powinna się udać.

- Smutne, biedne małe stworzenie - mruknął po wyjściu nowej uczennicy.

Nauczycielka kiwnęła głową.

- Straciła całą rodzinę we Francji i przyjechała tutaj - rzekła cicho. - Ma mieszkać u ciotki swego ojca.

- Jak z jej angielskim? - zapytał dyrektor, nie ukrywając niepokoju.

- Wychowawczynie porozmawia z nią przed pierwszą lekcją i da jej pisemny test do wypełnienia.

W tym samym czasie Marie-Ange szła szkolnym korytarzem we wskazanym kierunku. Bez trudu znalazła pełną dzieci salę. Nauczycielki jeszcze nie było, a nowi koledzy i koleżanki Marie-Ange stanowili zgraną grupę żywych, wesołych i nieco rozwrzeszczanych dzieciaków, które właśnie obrzucały się papierowymi kulkami. Dziewczynka usiadła w ławce pod ścianą, obok chłopca o ogniście rudych włosach, oczach równie błękitnych jak jej własne i usianej piegami twarzy. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wolałaby znaleźć miejsce obok jakiejś dziewczynki, ale wszystkie pozostałe ławki były zajęte.

- Cześć - odezwał się jej sąsiad, starannie unikając jej wzroku.

Marie-Ange zerknęła na niego nieśmiało, lecz w tej chwili do klasy weszła nauczycielka. Dopiero po godzinie zauważyła

obecność nowej uczennicy i wtedy dała jej testy sprawdzające umiejętność pisania, czytania i zrozumienia tekstów angielskich o niezbyt wysokim stopniu trudności. Marie-Ange zrozumiała prawie wszystko, lecz odpowiedzi zapisała w sposób fonetyczny.

- Ty chyba nie masz zielonego pojęcia o ortografii -zauważył ze zdumieniem rudowłosy chłopiec, zaglądając do jej pracy. - I co to za imię - Marie-Ange?

Wymówił je tak, że nawet w uszach Marie-Ange zabrzmiało obco. Wyprostowała się i rzuciła mu pełne godności spojrzenie.

- Jestem Francuzką - wyjaśniła. - Mój ojciec jest Amerykaninem.

Powinna była użyć czasu przeszłego, ale nie mogła się na to zdobyć.

- I mówisz po francusku? - zapytał chłopiec, wyraźnie zaintrygowany.

- Oczywiście - odparła z akcentem.

- Mogłabyś mnie nauczyć? Marie-Ange uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chcesz uczyć się francuskiego? - zapytała.

W odpowiedzi uśmiechnął się, zabawnie marszcząc nos.

- Jasne. Mielibyśmy wtedy tajny język i nikt nie mógłby zrozumieć, o czym mówimy.

Ten pomysł jej się spodobał. Podczas przerwy chłopiec wyszedł z nią na dziedziniec. Uważał, że gęste loki i duże niebieskie oczy jego nowej koleżanki są po prostu piękne, ale nie powiedział jej o tym. Miał dwanaście lat, był więc o cały rok starszy od Marie-Ange. Został w tej samej klasie na drugi rok, ponieważ przez kilka miesięcy chorował na gorączkę reumatyczną.

Jeszcze przed końcem roku szkolnego wrócił do zdrowia, lecz było już za późno na nadrobienie zaległości. Spacerując z Marie-Ange po dziedzińcu, poczuł się odpowiedzialnym opiekunem młodszej dziewczynki. Powiedział, że nazywa się

Billy Parker, a ona nauczyła go poprawnie wymawiać swoje imię. Była to pierwsza lekcja francuskiego. Marie-Ange chichotała z rozbawieniem, słysząc jego akcent.

W czasie dużej przerwy zjedli razem lunch. Kilko innych dzieci przedstawiło się Marie-Ange i próbowało z nią porozmawiać, ale pod koniec dnia, kiedy wsiadali do autobusu, nie miała wątpliwości, że właśnie Billy zostanie jej prawdziwym przyjacielem. Billy mieszkał w połowie drogi między szkołą a farmą Carole Collins i obiecał Marie-Ange, że odwiedzi ją któregoś dnia, może w sobotę albo niedzielę, i odrobi z nią lekcje. Był wyraźnie zafascynowany przyjaciółką i już planował, że podczas weekendów będzie uczył się francuskiego. Marie-Ange zgodziła się udzielać mu lekcji i z radością myślała o tym, że będzie miała z kim rozmawiać po francusku.

Następnego dnia powiedziała Billy'emu o śmierci swoich rodziców i Roberta, a także o życiu w domu ciotki Carole. Billy słuchał, rzucając jej pełne współczucia spojżenia.

- Wygląda na to, że ona jest naprawdę okropna - mruknął.

Billy mieszkał z rodzicami i siedmiorgiem rodzeństwa na małej farmie. Utrzymywali się z uprawy zboża i hodowli niewielkiego stada bydła. Obiecał Marie-Ange, że do niej wpadnie i pomoże jej w nauce, ale ona nie wspomniała o nim ciotce Carole. Nie śmiała tego zrobić, ponieważ Carole w ogóle nie pytała ją, jak radzi sobie w szkole, i gdy Marie-Ange kończyła wieczorem swoje zajęcia, zawsze zjadały kolację w milczeniu, potem zaś każda z nich wracała do siebie.

W sobotę po południu Marie-Ange ujrzała Billy'ego, jadącego na rowerze od strony drogi. Chłopiec zatrzymał się na podejździe przed domem, zeskoczył z siodełka i pomachał jej ręką. Marie-Ange podbiegła do niego z szerokim uśmiechem. Poprzedniego dnia wspomniał, że postara się znaleźć trochę czasu na lekcję francuskiego, miała więc nadzieję go zobaczyć, choć nie wierzyła, że rzeczywiście to zrobi. Stali chwilę, rozmawiając z ożywieniem, kiedy nagle popołudniową ciszę

rozdarł huk wystrzału. Podskoczyli niczym wystraszone króliki i instynktownie spojrzeli w stronę ganku. Siedziała tam ciotka Carole, trzymając w obu dłoniach wiatrówkę. Ani przez chwilę nie przyszło im do głowy, że mogłaby strzelać do nich, i słusznie, oddała bowiem strzał w powietrze, patrzyła jednak na nich z groźnym wyrazem twarzy, surowo marszcząc brwi.

- Nie masz prawa przebywać na terenie mojej farmy! - krzyknęła.

Billy otworzył usta ze zdumienia, Marie-Ange zaś zadrżała ze strachu.

- To mój przyjaciel, ciociu Carole, ze szkoły - wyjaśniła pospiesznie, pewna, że w ten sposób zakończy całe to nieporozumienie.

Niestety, nic nie wskazywało na to, aby miało tak być.

- Nie masz prawa tu przyjeżdżać! - ostro oświadczyła Carole.

- Przyjechałem odwiedzić Marie-Ange - odparł uprzejmie chłopiec, starając się nie okazywać lęku.

Stara kobieta wyglądała jak prawdziwa wiedźma. Dalby sobie rękę uciąć, że gdyby mogła, zastrzeliłaby go bez wahania.

- Nie potrzebni nam tu goście, a ciebie nikt chyba nie zapraszał. Wsiadaj na rower, wynoś się i nie wracaj, słyszysz?

- Tak, proszę pani. - Billy szybko chwycił oparty o płot rower i spojrzął przez ramię na Marie-Ange. - Nie miałem zamiaru jej rozwścieczyć - szepnął przeprasząco. - Do zobaczenia w szkole, w poniedziałek.

- Przepraszam cię za to wszystko - powiedziała przyciszonym głosem.

Stała na podjeździe i patrzyła, jak Billy odjeżdża, kiedy zaś zniknął jej z oczu, powoli weszła na ganek i zatrzymała się tuż przed ciotką. Po raz pierwszy od przybycia na farmę nienawidziła Carole z całego serca. Do tej pory jedynym uczuciem, jakie ciotka w niej budziła, był strach.

- Powiedz swoim znajomym, żeby nie przyjeżdżali do ciebie, Marie - powiedziała ponuro Carole. - Nie mam czasu pilnować

pętających się po domu i farmie małych chuliganów, a ty też nie możesz sobie pozwolić na pogaduszki. Masz tu obowiązki, nie zapominaj o tym. - Położyła wiatrówkę na kolanach i spojrzała dziewczynce prosto w oczy. - Czy wyrażam się jasno?

- Tak, proszę pani - odrzekła Marie-Ange i wróciła do obory, aby skończyć pracę.

Zachowanie ciotki Carole jedynie umocniło więź łączącą Marie-Ange i Billy'ego. Wieczorem tego samego dnia zadzwonił do niej tuż przed kolacją. Ciotka Carole odebrała telefon i z pomrukiem niezadowolenia podała słuchawkę dziewczynce. Nie podobało jej się to, ale nie miała powodu zabronić małej rozmów telefonicznych.

- Wszystko w porządku? - zapytał Billy. Niepokoił się o nią przez całą drogę do domu. Stara

Carole Collins była zupełnie zwariowana i Billy serdecznie współczuł swojej przyjaciółce. Jego własna rodzina była duża, otwarta i przyjaźnie nastawiona do ludzi, więc Billy mógł zapraszać kolegów, kiedy tylko zechciał. Rodzice wymagali jedynie, aby wcześniej odrobił lekcje i pomógł im w pracach domowych.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedziała nieśmiało.

- Zrobiła ci coś, kiedy odjechałem?

- Nie, ale zabroniła mi zapraszać znajomych - wyjaśniła Marie-Ange szeptem, kiedy Carole opuściła kuchnię. - Zobaczymy się w poniedziałek. Pomyślałam sobie, że będę cię uczyć francuskiego w czasie przerwy na lunch.

- Uważaj, żeby cię nie postrzeliła - ostrzegł ją Billy z powagą dwunastolatka. - Do zobaczenia w poniedziałek, Marie-Ange. Cześć.

- Do widzenia - powiedziała trochę sztywno i odłożyła słuchawkę.

Żałowała, że nie podziękowała mu za telefon. Była mu naprawdę wdzięczna za troskę i za stworzenie możliwości

kontakty ze światem zewnętrznym. W pustym, smutnym życiu, jakie teraz wiodła, przyjaźń Billy'ego była wszystkim, co miała.

RS

Rozdział czwarty

Przyjaźń między Marie-Ange i Billym rosła i umacniała się. W ciągu następnych lat stała się dla nich obojga prawdziwym oparciem, solidną pewnością i całkowitym zaufaniem do drugiego człowieka. Byli nie tyle przyjaciółmi, ile bratem i siostrą. Kiedy Billy skończył czternaście lat, a Marie-Ange trzynaście, koledzy i koleżanki zaczęli z nich podkiwać i często pytali, czy ze sobą chodzą. Marie-Ange zawsze odpowiadała przecząco. Billy był dla niej jak skała, której można się przytrzymać nawet w czasie najgorszej wichury. Codziennie wieczorem dzwonił do niej, aby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Życie Marie-Ange w domu ciotki Carole nie zmieniło się nawet odrobinę - było puste, szare i smutne, niezmiennie takie samo od pamiętnego pierwszego dnia. Zachowywała równowagę jedynie dzięki codziennej obecności Bil-y'ego w szkole i wspólnym powrotom autobusem. Często odwiedzała go też w jego domu. Dzięki spotkaniom z rodzicami i rodzeństwem Billy'ego chciało jej się żyć. Przyjeżdżała do nich we wszystkie dni wolne, po wykonaniu zleconych jej przez Carole prac. Gwarny, ciepły dom Billy'ego był jej portem, schronieniem, jedynym bezpiecznym miejscem na całym świecie. Nie miała teraz nie tylko rodziców i Roberta, ale nawet Sophie. Przez dwa lata co tydzień pisała listy do swojej starej niani, lecz ani razu nie dostała odpowiedzi. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Bała się, że Sophie również przydarzyło się coś strasznego, bo przecież w przeciwnym razie na pewno by odpisała.

Można powiedzieć, że z czasem Billy zajął w jej życiu miejsce Roberta. Ani na chwilę nie zapomniała o bracie, którego tak bardzo kochała, ale Billy w pewnym stopniu zdołał go zastąpić. Zgodnie z obietnicą daną na samym początku ich znajomości codziennie podczas długiej przerwy uczyła go francuskiego. Mając czternaście lat, Billy władał tym językiem

prawie płynnie, dlatego często rozmawiali po francusku, spacerując po dziedzińcu i szkolnych korytarzach. Billy nadal twierdził, że jest to ich tajny język. Marie-Ange tymczasem pozbyła się wszelkich kłopotów w posługiwaniu się angielskim i mówiła prawie bez akcentu.

Ponieważ darzyła Billy'ego prawdziwie siostrzanym uczuciem, była bardzo zaskoczona, kiedy jej powiedział, że ją kocha. Było to pewnego wiosennego popołudnia, kiedy szli do szkolnego autobusu. Wyznał jej miłość bardzo cicho, prawie niedosłyszalnie, wpatrując się w swoje buty. Marie-Ange przystanęła i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - odrzekła, marszcząc brwi. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Billy rzucił jej szybkie spojrzenie. Był rozczarowany, ponieważ spodziewał się zupełnie innej reakcji.

- Naprawdę cię kocham - powtórzył po francusku, żeby nikt ich nie zrozumiał.

- Och, to idiotyczne! - zawołała Marie-Ange. - Straszny z ciebie giupek, Billy!

Idący przed nimi chłopcy obejrzel się ciekawie, pewni, że dwójka przyjaciół się kłóci.

Marie-Ange zerknęła na Billy'ego i zaczęła się śmiać.

- W porządku, ja też cię kocham, jak siostra - powiedziała. - Jak możesz wygadywać takie rzeczy? Chcesz zepsuć wszystko między nami?

Gotowa była na wszystko, byle tylko nie narazić na szwank ich przyjaźni.

- Nie mam zamiaru niczego psuć - niepewnie odparł Billy.

Zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Może powiedział coś nie tak, a może w nieodpowiedniej chwili, ale z drugiej strony... Z drugiej strony mieli przecież dla siebie tylko spędzane w szkole godziny. Billy nadal nie mógł przyjeżdżać do Marie-Ange, tak więc na rozmowy pozostawały im tylko przerwy między lekcjami i droga powrotna autobusem do domu. Latem było

jeszcze gorzej, bo wtedy nie chodzili do szkoły. Żeby jakoś to sobie zrekompenzować, spotykali się w miejscu, które odkryli rok temu i tam czasami siedzieli godzinami na brzegu niewielkiego strumienia, rozmawiając o życiu, rodzinie, swoich nadziejach, marzeniach i przyszłości. Marie-Ange zawsze powtarzała, że po skończeniu osiemnastu lat chce wrócić do Francji i znaleźć tam jakąś pracę. Kiedyś Billy powiedział, że chętnie pojechałby razem z nią, lecz marzenie to z każdym dniem stawało się coraz bardziej odległe i mniej możliwe do spełnienia.

Po wyznaniu Billy'ego oboje zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Nadal byli najlepszymi przyjaciółmi i kumplami. Sytuacja taka utrzymała się do wakacji, kiedy znowu zaczęli spotykać się w zakątku nad strumieniem. Któregoś dnia Marie-Ange przywiozła ze sobą termos z lemoniadą, a Billy kanapki, i przez wiele godzin rozmawiali o tym, co chcieliby robić w ciągu najbliższych kilku lat. W pewnej chwili Billy nagle nachylił się i pocałował ją. Miał piętnaście lat, ona niedawno skończyła czternaście i łączyła ich trzyletnia, mocna przyjaźń. Marie-Ange i tym razem była zaskoczona, lecz nie protestowała tak gwałtownie, jak rok temu, kiedy Billy wyznał jej miłość. Oboje milczeli. Dziewczynka nie potrafiła jednak stłumić dręczącego ją wewnętrznego niepokoju i gdy spotkali się po paru dniach, powiedziała, że jej zdaniem nie powinni zmieniać swojej przyjaźni. Z typową dla siebie niewinnością przyznała też, że boi się miłości.

- Dlaczego? - zapytał łagodnie, lekko dotykając jej policzka.

Wyrastał na wysokiego, przystojnego młodego człowieka i czasami wydawało jej się, że jest odrobinę podobny do jej ojca i brata. Uwielbiała droczyć się z nim i w nieszkodliwy sposób wyśmiewać się z jego piegów.

- Dlaczego boisz się miłości, Marie-Ange? Rozmawiali po angielsku, ponieważ ona mimo wszystko знаła ten język lepiej niż on francuski, chociaż uczył się bardzo pilnie, znał nawet

wszystkie ważne wyrażenia slangowe, i cieszył się, że zrobi ogromne wrażenie na nauczycielu francuskiego w szkole średniej, którą oboje zaczęli we wrześniu.

- Nie chcę, aby cokolwiek zmieniło się między nami - powiedziała trzeźwo. - Jeżeli naprawdę się we mnie zakochasz, to wcześniej czy później znudzimy się sobą nawzajem i wtedy stracimy wszystko. Ale jeśli dalej zostaniemy tylko przyjaciółmi, nigdy do tego nie dojdzie.

Nie było to pozbawione słuszności i Billy, chociaż niechętnie, musiał pogodzić się ze zdecydowanym stanowiskiem Marie-Ange. Pozostali więc przyjaciółmi, chociaż nikt z ich kolegów i znajomych nigdy nie uwierzyłby, że nie łączy ich nic więcej. Wszyscy zawsze uważali, że Marie-Ange i Billy od początku darzą się romantycznym uczuciem. Tego zdania była nawet ciotka Carole i być może właśnie dlatego nieustannie robiła krytyczne uwagi na temat Billy'ego, co doprowadzało Marie-Ange do białej furii.

Ich przyjaźń kwitła przez cały okres szkoły średniej. Marie-Ange chodziła na wszystkie mecze koszykówki, ponieważ Billy grał w szkolnej reprezentacji, a on oklaskiwał ją na scenie, w wystawianych przez kółko teatralne sztukach. Razem poszli na bal maturalny i przetańczyli całą noc. Czasami Billy umawiał się na randki, ale nie miał stałej dziewczyny, Marie-Ange zaś uparcie powtarzała, że na razie nie interesuje ją żaden uczuciowy związek, ani z Billym, ani z jakimkolwiek innym chłopcem. Chciała skończyć szkołę i pewnego dnia wrócić do Francji - nie miała innych planów na najbliższą przyszłość. Zresztą nawet gdyby zmieniła zdanie i tak pozostawała kwestia ciotki Carole, która za nic w świecie nie zgodziłaby się, aby Marie-Ange spotykała się z chłopcami. Przez wszystkie lata pobytu Marie-Ange w swoim domu co jakiś czas straszyla ją sierocińcem i dziewczyna nie wątpiła, że gdyby naprawdę rozwścieczyła ciotkę, ta bez wahania zrealizowałaby swoją

groźbę. Dopiero na krótko przed bale maturalnym Carole zgodziła się, aby Billy zabrał Marie-Ange na zabawę.

Billy przyjechał po nią na farmę wieczorem, półciężarówką swojego ojca. Ciotka Carole pozwoliła dziewczynie kupić błękitną satynową suknię w kolorze jej oczu, na której tle jasne loki Marie-Ange lśniły jak niepowtarzalny stop srebra i złota. Wyglądała bardzo pięknie i Billy wprost oniemiał z zachwytu.

Bawili się doskonale i długo rozmawiali o stypendium na naukę w college'u, które zdobyła Marie-Ange, i o tym, że nie będzie mogła z niego skorzystać. Uniwersytet znajdował się około osiemdziesięciu kilometrów od farmy, w Ames. Na wieść o sukcesie Marie-Ange ciotka Carole orzekła chłodno, że nie pożyczy jej ani samochodu, ani półciężarówki na dojazdy do szkoły, ponieważ chce, aby została na farmie i pomogła w jej prowadzeniu. Oczywiście, nie zaproponowała też Marie-Ange pomocy finansowej, dzięki której mogłaby wynająć pokój w mieście, i Billy nie ukrywał głębokiego oburzenia.

- Musisz pójść na uniwersytet, Marie-Ange! Nie możesz przecież harować dla niej do końca życia, jak jakaś niewolnica!

Marie-Ange marzyła o powrocie do Francji, ale kiedy skończyła osiemnaście lat, stało się jasne, że nie będzie to łatwe. Nie miała pieniędzy, nie miała również czasu, aby podjąć pracę zarobkową, ponieważ ciotka Carole domagała się jej stałej obecności w domu i zawsze podsuwała jej jakieś zajęcia. Marie-Ange czuła, że ma wobec Carole pewne zobowiązania. Mieszkała z nią przez siedem lat, które były dla niej okresem niekończącej się udreki, lecz mimo to nie chciała postępować wbrew woli ciotki. College okazał się nieosiągalnym marzeniem, ponieważ stypendium pokrywało koszt nauki, ale nie opłaty za mieszkanie, książki i wyżywienie, więc nawet gdyby dostała jakąś pracę, i tak nie zdołałaby zarobić na wszystko. Rozwiązanie było tylko jedno - musiała nadal mieszkać na farmie ciotki i dojeżdżać na zajęcia. Niestety, Carole przekreśliła tę możliwość.

- Potrzebny ci tylko samochód, nic więcej, na miłość boską! - denerwował się Billy, odwożąc Marie-Ange do domu. - Nie możesz zrezygnować z dalszej nauki!

- Cóż, nie mam samochodu - spokojnie powiedziała Marie-Ange. - I w przyszłym tygodniu zrezygnuję ze stypendium, bo nie mam innego wyjścia. Trudno.

Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała poszukać pracy, aby zarobić pieniądze na podróż do Francji. Nie miała pojęcia, co zrobi tam na miejscu, nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić. Najprawdopodobniej po prostu odwiedzi Paryż i Marmouton, i wróci do Stanów. Nie sądziła, aby udało jej się zostać we Francji na dłużej. Nie miała gdzie mieszkać, nie miała też żadnych znajomych i przyjaciół, którzy mogliby pomóc jej w znalezieniu pracy. Trzeźwo oceniała swoje umiejętności i była świadoma, że nie ma wykształcenia, dzięki któremu może stanąć na nogi. Umiała tylko wykonywać proste prace na farmie, podobnie jak Billy, ale on od października zaczynał intensywny kurs rolniczy. Marzył o tym, aby pomagać w prowadzeniu rodzinnej farmy i być może nawet ją zmodernizować, mimo oporów ojca. Chciał być nowoczesnym rolnikiem i uważał, że Marie-Ange zasługuje na to, aby zdobyć solidne wykształcenie. Obojgu było to bardzo potrzebne. Szczerze nienawidził Carole Collins. Nawet jego ojciec rozumiał, że człowiek niewykształcony nie da sobie rady w życiu, może właśnie dlatego, że sam nie skończył żadnej szkoły. Nie mógł obyć się bez pomocy Billego na farmie, ale zaproponował synowi, że pokryje koszt kursów, które ten chciał ukończyć.

Billy cierpliwie przekonywał Marie-Ange, aby do końca lata nie rezygnowała ze stypendium i mimo wszystko próbowała wpłynąć na ciotkę. Tej nocy, po balu maturalnym, oboje byli w dobrym nastroju, podnieceni myślą o bliskim pożegnaniu ze szkołą średnią.

- Zdajesz sobie sprawę, że przyjaźnimy się od prawie siedmiu lat? - zapytała z dumą Marie-Ange.

Pod koniec sierpnia tego roku przypadała siódma rocznica śmierci jej rodziców i brata. Czasami miała wrażenie, że od tamtego dnia minęło zaledwie parę tygodni, kiedy indziej zaś, że tragedia wydarzyła się tysiące lat temu, w innej epoce. Nadal śnili jej się prawie co noc, Marmouton zaś pamiętała tak wyraźnie i dokładnie, jakby opuściła je dopiero wczoraj.

- Jesteś jedyną rodziną, jaką mam - powiedziała cicho.

Billy uśmiechnął się. Oboje starali się ignorować ciotkę Carole, chociaż Marie-Ange zawsze twierdziła, że mimo wszystko czuje dla niej wdzięczność. Billy zupełnie nie rozumiał, jak to możliwe. Wprawdzie mieszkała pod dachem ciotki, lecz Carole bezlitośnie wyzyskiwała ją przez ostatnie siedem lat, traktując jak pokojówkę, pielęgniarkę i robotnicę fizyczną. Dziewczyna przywykła do wykonywania wszelkich możliwych prac. Dwa lata temu Carole poważnie podupała na zdrowiu i nie była już tak sprawna jak kiedyś. Od tego czasu Marie-Ange musiała pracować jeszcze ciężiej.

- Moglibyśmy stworzyć prawdziwą rodzinę, wiesz? odezwał się ostrożnie i rzucił Marie-Ange nieśmiały uśmiech znad kierownicy.

Zmarszczyła brwi. Nie lubiła, kiedy zaczynał rozmowę na ten temat i starała się myśleć o nim jako o bracie i przyjacielu. Nie dopuszczała żadnej innej formy łączącej ich więzi.

- Moglibyśmy się pobrać - brnął dalej Billy.

- Dobrze wiesz, że to głupie, Billy - odparła z rozdrażnieniem. Nigdy nie zachęcała go do dyskusji o ich związku, nie tylko ze względu na siebie, ale i na niego. - Gdzie byśmy mieszkali, nawet gdyby było to możliwe? Żadne z nas nie ma ani pracy, ani pieniędzy - dodała praktycznie.

- Na razie z moimi rodzicami - powiedział, żałując, że nie potrafi wpłynąć na zmianę jej decyzji.

Skończył dziewiętnaście lat, a Marie-Ange osiemnaście i byli już wystarczająco dorośli, aby się pobrać, nawet bez zgody

ciotki Carole. Problem polegał jednak na tym, że Marie-Ange wcale nie chciała wyjść za niego za męża.

- Albo z ciotką Carole - zakpiła Marie-Ange. - Na pewno byłaby zachwycona. Oboje moglibyśmy pracować dla niej na farmie. - Roześmiała się głośno. - Nie, Billy, nie możemy się pobrać. Zamierzam znaleźć pracę i w przyszłym roku pojechać do Francji.

Billy wiedział, że jego przyjaciółka ani na chwilę nie zapomina o tym planie i pragnął towarzyszyć jej w tej wymarzonej podróży. Tu, w Iowa, na farmie ojca, jego znajomość francuskiego była bezużyteczna, ale tak czy inaczej był szczęśliwy, że nauczył się ojczystego języka Marie-Ange.

- Bardzo mi zależy, żebyś jesienią poszła jednak do college'u - rzekł zdecydowanym tonem. - Na razie nie rezygnuj ze stypendium. Zobaczmy, może wszystko jakoś się ułoży.

- Oczywiście, anioł spadnie z nieba i zafunduje mi samochód!
- Marie-Ange się zaśmiała. W jej głosie nie było goryczy, ponieważ pogodziła się już z myślą, że nie rozpocznie nauki na uniwersytecie. - Więcej, rzuci mi do stóp furę pieniędzy, więc nie będę musiała martwić się o mieszkanie, a ciotka Carole spakuje moje rzeczy i uściska mnie na pożegnanie. Tak to sobie wyobrażasz, Billy?

- Może - odpowiedział z roztargnieniem. Następnego dnia zaczął pracować nad specjalnym planem. Jego realizacja zajęła mu całe lato. Na szczęście pomógł mu brat Jack, który pracował na część etatu w warsztacie samochodowym w pobliskim miasteczku. To właśnie Jack znalazł to, co było potrzebne Billy'emu. Pierwszego sierpnia Billy podjechał pod dom ciotki Carole starym chevroletem. Silnik wydawał przerażające odgłosy, ale pracował zupełnie sprawnie. Billy sam pomalował maskę samochodu jaskrawoczerwonym lakierem. Siedzenia obite były czarną skórą.

Zatrzymał się i ostrożnie spojrzął na siedzącą na ganku Carole. W ciągu siedmiu lat był tu zaledwie trzy razy i nigdy nie

zapomniał przyjęcia, jakie zgotowała mu na początku jego znajomości z Marie-Ange.

- O, rany! Skąd masz taki śliczny samochodzik? - zapytała Marie-Ange z szerokim uśmiechem, wychodząc z kuchni i pospiesznie wycierając ręce. - Czyje jest to cudo?

- Sam go złożyłem, zacząłem zaraz po zakończeniu roku szkolnego - odparł Billy. - Chcesz się przejechać?

Marie-Ange już wiele lat temu nauczyła się prowadzić traktory i inne pojazdy gospodarcze, często też jeździła samochodem ciotki, załatwiając dla niej różne sprawy lub wożąc ją do miasta. Teraz z nieukrywaną radością usiadła za kierownicą. Samochód wyglądał naprawdę nieźle, chociaż był bardzo stary. Billy z dumą opowiedział, jak poskładał go z pomocą drutu i spawarki. Marie-Ange wyjechała na drogę i po chwili niechętnie zawróciła do domu. Musiała przygotować kolację dla ciotki.

- Co z nim zrobisz? - zapytała. - Będiesz nim jeździł w niedzielę w kościeła?

Z uśmiechem spojrzała mu w oczy. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale pomimo innego koloru włosów i oczu z każdym rokiem była coraz bardziej podobna do matki.

- Nie. Mam co do niego zupełnie inne zamiary - odparł tajemniczo.

Był dumny z siebie i przepelniony miłością do niej, miłością całkiem odmienną od tej, jaką akceptowała. Ostatnio coraz trudniej było mu pogodzić się z rolą adoptowanego brata Marie-Ange.

- Na przykład jakie? - zapytała, zaciekawiona i rozbawiona, wjeżdżając na podjazd.

- Ten samochód ma pełnić funkcję szkolnego autobusu.

- Szkolnego autobusu? Co masz na myśli?

- To, że teraz możesz skorzystać ze stypendium. Potrzebujesz tylko pieniędzy na książki. Możesz dojeżdżać tym samochodem na zajęcia, Marie-Ange.

Zrobił to dla niej, tylko dla niej. Doskonale wiedziała, jak wiele pracy i poświęcenia wymagała naprawa tego starego wozu i przywrócenie go do stanu używalności. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem, a jej oczy pełne były łez. Billy bardzo pragnął ją pocałować, ale wiedział, że nigdy mu na to nie pozwoli.

- Chcesz mi go pożyczyć? - odezwała się po francusku, po długiej chwili milczenia.

Billy pokręcił głową.

- Nie, Marie-Ange, nie chcę ci go pożyczyć. To prezent. Ten samochód należy do ciebie. To twój autobus szkolny.

- O, mój Boże! Nie możesz tego zrobić! - Zarzuciła mu ręce na szyję i uściaskała go mocno. - Mówisz poważnie?

Odsunęła się szybko, aby zająrzeć mu w oczy. Była to najbardziej niezwykła rzecz, jaką ktoś kiedykolwiek dla niej zrobił. Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Sprawił, że miała szansę zrealizować swoje marzenia i dosłownie podarował jej możliwość kontynuowania nauki na uniwersytecie. Dzięki niemu miała środek transportu, była wolna...

- Mogę to zrobić i robię. To twój Chevrolet, mała. - Billy uśmiechał się od ucha do ucha. - A teraz może podwiozłabyś mnie do domu, zanim ciotka wyjedzie na ganek i znowu spróbuje mnie zastrzelić?

Oboje wybuchnęły śmiechem na wspomnienie tamtej chwili. Marie-Ange weszła na chwilę do domu i powiedziała ciotce, że za parę minut wróci. Wiadomość, że właśnie dostała własny samochód, postanowiła przekazać ciotce kiedy indziej.

W drodze na farmę swoich rodziców wóz prowadził Billy. Marie-Ange siedziała obok niego, nie mogąc przestać mówić o tym, jak bardzo podoba jej się samochód, jak niezwykłym jest prezentem i że z pewnością nie powinna go przyjąć.

- Nie możesz do końca życia siedzieć na tej farmie - oświadczył Billy. - Musisz zdobyć wykształcenie, żeby pewnego dnia się stąd wyrwać.

Wiedział, że on sam nigdy nie ucieknie z Iowa. Musiał pomagać rodzicom, którzy dzielnie zmagali się z najróżniejszymi przeciwnościami losu. Ta świadomość nie odebrała mu jednak trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość, dlatego świetnie zdawał sobie sprawę, że najlepszym prezentem dla Marie-Ange będzie wolność, możliwość opuszczenia domu ciotki.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zrobiłeś to dla mnie - powiedziała poważnie Marie-Ange.

Prawdziwie szanowała Billy'ego jako prawego, uczciwego i dobrego człowieka i nigdy dotąd nie czuła w stosunku do nikogo tak wielkiej wdzięczności. Billy był szczęśliwy, widząc ją pogodną i radosną. Miał nadzieję, że się bardzo ucieszy, lecz nie przypuszczał, że jego prezent stanie się przyczyną aż tak wielkiej radości.

Gdy Marie-Ange wróciła do domu i powiedziała ciotce, co się wydarzyło, ta kazała jej zwrócić samochód Billy'emu.

- Nie powinnaś przyjmować takiego prezentu, nawet jeżeli zamierzasz za niego wyjść - oświadczyła surowo.

- Nie zamierzam - odparła Marie-Ange. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Więc z pewnością nie możesz zatrzymać wozu. - Twarz Carole przypominała bryłę spekanego granitu.

Ale po raz pierwszy od siedmiu lat Marie-Ange postanowiła sprzeciwić się ciotce. Nie chciała rezygnować z college'u dla kaprysu starej kobiety, która nigdy nie okazała jej choćby odrobiny uczucia. Przez siedem lat skąpiła wszystkiego - najzwyczajszej sympatii, nie mówiąc już o miłości, jedzenia i pieniędzy, teraz zaś chciała pozbawić ją możliwości zdobycia wykształcenia. Marie-Ange nie zamierzała się na to zgodzić.

- Wobec tego pożyczę wóz od Billy'ego - powiedziała twardo.

- Tak czy inaczej, będę jeździć nim do szkoły.

- Po co ci ta szkoła? Uważasz, że zostaniesz kimś wielkim? Może lekarką? - zapytała drwiącym tonem Carole.

- Nie wiem, kim zostanę - odparła cicho Marie-Ange.

Wiedziała jedno - nie chciała żyć tak jak ciotka Carole. Miała nadzieję, że z czasem stanie się podobna do matki, mimo że ona nie zdobyła wyższego wykształcenia, ponieważ jako bardzo młoda dziewczyna wyszła za Johna Hawkinsa. Marie-Ange pragnęła czegoś więcej niż nudnej egzystencji na ponurej farmie w Iowa. Nie chciała żyć, nie mając żadnych powodów do radości i żadnego celu. Głęboko wierzyła, że pewnego dnia uda jej się stąd uciec, wyjechać na stałe, najlepiej do Francji. Ale to marzenie było nadal bardzo odległe. Najpierw musiała zdobyć wykształcenie, tak jak radził Billy.

- Wyjdziesz na idiotkę, jeżdżąc tam i z powrotem tym starym gruchotem, zwłaszcza kiedy ludzie się dowiedzą, od kogo go dostałaś.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła spokojnie. - Jestem dumna z tego samochodu.

- Dlaczego nie wyjdziesz za tego chłopaka? - zapytała Carole.

W gruncie rzeczy wcale nie interesowała ją przyszłość Marie-Ange, była tylko ciekawa, co naprawdę łączy tych dwoje. Nigdy nie rozumiała, na czym polega ich przyjaźń i czasami miała nawet ochotę zapytać o to Marie-Ange, chociaż, szczerze mówiąc, było jej to obojętne.

- Bo jest moim bratem - odparła Marie-Ange.

- I wcale nie chcę wychodzić za mąż. Pewnego dnia wrócę do domu.

- Teraz tu jest twój dom - rzekła Carole, patrząc dziewczynie prosto w oczy. - Nie masz innego.

Marie-Ange nie odwróciła wzroku. W milczeniu wpatrywała się w Carole Collins, która dała jej dach nad głową, adres i długą listę obowiązków do wypełnienia, lecz nigdy nie podarowała jej ani odrobiny dobroci, współczucia, miłości czy chociażby poczucia przynależności do rodziny. Choć w domu było dziecko, a później młoda dziewczyna, nigdy nie obchodziła nawet Bożego Narodzenia i Dnia Dziękczynienia. Przez

wszystkie te lata traktowała Marie-Ange jak służącą. Billy i jego rodzina troszczyli się o nią nieporównanie bardziej niż ciotka. Teraz zaś Billy dał jej w prezencie coś, dzięki czemu mogła wreszcie osiągnąć wolność, i nie miała zamiaru z tego rezygnować, w każdym razie na pewno nie dla ciotki.

Bez słowa zmyła naczynia po kolacji i kiedy ciotka zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju, zadzwoniła do Billy'ego.

- Chcę ci tylko powiedzieć, jak bardzo cię Kocham i ile dla mnie znaczysz - rzekła po francusku, wzruszonym i pełnym uczucia głosem. - Jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam.

Billy dałby wszystko, aby jej słowa miały nieco inne znaczenie, wiedział jednak, że nie jest w stanie nic na to poradzić. Dawno temu zaakceptował fakt, że Marie-Ange darzy go jedynie siostrzaną miłością.

- Nie, to ty jesteś najwspanialszą osobą na świecie - powiedział z przekonaniem. - Cieszę się, że samochód ci się podoba. Naprawdę bardzo zależy mi, żebyś mogła robić to, co chcesz. Zaslugujesz na to.

- Może wyjedziemy stąd razem - rzekła z nadzieją w głosie.

W głębi serca żadne z nich w to nie wierzyło. Oboje zdawali sobie sprawę, że Billy musi zostać na farmie, aby pomagać rodzicom. Ale sytuacja Marie-Ange była zupełnie inna. Miała przed sobą daleką drogę, dzięki Billy'emu zyskała nadzieję, że może kiedyś zdoła ją pokonać.

Rozdział piąty

Jesienią Marie-Ange rozpoczęła naukę w college'u. Opuszczając farmę o szóstej rano i podarowanym jej przez Billy'ego chevroletem dojeżdżała do Ames. Wieczorem w przeddzień rozpoczęcia zajęć ciotka Carole nie odzywała się do niej w ogóle, natomiast Billy zadzwonił jak zawsze i życzył jej szczęścia. Marie-Ange obiecała, że jeżeli będzie miała czas, wstąpi do niego w drodze powrotnej do domu i opowie, jak przebiegł pierwszy dzień. Okazało się jednak, że zajęcia i dokonanie zakupu potrzebnych książek za pożyczone od Toma pieniądze zajęło jej tyle czasu, iż musiała bardzo się spieszyć, aby zdążyć ugotować kolację dla ciotki Carole.

Z Billym zobaczyła się dopiero następnego dnia rano. Specjalnie wyjechała z domu pół godziny wcześniej, żeby spędzić z nim kilka chwil w dużej, przyjaznej kuchni domu Parkerów. Wszystkie sprzęty były tu stare i mocno zużyte, a szerokie blaty porysowane i miejscami obłuczone. Podłogę pokrywało poplamione linoleum, lecz matka Billy'ego utrzymywała kuchnię w czystości, a w całym domu panowała ciepła i prawdziwie rodzinna atmosfera. Marie-Ange czuła się tu równie dobrze jak w kuchni w Marmouton. W przeciwieństwie do ciotki Carole rodzice Billy'ego szczerze ją lubili i zawsze okazywali jej mnóstwo sympatii. Matka wierzyła, że kiedyś Marie-Ange i jej syn zostaną małżeństwem, ale nawet gdyby nie miała takiej nadziei i tak traktowałaby młodą dziewczynę jak własną córkę.

- Jak było wczoraj? - zapytał Billy, wchodząc z Marie-Ange do kuchni i napełniając kawą dwa duże kubki.

- Cudownie. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Bardzo mi się tam podoba, żałuję tylko, że ty nie chodzisz ze mną na zajęcia.

Zaoczny kurs rolniczy, na który zapisał się Billy, odbywał się w Fort Dodge, lecz większość zajęć uczestnicy zaliczali korespondencyjnie.

- Ja też żałuję. - Uśmiechnął się.

Już teraz brakowało mu codziennych spotkań z Marie-Ange w szkole i długich, poważnych rozmów po francusku, które prowadzili w czasie dużej przerwy. Wszystko się zmieniło. Billy musiał pracować na farmie i wiedział, że Marie-Ange rozpoczyna nowe życie, w którym znajdzie się miejsce dla nowych profesorów oraz nowych przyjaciół i znajomych, których cele okażą się zupełnie inne od jego własnych. Rozumiał, że jego przyszłość nieodwołalnie związana jest z rodzinną farmą. Myślał o tym z lekkim smutkiem, lecz jednocześnie cieszył się, że przyszłość Marie-Ange będzie wyglądać inaczej. Zasłużyła na to. Przez siedem trudnych lat ciężko pracowała na farmie ciotki i wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak wielkie znaczenie miała dla niej dalsza nauka.

Niecałą godzinę później Marie-Ange niechętnie podniosła się zza stołu. Musiała jechać do szkoły, lecz obiecała, że znów przyjedzie, następnego dnia rano.

Podczas lat, które Marie-Ange spędziła na uniwersytecie, widywali się bardzo często, spędzając ze sobą znacznie więcej czasu, niż się spodziewali. Dojazdy do Ames okazały się bardzo czasochłonne, a po pierwszym semestrze dziewczyna zaczęła pracować w czasie weekendów jako kelnerka w jednej z miejskich restauracji. Dzięki tym zarobkom jakoś radziła sobie z wydatkami i mogła oddać Tomowi pieniądze pożyczone na książki. Ciotka Carole nadal nie dawała jej ani grosza, powtarzając, że jeśli ktoś naprawdę potrzebuje pieniędzy, na pewno je zarobi. Mimo tych wszystkich zajęć Marie-Ange prawie codziennie przyjeżdżała rano na kawę do Billy'ego, on zaś często wpadał do restauracji, w której pracowała. Czasami udawało im się nawet wyskoczyć do kina.

Kiedy Marie-Ange była jeszcze na pierwszym roku, Billy zainteresował się dziewczyną z sąsiedztwa, ten nowy związek nie wywarł jednak żadnego wpływu na ich przyjaźń. Billy

zawsze powtarzał Marie-Ange, że ona jest dla niego ważniejsza od wszystkich dziewczyn razem wziętych. Ich przyjaźń przeistoczyła się w niezwykle silną więź i Marie-Ange nawet polubiła dziewczynę Billy'ego. Ale przed Bożym Narodzeniem Billy rozstał się z nią, utrzymując, że go znudziła. Nie miała w sobie iskiarki ognia, płonącej w Marie-Ange, jej energii, inteligencji i stylu. Marie-Ange była w jego oczach niedoścignionym ideałem, z którym nie mogła równać się żadna inna kobieta. Kiedy Marie-Ange zdawała egzaminy na drugim roku, Billy skończył dwadzieścia jeden lat. Był to dla niej bardzo ciężki rok. Ciotka Carole dużo chorowała. Nie ulegało wątpliwości, że robi się coraz słabsza i coraz bardziej niedołączna. Miała siedemdziesiąt dziewięć lat i pod wieloma względami w niczym się nie zmieniła, lecz jej siła i energia były tylko maską, której nie chciała zdjąć. Czasami Marie-Ange szczerze jej współczuła, lecz Billy nie podzielał tych uczuć. Zawsze nienawidził Carole za to, w jaki sposób traktowała dziewczynę, za jej twarde, nieczułe serce i całkowity brak zrozumienia. Marie-Ange po wielokroć przekonała się, że jej ojciec nie pomylił się w ocenie ciotki, ale przywykła do niej i mimo wszystko była jej wdzięczna za dach nad głową. Właśnie dlatego nie szczędziła sił i chętnie pomagała Carole. Gdy ciotka chorowała, Marie-Ange przygotowywała dla niej smaczne posiłki, czasami nawet późno w nocy, żeby następnego dnia Carole miała co jeść. Porcje, które zostawiała, były bardzo obfite, w przeciwieństwie do tych, jakie Carole niechętnie wydzielala jej przez tyle lat.

Tego roku tuż przed Bożym Narodzeniem Carole trafiła do szpitala ze złamaną kością biodrową. Wypadła z fotela, wjechawszy na zamrożoną kałużę po drodze do obory, i poza złamaniem bardzo mocno się potłukła. Po raz pierwszy Marie-Ange spędziła całe święta z Billym. Było to najpiękniejsze Boże Narodzenie, jakie przeżyła od ośmiu lat. Doskonale bawiła się z rodzeństwem Billy'ego, ubierając choinkę, pakując prezenty dla

wszystkich i pomagając w gotowaniu świątecznych potraw. Pojechała do ciotki do szpitala, aby zawieźć jej porcję pieczonego indyka z borówkami i ze smutkiem zauważyła, że Carole nie miała apetytu i była bardzo słaba. Komplikacje po przebytej w dzieciństwie chorobie Heinego i Medina nie ułatwiały rekonwalescencji i Carole wyglądała naprawdę mizernie.

Dzień Nowego Roku Marie-Ange również spędziła z rodziną Billy'ego. Razem z jego braćmi i siostrami tańczyła, śpiewała i śmiała się do białego rana. Jedna z sióstr Billy'ego wypita o jeden kieliszek wina za dużo i zapytała Marie-Ange, kiedy zamierza w końcu zostać żoną jej brata. Powiedziała też, że przez znajomość z Marie-Ange Billy zraził się do innych dziewczyn, ponieważ wszystkie uważa za nudne i głupie. I po co Billy'emu ten francuski? Jeżeli nie ożeni się z Marie-Ange, na nic mu się to nie przyda. Coś w tonie głosu dziewczyny sprawiło, że Marie-Ange poczuła się winna, chociaż wiedziała, iż wszystkie te uwagi zostały wypowiedziane w dobrej wierze.

- Nie bądź niemądra - rzekł Billy, kiedy później wspomniała mu o rozmowie z jego siostrą.

Obydwoje byli zupełnie trzeźwi i gdy reszta towarzystwa udała się już na spoczynek, usiedli jeszcze na chwilę na ganku. Był trzaskający mróz, ale ubrali się ciepło i z przyjemnością patrzyli w rozgwieżdżone niebo, gadając na różne tematy.

- Moja siostra nie ma pojęcia, o czym mówi - ciągnął. - Nie wyrządziłaś mi żadnej krzywdy, Marie-Ange, co za straszna bzdura. A jeśli chodzi o francuski, to krowy uwielbiają, kiedy mówię do nich w tym języku. Mam zamiar napisać o tym raport do szkoły. Przysięgam, że gdy przy dojeniu zagaduję do nich po francusku, dają więcej mleka.

Uśmiechnął się do Marie-Ange i wziął ją za rękę. Często trzymali się za ręce - w tym gościu kryło się jakieś ciepłe uspokojenie, chociaż oboje twierdzili, że nie ma on żadnego znaczenia.

- Musisz się kiedyś ożenić - odezwała się z odrobiną smutku w głosie.

Wiedzieli, że pewnego dnia ich dotychczasowe życie ulegnie zmianie, ale nie byli jeszcze na to przygotowani.

- Może nigdy się nie ożenię - odparł Billy lekkim tonem. - Wcale nie jestem pewien, czy tego chcę.

Marie-Ange zdawała sobie sprawę, że Billy dałby wszystko, aby ją poślubić, a jeżeli okaże się to całkowicie niemożliwe, na pewno nie zdecyduje się na małżeństwo bez miłości. Ich wzajemna przyjaźń i głębokie zrozumienie były zbyt szczerze i prawdziwe, by którekolwiek chciało się angażować w pusty, pozbawiony uczucia związek z innym partnerem. W tej chwili Marie-Ange była zresztą zupełnie zadowolona z życia wypełnionego nauką, pracą i spotkaniami z Billym, któremu zwierzała się ze swoich marzeń i tajemnic. Nadal uważała, że kocha Billy'ego jak brata i nie chciała psuć tej wielkiej przyjaźni.

- Nie chcesz mieć dzieci? - zapytała, nieco zaskoczona jego słowami, chociaż w gruncie rzeczy doskonale go rozumiała.

- Może tak, a może nie, sam nie wiem. Moi bracia i siostry na pewno będą mieli mnóstwo dzieci, może one mi wystarczą. - Patrzył na nią spokojnie, starając się nie zdradzać swoich uczuć. Zależało mu jedynie na tym, aby być z nią i obawiał się wszystkiego, co mogłoby ich rozdzielić. - Ale ty będziesz kiedyś miała dzieci, zobaczysz. I będziesz wspianą matką.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić - powiedziała szczerze.

Prawie już nie pamiętała, jak wygląda życie w prawdziwej rodzinie, rodzinie, jaką kiedyś miała. Lubiła rodzinę Billy'ego, uwielbiała spędzać czas w jego domu i żartować z rodzeństwem, ale jej własne życie było teraz zupełnie inne. Czowała się skazana na samotność.

Rozmawiali jeszcze długo i Marie-Ange nie wróciła na noc do domu. Przenocowała w pokoju jego dwóch młodszych sióstr, a z samego rana pojechała do szpitala do ciotki Carole. Stara

kobieta powoli wracała do zdrowia. Po miesiącu Marie-Ange przywiozła ją do domu, lecz minęło kilka tygodni, nim Carole opuściła swoją sypialnię. Nie była już tak twarda i nieustępliwa jak dawniej. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo się zestarzała i nawet jej kaśliwe uwagi straciły trochę na złośliwości. Wydawało się, że się skurczyła, zmaląła. Marie-Ange spełniała wszystkie jej polecenia i dbała, aby niczego jej nie brakowało, ale dalej odzywały się do siebie bardzo rzadko. Dziewczyna opiekowała się ciotką z poczucia obowiązku, nie czując do niej właściwie nic.

Na początku lata, tuż przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami Marie-Ange, Carole skończyła osiemdziesiąt lat. Właśnie wtedy zarządca farmy, Tom, powiadomił ją, że odchodzi na emeryturę i przenosi się do Arizony, aby zamieszkać z teściami. Zona Toma przez cały ubiegły rok mniej więcej raz w miesiącu dojeżdżała do rodziców i starała się zapewnić im dobrą opiekę, lecz ciągłe podróże okazały się dla niej zbyt ciężkie. Carole bardzo źle przyjęła tę nowinę.

- Takich ludzi powinno się oddawać do domu starców - mruknęła do Marie-Ange, kiedy Tom zamknął za sobą drzwi.

Była bardzo zdenerwowana, chociaż nie dała mu tego po sobie poznać, i po jego wyjściu powiedziała Marie-Ange, że bez najmniejszego trudu znajdzie nowego zarządcę. Tom polecił Carole swojego siostrzeńca, lecz ona nie zamierzała go zatrudnić, ponieważ nigdy go nie lubiła. Marie-Ange żałowała, że Tom odchodzi. Zawsze był dla niej bardzo dobry, ona zaś darzyła go szczerą sympatią.

Tego lata Marie-Ange pracowała na pełny etat, aby zebrać pieniądze na wydatki, jakie czekały ją na początku nowego roku akademickiego, spędzała jednak także dużo czasu w towarzystwie Billy'ego, który miał nową dziewczynę. Marie-Ange miała wrażenie, że ta znajomość może przerodzić się w coś poważniejszego, oczywiście, jeśli Billy na to pozwoli. Susan była miłą, bardzo ładną dziewczyną i nie ukrywała swojego

zainteresowania Billym. Była o rok młodsza od Marie-Ange. Rodzice Billy'ego i rodzice Susan znali się od dawna i uważali, że młodzi bardzo do siebie pasują. Marie-Ange była tego samego zdania. Miała wrażenie, że Billy, który niedawno skończył dwadzieścia dwa lata, jest gotowy do małżeństwa. Rok wcześniej ukończył kurs rolniczy dla zaawansowanych i ciężko pracował na farmie ojca. Podobnie jak wielu innych chłopców, którzy dorastali, pracując, obciążeni obowiązkami i niełatwymi problemami, szybko stał się dojrzałym emocjonalnie młodym mężczyzną.

Pewnego upalnego dnia Marie-Ange jechała właśnie w stronę głównej drogi, spiesząc się na spotkanie z Billym, gdy minął ją jakiś obcy samochód. Siedział w nim starszy mężczyzna w garniturze i w kowbojskim kapeluszu. Dziewczyna pomyślała, że prawdopodobnie jest to kolejny kandydat na stanowisko zarządcy farmy, lecz ponieważ myślała o wielu innych sprawach, szybko o nim zapomniała. Trzy godziny później, po powrocie od Billy'ego, ze zdumieniem odkryła, że samochód nadal stoi na podjeździe. Nie przyszło jej do głowy, że mężczyzna przyjechał zobaczyć się właśnie z nią, a nie z ciotką Carole. Wysiadła z samochodu i zaczęła wyjmować z bagażnika torby z zakupami, kiedy na ganku ukazała się Carole i obcy mężczyzna. Ciotka skinęła głową w kierunku Marie-Ange, jakby wskazując ją gościowi.

Przedstawiła przybysza, lecz jego nazwisko nic dziewczynie nie powiedziało. Nazywał się Andrew McDermott i przyjechał do nich aż z Des Moines. Uśmiechnął się, kiedy Marie-Ange zapytała, czy zamierza podjąć pracę jako zarządca farmy.

- Nie, przyjechałem zobaczyć się z panią - rzekł. -Miałem parę spraw do omówienia z pani ciotką, ale już wszystko załatwiliśmy. Może moglibyśmy usiąść i chwilę porozmawiać?

Marie-Ange musiała jeszcze przygotować kolację, więc niespokojnie zerknęła na zegarek. Nie miała pojęcia, o czym McDermott chce z nią pomówić.

- Czy coś się stało? - zwróciła się do ciotki.

Stara kobieta zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Nie podobała jej się cała ta sprawa, ale pojawienie się McDermotta nie było dla niej zaskoczeniem. Od początku wiedziała o wszystkim.

- Nie, nie stało się nic złego - odparł mężczyzna. - Chcę porozmawiać z panią o funduszach, które zostawił pani ojciec. Po pani przyjeździe do Stanów porozumiałem się z pani ciotką i zająłem się zainwestowaniem części sumy. Inwestycje okazały się niezwykle korzystne i od tego czasu kwota spadkowa znacznie się zwiększyła. Teraz, gdy jest pani osobą pełnoletnią, musi pani sama zdecydować, co dalej.

Marie-Ange nie miała pojęcia, o czym on mówi, widziała jednak, że Carole ma bardzo niezadowoloną minę. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może ojciec naraził ciotkę na jakieś straty. Nie rozumiała, o co chodzi, nie знаła bowiem takich określeń, jak „kwota spadkowa”.

- Możemy usiąść, żebym mógł to pani spokojnie wyjaśnić? - zapytał mężczyzna z uśmiechem.

Niepewnie wskazała mu jedno ze stojących na ganku krzeseł.

- Zaraz zajmę się kolacją - zawołała za ciotką, która wjechała już do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Carole wysłuchiwała już McDermotta i nie miała nic do powiedzenia ani jemu, ani Marie-Ange.

- Panno Hawkins, czy pani ciotka mówiła pani, co zostawił pani ojciec?

Marie-Ange pokręciła głową, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Nie. Byłam przekonana, że nie zostawił żadnych pieniędzy, tylko długi - odparła spokojnie.

- Wręcz przeciwnie. - Teraz to Andrew McDermott wyglądał na zaskoczonego. - Zostawił doskonale prosperującą firmę, która została sprzedana kilka miesięcy po jego śmierci. Przedsiębiorstwo nabył za bardzo przyzwoitą cenę jeden z jego

wspólników, cała reszta majątku zaś, należącego do pani rodziców, nie była obciążona żadnym zadłużeniem. Pani ojciec miał pewne oszczędności i oczywiście parę długów, ale nie było to nic wielkiego. Napisał testament, zostawiając wszystko pani i pani bratu, lecz wraz ze śmiercią Roberta także i jego część przeszła na panią. Jedną trzecią majątku dziedziczy pani po ukończeniu dwudziestu jeden lat i dlatego tu przyjechałem. Pozostałe dwie trzecie pozostaną częścią funduszu, którego następną jedną trzecią odziedziczy pani po dwudziestych piątych urodzinach, a ostatnią po ukończeniu trzydziestu lat. Pani ojciec pozostawił duży majątek.

Patrząc na Marie-Ange, Andrew McDermott zrozumiał, że ma przed sobą bardzo skromną i nie oczekującą niczego od życia dziewczynę. Być może ciotka miała rację, nie mówiąc jej o spadku, pomyślał.

- Ile pieniędzy zostawił mój ojciec? - zapytała z zażenowaniem Marie-Ange. - Co to znaczy: „duży majątek”?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Jak już mówiłem, przez te lata, jakie minęły od śmierci pani rodziców, cała suma była rozsądnie i umiejętnie inwestowana. W chwili obecnej fundusz zamyka się w kwocie nieco ponad dziesięciu milionów dolarów.

Zapadła cisza. Marie-Ange siedziała bez ruchu, z oczyma utkwionymi w twarzy McDermotta, nie będąc w stanie przyjąć do wiadomości tego, co przed chwilą usłyszała. Nie mogła w to uwierzyć. To był jakiś żart, z całą pewnością, i wcale ją to nie śmieszyło.

- Co takiego?! - wykrztusiła w końcu.

- Kwota spadkowa wynosi ponad dziesięć milionów dolarów - powtórzył. - Jedną trzecią tej sumy otrzymuje pani już teraz, co oznacza, że w przyszłym tygodniu mogę przelać na pani konto bankowe ponad trzy miliony dolarów. Radziłbym zainwestować większość tej sumy i jeżeli pani sobie tego życzy, możemy natychmiast się tym zająć. Jestem radcą prawnym banku,

sprawującym pieczę nad pani funduszem. Cała kwota znajdowała się początkowo we Francji, lecz parę lat temu, zgodnie z sugestią Carole Collins, została przekazana do naszego oddziału w Iowa. Pani Collins była zdania, że najprawdopodobniej nigdy nie wróci pani na stałe do Francji. Powiniennem też chyba powiedzieć, że zaproponowaliśmy pani ciotce pewną sumę, którą chcieliśmy wypłacać jej w regularnych odstępach czasu na pokrycie kosztów pani utrzymania i edukacji, lecz w bardzo uprzejmy sposób odmówiła przyjęcia pieniędzy. Przez ubiegłe dziesięć lat sama łożyła na pani utrzymanie, ani razu nie korzystając z pozostawionej pani w spadku sumy. Pomyślałem, że może chciałaby pani o tym wszystkim wiedzieć.

Ale nawet ta informacja wydała się Marie-Ange dziwna i zagadkowa. Ciotka Carole o mały włos nie zagłodziła jej na śmierć, ubrania dla niej kupowała zawsze w sklepach z używaną odzieżą, zmuszała ją do ciężkiej pracy i otwarcie odmówiła, kiedy Marie-Ange poprosiła ją o pomoc w zdobyciu dalszego wykształcenia. Tak więc z jednej strony utrzymywała ją sama, nie sięgając po pieniądze ze spadku, a z drugiej przez wiele lat skąpiła jej dosłownie wszystkiego i chciała uniemożliwić naukę na uniwersytecie.

Marie-Ange sama nie wiedziała, czy powinna uważać ciotkę za potwora, czy za cichą bohaterkę. Doszła do wniosku, że Carole po prostu zrobiła to, co wydawało jej się najlepsze. Dziewczyna nie rozumiała tylko, dlaczego nigdy nie uprzedziła ją o spadku. Wiadomość, którą przyniósł obcy mężczyzna, całkowicie ją poraziła. Andrew McDermott wręczył jej dużą brązową kopertę z dokumentami i poradził, żeby dokładnie je przejrzała. Potrzebny mu był tylko jeden jej podpis, aby otworzyć rachunek bankowy na jej nazwisko. Nim odjechał, złożył jej serdeczne gratulacje, lecz dziewczyna nie potrafiła ucieszyć się z odmiany losu. Gdyby mogła cofnąć czas, zrobiłaby to bez wahania. Dałaby wszystko, by dorastać w

Marmouton, ciesząc się miłością rodziców i brata, nie zaś w Iowa, w domu ciotki Carole, w atmosferze obojętności czy wręcz niechęci.

Była teraz bogata, lecz nadal nie mogła tego zrozumieć. Stała na ganku, patrząc za odjeżdżającym samochodem i ściskając w rękę przywiezioną przez prawnika kopertę.

- Kiedy będzie kolacja? - warknęła ciotka Carole, gdy Marie-Ange weszła do domu.

Dziewczyna pobiegła do kuchni, położyła kopertę na bocznym blacie i szybko zabrała się do przygotowywania posiłku. W czasie kolacji Carole nie odezwała się do niej ani słowem. Panujące w kuchni milczenie przerwała dopiero Marie-Ange.

- Wiedziałś o tym? - zapytała, patrząc ciotce prosto w oczy i szukając w jej twarzy choćby cienia ciepła, żalu, czułości czy radości.

Carole Collins odpowiedziała jej zupełnie obojętnym spojrzeniem. Wyglądała jak zwykle - była twarda, zgorzkniała i chłodna.

- Nie wszystko - rzekła. - Nadal zresztą nie wiem wszystkiego, bo to nie moja sprawa. Wiem tylko, że ojciec zostawił ci dużo pieniędzy i cieszę się ze względu na ciebie. Będzie ci łatwiej, kiedy zlikwiduję dom.

Marie-Ange wpatrywała się w nią, wstrząśnięta i znowu całkowicie zaskoczona.

- Jak to, zlikwidujesz dom? - wyjąkała.

- W przyszłym miesiącu sprzedaję farmę - oświadczyła ciotka. - Dostałam przyzwoitą ofertę kupna, a tobie nie będę już potrzebna. Jestem zmęczona, dlatego zamierzam przeprowadzić się do domu dla starców w Boone.

Powiedziała to wszystko spokojnie, bez żalu, słowem nawet nie wyrażając niepokoju i zainteresowania, co zrobi Marie-Ange. Prawdopodobnie uważała, że jej podopieczna jest teraz

dorosłą i w dodatku bogatą osobą. Nie obchodziło ją, że młoda dziewczyna po raz drugi w życiu miała stanąć na rozdrożu.

- Jak długo jeszcze tu będziesz? - zapytała Marie-Ange.

Niepokoili ją myśl nie o własnej przyszłości, lecz o przyszłości ciotki Carole. Chciała powiedzieć jej coś, co by ją pocieszyło, lecz natychmiast zrozumiała, że Carole wcale tego nie chce.

- Jeżeli podpiszę umowę sprzedaży w przyszłym miesiącu, będę miała trzydzieści dni na opuszczenie farmy, więc pod koniec października powinnam przenieść się do Boone. Tom obiecał, że poczeka z wyjazdem do Arizony do mojej przeprowadzki.

Była połowa września i do końca października pozostało zaledwie sześć tygodni. Marie-Ange zdała sobie sprawę, że musi szybko podjąć decyzje dotyczące swojej przyszłości. Za dwa tygodnie miała rozpocząć ostatni rok studiów. Zaczęła się zastanawiać, czy powinna poszukać sobie mieszkania w Ames, a może wziąć urlop dziekański, pojechać na rok do Francji i wreszcie zobaczyć Marmouton. Przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby odkupić zamek i całą posiadłość. Nie wiedziała, kto był teraz właścicielem Marmouton, ale pomyślała, że być może znajdzie tę informację w dostarczonych jej przez prawnika papierach.

- Będę musiała wyprowadzić się razem z tobą - powiedziała w zamyśleniu. - Nie boisz się takiej wielkiej zmiany w życiu, ciciu Carole? Sądzisz, że będziesz szczęśliwa w tym domu opieki?

Nadal czuła, że jest coś winna starej kobiecie, niezależnie od tego, w jaki sposób ta traktowała ją przez dziesięć lat życia pod jednym dachem. Ciotka Carole była zimna i nieczuła, lecz mimo wszystko opiekowała się nią i uważała, że jest za nią odpowiedzialna. Marie-Ange była za to wdzięczna i żałowała, że nie mogła lepiej jej poznać.

- Tutaj też nie jestem szczęśliwa, więc co za różnica? - odpowiedziała pytaniem Carole. - Jestem już za stara, żeby prowadzić farmę. Ty na pewno skończysz college i wyjedziesz do Francji. Nie sędzę, abyś chciała zostać w Iowa, chyba że jednak wydasz się za tego chłopaka, za którego, jak mówisz, wcale nie masz zamiaru wychodzić za mąż. I w tej chwili chyba rzeczywiście nie powinnaś tego robić. Ze swoimi pieniędzmi możesz złapać kogoś znacznie lepszego.

Ostatnie zdanie zabrzmiało w ustach ciotki prawie jak obelga. Marie-Ange zadrzała. Carole najwyraźniej nie zaświtało nawet w głowie, że jej podopieczna mogłaby wyjść za mąż z miłości. Wiele razy zastanawiała się, jakie było życie ciotki, czy kochała męża i czy w ogóle była zdolna do miłości. Nie potrafiła wyobrazić sobie Carole młodej, zakochanej i szczęśliwej.

Kiedy posprzątała po kolacji, ciotka oświadczyła, że chce wcześniej położyć się spać i znikła w swoim pokoju. Niedługo potem zadzwonił Billy i Marie-Ange uznała, że nie może powiedzieć mu przez telefon o tym, co ją tego dnia spotkało. Musiała się z nim zobaczyć.

- Czy coś się stało? - zapytał niespokojnie.

- Nie... Tak... Och, sama nie wiem, jestem zupełnie zagubiona. Wydarzyło się coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

Nie miała nikogo poza nim, kogo mogłaby się poradzić, chociaż wiedziała, że w sprawach finansowych jest równie mało zorientowany jak ona. Nie liczyło się jednak nic poza tym, że Billy jest inteligentny, rozsądny i chce, aby była szczęśliwa. Ani na chwilę nie powstała jej w głowie myśl, że mógłby być zazdrosny.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał.

- Owszem - odparła z wahaniem. - To raczej coś dobrego niż złego, tylko że ja tego po prostu nie rozumiem...

- Przyjedź, kiedy będziesz mogła - powiedział szybko.

Była u niego jego nowa dziewczyna, lecz zaraz po tym telefonie zaproponował, że odwiezie ją do domu. Nie miała nic przeciwko temu.

Dwadzieścia minut później Marie-Ange wysiadła z czerwonego chevroleta, trzymając w ręku dużą brązową kopertę. Billy od razu ją zauważył i pomyślał, że są w niej jakieś dokumenty z college'u. Przyszło mu do głowy, że może Marie-Ange dostała kolejne stypendium, lecz wyraz jej twarzy powiedział mu, że chodzi o coś znacznie ważniejszego.

- Przyjechał dziś do mnie prawnik z banku - zaczęła cicho, nie chcąc, aby ktoś usłyszał ich rozmowę.

Miała do Billy'ego absolutne zaufanie, nie była jednak pewna, czy chce, aby ktokolwiek poza nim dowiedział się o wielkiej zmianie w jej życiu.

- Prawnik z banku? Po co?

- Żeby zawiadomić mnie o spadku, który dostałam po rodzicach - odparła po prostu. - Zostawili mi dużą sumę pieniędzy...

Podobnie jak Marie-Ange, Billy pomyślał, że chodzi o parę tysięcy dolarów, w najlepszym razie kilkanaście. Ucieszył się, bo taka kwota umożliwiłaby jej ukończenie uniwersytetu i być może, gdyby była oszczędna, wynajęcie mieszkania do czasu znalezienia odpowiedniej pracy.

- Dużą sumę? - powtórzył. - To znaczy ile? Ale może wolałabyś mi nie mówić, przepraszam... Dobrze wiesz, że nie musisz tego robić, to przecież nie moja sprawa...

- Może rzeczywiście nie powinnam ci o tym mówić. - Spojrzała mu prosto w oczy. Nagle przestraszyła się, że ta wiadomość nieodwracalnie odmieni ich przyjaźń. - Nie chcę, żebyś mnie za to znenawidził...

- Co ty opowiadasz?! Czy twój ojciec zabił kogoś albo okradł, żeby zdobyć te pieniądze?

- Oczywiście że nie. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Pieniądze pochodzą ze sprzedaży naszego domu i przedsiębiorstwa, i

jeszcze pewnych inwestycji. Wszystko to zostało zainwestowane po śmierci moich rodziców i przyniosło ogromne zyski, Billy... - Na długą chwilę zawiesiła głos, niepewna, co powiedzieć dalej. - To naprawdę duża suma...

Nagle poczuła, że nie powinna mieć aż tyle. Było w tym coś złego, niewłaściwego... A jednak miała te pieniądze i musiała poradzić sobie w jakiś sposób z zupełnie nową sytuacją.

- Zaraz oszaleję, Marie-Ange. Chcesz mi o tym powiedzieć, czy nie? Zdecyduj się. Czy ciotka Carole wie o tym spadku?

- Najwyraźniej wiedziała o nim od początku, choć zapewne nie wszystko. Nigdy nie zgodziła się, aby bank wypłacił jej cokolwiek na pokrycie kosztów mojego utrzymania. Wydaje mi się, że to dobrze o niej świadczy, chociaż z pewnością miałabym łatwiejsze życie, gdyby jednak wzięła część tych pieniędzy...

Marie-Ange spuściła oczy i ciężko westchnęła. Cała ta historia była po prostu niewiarygodna. Czy to możliwe, że jej życie odmieniło się w ciągu zaledwie kilku chwil?

- Dziesięć milionów dolarów - szepnęła tak cicho, że Billy prawie jej nie usłyszał.

- Jasne! - Roześmiał się głośno i usiadł w fotelu na ganku, rozbawiony jej słowami. - Dostałaś dziesięć milionów dolarów, a ja nazywam się Mickey Mouse.

- Mówię poważnie, Billy. Właśnie tyle dostałam. Spojrzała na niego niepewnie, jakby to, co przed chwilą powiedziała, było straszną tajemnicą. Billy przestał się śmiać i utkwiał badawczy wzrok w jej twarzy.

- Nie żartujesz?

Powoli pokręciła głową. Billy zamknął oczy, jakby go uderzyła, a kiedy je otworzył, Marie-Ange wyczytała w nich ogromne zdumienie i niedowierzanie.

- O, mój Boże... - wymamrotał wreszcie. - Co zamierzasz z tym zrobić, Marie-Ange? Co teraz?

Nie potrafił zapanować nad przerażeniem. Dziesięć milionów dolarów... Ogromna suma... Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, ile to jest...

- Nie wiem. Ciotka Carole powiedziała mi dzisiaj, że w przyszłym miesiącu sprzedaje farmę i przenosi się do domu starców w Boone. Za sześć tygodni nie będę miała gdzie mieszkać. Ma już kupca i jest zdecydowana sprzedać mu dom i gospodarstwo.

- Możesz przeprowadzić się do nas. Marie-Ange wiedziała jednak, że w domu rodziców

przyjaciela nie ma dla niej dość miejsca, a poza tym z całą pewnością nie byłoby to dobre rozwiązanie.

- Może wynajmę mieszkanie w Ames albo złożę podanie o przyznanie pokoju w akademiku - rzekła z wahaniem. - Nie mam zielonego pojęcia, co należy zrobić w takiej sytuacji...

- Ja też nie. - Billy uśmiechnął się nieśmiało. - Twój ojciec musiał być potwornie bogatym facetem, Marie-Ange. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy, po prostu nie przyszło mi to do głowy... Zamek, w którym mieszkaliście, musiał być chyba wielkości pałacu Buckingham...

- Nie, nic z tych rzeczy. Zamek w Marmouton był piękny, ale wcale nie aż tak ogromny. Byłam wtedy dzieckiem, Billy, nie zastanawiałam się, czy rodzice są bogaci, czy nie. Mieliśmy wielki ogród i sad, cały majątek być dość rozległy, a firma ojca przynosiła zapewne duży dochód. Miał też jakieś oszczędności i... Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, Billy. Co powinnam teraz zrobić?

Miała nadzieję, że udzieli jej jakiejś rady, ale obydwójce byli jeszcze bardzo młodzi i nie potrafili zgadnąć, jakie konsekwencje może pociągać za sobą posiadanie tak ogromnej sumy. Prowadzili dotąd bardzo skromne, zwyczajne życie. Nie wiedzieli, co znaczy być zamożnym, nie mówiąc już o bogactwie.

- A co chcesz zrobić? - zapytał z namysłem. -Chciałabyś wrócić do domu i zacząć wszystko od początku, czy skończyć uniwersytet tutaj? Możesz robić, co zechcesz. Do licha, Marie-Ange, możesz nawet przenieść się na Harvard, jeżeli tego zapragniesz!

W oczach Billy'ego ta ostatnia możliwość symbolizowała nieograniczoną niczym wolność. Był szczęśliwy, że Marie-Ange nie musi dłużej liczyć się z każdym centem.

- Myślę, że pojedę na trochę do Francji, żeby znowu zobaczyć Marmouton. Mogłabym nawet odkupić zamek...

I nigdy już tu nie wrócić, pomyślał Billy. Taka była rzeczywistość. Nagle przestraszył się, że jeśli Marie-Ange wyjedzie, nie zobaczy jej nigdy więcej. Nie wypowiedział głośno tych obaw, lecz ona natychmiast odgadła, co dzieje się w jego sercu.

- Wrócę tu, Billy. Chcę tylko zobaczyć, jak wygląda Marmouton. Może wezmę urlop na jeden semestr... Wróciłabym po Nowym Roku, żeby skończyć studia...

- To dobry pomysł - powiedział Billy. Postanowił odsunąć na bok swoje uczucia i myśleć tylko o niej. Kochał ją dość mocno, aby zapomnieć o sobie. - Ale niewykluczone, że we Francji byłabyś szczęśliwsza...

W końcu Marie-Ange była przecież Francuzką, a w Stanach nie miała żadnych krewnych poza ciotką Carole. To prawda, że spędziła tu prawie połowę życia, ale w głębi duszy ciągle tęskniła za Francją. Billy doskonale o tym wiedział.

- Może - mruknęła. - Nie wiem, co mam ze sobą zrobić, naprawdę.

Przyszło jej nagle do głowy, że ani Francja, ani Stany nie są jej prawdziwym domem. Miała teraz tyle możliwości, że uczucie zagubienia i niepewności narastało w niej z każdą minutą.

- Przyjechałbyś do mnie, gdybym została we Francji? - zapytała. - Mógłbyś wreszcie nauczyć się francuskiego.

Przysłałabym ci bilet. - Znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie przyjmie od niej takiego prezentu. Będzie oszczędzał przez wiele, wiele miesięcy, ale na pewno nie zgodzi się, żeby kupiła mu bilet. - Musisz przyrzec, że przyjedziesz, gdybym zdecydowała się tam zostać...

- Nie chcesz skończyć szkoły? - W głosie Billy'ego zabrzmiał prawdziwy niepokój.

- Chcę. Najprawdopodobniej wrócę za parę miesięcy, stracę najwyżej jeden semestr. Zobaczmy, jak się wszystko ułoży.

- Szkoda byłoby, gdybyś przerwała naukę - rzekł tonem zatroskanego starszego brata.

- Nie martw się, na pewno nie zrobię takiego głupstwa.

Wyjęła dokumenty z koperty i oboje przeczytali je uważnie. Niestety, żadne z nich nie rozumiało zestawienia wyników poczynionych przez radę nadzorczą banku inwestycji.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - powtórzył Billy, gdy już wsiadła do samochodu. Nagle uśmiechnął się szeroko i mocno ją uściskał. - Marie-Ange, to niewiarygodne! Kto by przypuszczał, że okażesz się bogatą dziewczyną!

- Czuję się jak Kopciuszek - szepnęła.

- Tylko nie ucieknij zaraz z jakimś przystojnym księciem! - zażartował.

Zdawał sobie sprawę, że zmiana w sytuacji życiowej Marie-Ange odbiera mu wszelkie szanse, ale przecież i tak nie dawała mu żadnych nadziei. Teraz nie mógł nawet zapytać, czy z czasem jej stosunek do niego nie ulegnie zmianie. Była dziedziczką wielkiej fortuny, ale także jego najlepszą przyjaciółką, i zmusiła go do złożenia obietnicy, że nie dopuści, aby jej bogactwo zniszczyło łączącą ich więź.

- Wrócę jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, przyrzekam. - W tej chwili naprawdę wierzyła, że tak będzie.

Billy miał pewne wątpliwości, ale milczał. Zastanawiał się, czy rzeczywiście zechce wrócić do Iowa po wszystkich tych

ciężkich, smutnych latach, jakie tu spędziła. Szybko doszedł do wniosku, że jest to mało prawdopodobne.

Odprowadził ją do samochodu i jeszcze raz mocno uściskał. Wóz, który podarował jej trzy lata temu, wydał mu się nagle śmieszną kupą złomu.

- Jedź ostrożnie - powiedział, nadal nie mogąc do końca uwierzyć w to, co usłyszał.

Obydwoje potrzebowali czasu, aby przyjąć do wiadomości niezwykłą nowinę.

- Kocham cię, Billy - rzekła poważnie.

Billy wiedział, jakie uczucie Marie-Ange ma na myśli. Nie była to miłość, o której marzył, ale istniało, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Ja też cię kocham - odparł.

Pomachała mu i powoli odjechała. Przez całą drogę do domu i resztę wieczoru zastanawiała się nad różnymi sprawami, a następnego dnia rano pojechała do Des Moines. Miała tam coś do załatwienia. Przyszło jej to głowy przed udaniem się na spoczynek i nie chciała tego odkładać na później. Już z miasta zadzwoniła do Andrew McDermotta i wyjaśniła mu, o co jej chodzi. Prawnik był nieco zaskoczony, ale wiedział, że jego klientka ma zaledwie dwadzieścia jeden lat. Zapytał, czy jest pewna swojej decyzji, lecz ona robiła wrażenie całkowicie zdeterminowanej i nie dała się odwieść od tego pomysłu.

W ciągu niecałej godziny dokonała zakupu. Przedstawiciel producenta zgodził się dostarczyć towar na farmę jeszcze tego samego dnia, sprzedawcy zaś byli pod dużym wrażeniem szybkości, z jaką wybrała model. Kiedy duża ciężarówka zajechała pod dom ciotki

Carole, pomocnicy Toma stłoczyli się dookoła, z zapartym tchem obserwując wyładunek, ciotka wpadła w złość.

- Właśnie czegoś takiego się po tobie spodziewałam! - wybuchnęła. - Co za głupota! I co ty z tym zrobisz?

- Podaruję go Billy'emu - odpowiedziała spokojnie, siadając za kierownicą ogniście czerwonego, nowego porsche, kupionego rano w Des Moines.

Trzy lata temu wyłącznie dzięki dobroci i serdeczności Billy'ego rozpoczęła studia, i teraz wreszcie mogła coś dla niego zrobić, dać mu to, czego pragnął, a na co nigdy nie byłoby go stać. Opłaciła ubezpieczenie za samochód za dwa lata z góry i nie miała wątpliwości, że Billy będzie bardzo zadowolony.

Podjechała nowym samochodem pod dom Billy'ego w chwili, gdy jej przyjaciel i jeden z jego braci wjeżdżali właśnie traktorem na podwórko.

- Zamieniłaś chevroleta na tę maszynę? - Billy się zaśmiał. - Mam nadzieję, że nie dałaś się oszukać!

Zeskoczył z ciągnika i podszedł bliżej, z nieukrywany podziwem przyglądając się czerwonemu porsche.

- Jak wyjaśnisz taki zakup? - zapytał z niepokojem. Wiedział, że Marie-Ange nie chce, aby wiadomość o jej bogactwie rozeszła się po sąsiadach, lecz obawiał się, że nie zdoła długo zachować tego w sekrecie.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. - Uśmiechnęła się promiennie. - Może po prostu powiem, że go ukradłam? Wiem jedno - nie ja będę nim jeździć.

- Dlaczego nie? - Billy się zdziwił. Marie-Ange wysiadła, podała mu kluczyki i ucałowała go w oba policzki.

- Bo jest twój, Billy! - szepnęła. - Jesteś najlepszym przyjacielem na świecie i moim bratem.

Billy'emu Izy napłynęły do oczu. Długo milczał, nie mając pojęcia, co powiedzieć, a kiedy w końcu odzyskał głos, zaczął przekonywać Marie-Ange, że nie może przyjąć od niej tak drogiego prezentu, niezależnie od tego, ile pieniędzy zostawił jej ojciec. Ale ona nie chciała w ogóle rozmawiać na ten temat. Dokumenty samochodu wypisane były na Billy'ego. Usiadła na miejscu obok kierowcy i poprosiła, aby przewiózł ją swoim nowym porsche.

- Nie wiem, jak ci dziękować - wykrztusił Billy, siadając za kierownicą.

Trudno było mu oprzeć się tej ogromnej pokusie. Cała jego rodzina i wszyscy pracownicy ojca zebrali się przed domem, nie spuszczać oka z Billy'ego i Marie-Ange. Czuli, że wydarzyło się coś nieprawdopodobnego.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za niego? - zawołała matka Billy'ego, wychylając się z kuchennego okna.

Była przekonana, że Marie-Ange wygrała samochód w jakimś konkursie albo na loterii i postanowiła dać go Billy'emu.

- Nie! - odrzyknęła z uśmiechem dziewczyna. - To znaczy, że Billy ma nowy samochód!

Billy przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik małego sportowego wozu ryknął pełną mocą. Gdy ruszyli, Billy wydał dziki okrzyk radości, a wiatr rozwił długie jasne włosy Marie-Ange.

Rozdział szósty

Ciotka Carole sprzedała farmę i dwa tygodnie po podpisaniu umowy przeniosła się do domu starców w Boone. Marie-Ange pomogła jej spakować rzeczy. Układając je w walizkach, nie mogła przestać myśleć o okrucieństwie, z jakim Carole zaraz po jej przyjeździe pozbawiła ją prawie wszystkich ubrań i zabawek, oddając je do sklepu z używanymi rzeczami. Starannie zapakowała pamiątki i ulubione przedmioty ciotki i odwiozła ją do Boone. Kiedy dotarły na miejsce, stara kobieta odwróciła się do Marie-Ange i przez długą chwilę patrzyła na nią chłodnym, twardym wzrokiem.

- Nie rób żadnych głupstw - powiedziała.

- Postaram się.

Pragnęła poczuć coś więcej niż zwykłą litość, ale teraz było na to już za późno. Ciotka Carole nie pozwoliła, aby w sercu młodej dziewczyny narodziło się jakiegokolwiek uczucie do niej. Marie-Ange nie była nawet pewna, czy będzie jej brakować Carole. Najprawdopodobniej nie, pomyślała.

- Napiszę do ciebie, ciociu Carole, żebyś wiedziała, gdzie jestem - odezwała się uprzejmie.

- Nie musisz tego robić. Nie lubię pisać listów. Jeżeli będę chciała cię znaleźć, skontaktuję się z bankiem.

Ich pożegnanie po dziesięciu latach wspólnego życia było suche i obojętne. Carole nie zdobyła się na to, by okazać jakiegokolwiek uczucie, a może po prostu nic nie czuła. Marie-Ange wyszła na zewnątrz, ze smutkiem myśląc o tym, co mogło je połączyć, lecz nigdy nie połączyło. Gdyby nie Billy, przez całe te dziesięć lat nie miałyby przy sobie żadnej bratniej duszy.

Wróciła do domu i spakowała rzeczy. Tom i jego żona już wyjechali i dom wydał jej się dziwnie pusty i obcy. Bilet lotniczy i paszport leżały w kuchni na stole, torba podróżna stała w korytarzu. Wyjeżdżała następnego dnia rano. Leciała do Chicago, a stamtąd do Paryża, miała więc pokonać tę samą trasę

co przed dziesięciu laty, lecz tym razem w odwrotnym kierunku. Zamierzała zatrzymać się na parę dni w Paryżu i może zajrzeć na Sorbonę, aby się zorientować, czy mogłaby zapisać się na jakieś zajęcia, potem zaś chciała wynająć samochód i pojechać do Marmouton. Musiała zobaczyć swój rodzinny dom i dowiedzieć się, co stało się z Sophie. Przypuszczała, że jej stara niania nie żyje, miała jednak nadzieję, że ktoś z dawnych znajomych Sophie będzie wiedział, kiedy i gdzie umarła. Marie-Ange była przekonana, że Sophie umarła ze smutku i tęsknoty. Gdyby żyła, na pewno napisałaby do swojej ukochanej dziewczynki, zwłaszcza że przez pierwszy okres pobytu w Stanach Marie-Ange pisywała do niej co tydzień. Nie dostała jednak żadnego listu od Sophie, żadnej wiadomości.

Tego wieczoru zjadła kolację z Billym i jego rodziną. Wszyscy sąsiedzi i znajomi nadal mówili o nowym porsche Billy'ego, a on korzystał z każdej okazji, żeby przejechać się swoim wspaniałym wozem. Ojciec Billy'ego żartował, że syn spędza więcej czasu w porsche niż na traktorze, a Debbi, dziewczyna Billy'ego, zakochała się w czerwonym samochodzie od pierwszego wejrzenia. Billy cieszył się nim też dlatego, że dostał go w prezencie od Marie-Ange. Zgodził się go wreszcie przyjąć i chociaż nadal powtarzał, że nie powinien tego robić, po prostu nie potrafił się z nim rozstać. Był to jego wymarzony wóz, lecz przede wszystkim symbol przywiązania Marie-Ange, która w ten sposób postanowiła wyrazić mu swą wdzięczność.

- Zaraz po przylocie do Paryża zadzwonię do ciebie - obiecała tego wieczoru, kiedy odwiózł ją do domu.

Zostawiła chevroleta w garażu Parkerów i poprosiła Billy'ego, aby przechował jej samochód do czasu, gdy wróci, by skończyć studia. Nie chciała go sprzedawać, ponieważ wiązało się z nim zbyt wiele pięknych i wzruszających wspomnień. Czerwony Chevrolet był jedyną pamiątką z lat spędzonych w domu ciotki, jaką z całego serca pragnęła zatrzymać. To, co ważne i dobre w tym okresie jej życia, wiązało się wyłącznie z Billym.

Billy miał przyjechać rano i odwiedzić ją na lotnisko w Fort Dodge. Do późna chodziła po pustym domu, myśląc o wszystkim, co tu przeżyła i słuchając echa własnych kroków wśród nagich ścian. Zastanawiała się, jak czuje się w nowym miejscu jej ciotka, lecz Carole przy pożegnaniu powiedziała, żeby do niej nie dzwoniła, więc Marie-Ange nie chciała postępować wbrew jej wyraźnemu życzeniu.

Tej nocy spała niespokojnie, budząc się co jakiś czas, a rano, po raz pierwszy od dziesięciu lat, nie musiała zrywać się do żadnych czekających na nią obowiązków. Myśl, że wkrótce będzie w Paryżu i w Marmouton, wydawała się bardzo dziwna. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, co tam zastanie.

Billy przyjechał po nią punktualnie o dziewiątej i wrzucił jej torbę na tylne siedzenie porsche. Marie-Ange nie miała żadnych pamiątek ani fotografii, z wyjątkiem paru zdjęć Billy'ego, żadnych maskotek, poza kilkoma, które dostała od niego na urodziny i na Boże Narodzenie. Były to jedyne rzeczy, jakie miały dla niej znaczenie obok zdjęć rodziców i Roberta oraz złotego medalionu, który zawsze nosiła na szyi.

W drodze na lotnisko oboje milczeli. Mieli sobie tyle do powiedzenia, ale nie byli w stanie rozmawiać. W ciągu minionych dziesięciu lat wielokrotnie omawiali różne ważne sprawy i zawsze wspierali się nawzajem. Ale teraz oboje zdawali sobie sprawę, że odległość ośmiu tysięcy kilometrów, jaka miała ich wkrótce rozdzielić, musi wpłynąć na ich przyjaźń i w jakiś sposób ją zmienić.

- Dzwonź zawsze, kiedy będę ci potrzebny - odezwał się Billy, kiedy czekali na komunikat o locie do Chicago.

Marie-Ange nie podróżowała samolotem od przybycia do Stanów i teraz wspominała, jaka była wtedy zrozpaczona, przerażona i bezgranicznie samotna. Przez następnych dziesięć lat to Billy był jej jedynym przyjacielem, jedynym źródłem siły i pocieszenia. U ciotki Carole znalazła dach nad głową i skromne wyżywienie, ale nie uczucie. Billy był jej bratem, ojcem i matką

jednocześnie, najdziwniejsze zaś wydawało się teraz to, że tak doskonale poradził sobie z tą rolą. Zanim podeszła do stanowiska kontroli dokumentów, objęta go mocno i przywarta do niego na długą, długą chwilę. Oboje płakali.

- Będę za tobą strasznie tęskniła - szepnęła.

Czuła się tak, jakby znowu miała rozstać się z Robertem i bardzo się bała, że już nigdy więcej nie zobaczy Billy'ego. On natychmiast wyczuł ten lęk i pocieszająco poklepał ją po plecach.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Prawdopodobnie Francja w ogóle ci się nie spodoba i szybko tu wrócisz...

Sam jednak nie wierzył w to, co mówi.

- Uważaj na siebie - rzekła cicho.

Pocałowali się i uścisnęli mocno ostatni raz. Marie-Ange podniosła oczy, pragnąc na zawsze utrwalić w pamięci jego piegowatą twarz.

- Kocham cię, Billy...

- Ja też cię kocham, Marie-Ange - odparł.

Zrobiłby wszystko, by dziewczyna, którą kochał, została w Iowa, ale dobrze wiedział, że nie byłoby to dla niej najlepsze rozwiązanie. Miała teraz szansę na znacznie lepsze życie, i powinna spróbować ją wykorzystać.

Stał na płycie lotniska i machał ręką tak długo, aż wreszcie samolot stał się małą kropką wysoko na niebie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że Marie-Ange zniknęła z jego życia na dobre. Powoli wracał na farmę, ocierając łzy i myśląc o tym, kim mogła być dla niego, lecz nigdy nie będzie.

Rozdział siódmy

Samolot wylądował o godzinie czwartej rano na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, a ponieważ Marie-Ange miała tylko jedną niewielką torbę, przejście przez kontrolę celną i paszportową zajęło jej zaledwie parę minut. Ze zdziwieniem słuchała melodyjnego języka, jakim mówili wszyscy ludzie wokół niej, i myślała o Billym, który zdołał tak dobrze nauczyć się francuskiego.

Wzięła taksówkę i pojechała do małego hotelu, który poleciła jej jedna ze stewardes. Znajdował się na lewym brzegu i był bezpieczny i czysty. Zanim Marie-Ange zdążyła umyć się po podróży i rozpakować swoje rzeczy, była już pora śniadania. Postanowiła spacerować się ulicami i po półgodzinie znalazła kawiarnię, w której zamówiła croissanty oraz kawę. Kiedy kelner przyniósł śniadanie, namoczyła kostkę cukru w kawie z mlekiem i długo delektowała się jej smakiem, wspominając Roberta i ich wspólne dzieciństwo. Wspomnienia ogarnęły ją wielką falą, cudowne i bolesne jednocześnie. Potem spacerowała przez wiele godzin, obserwując spieszących ulicami ludzi, ciesząc się, że wreszcie jest w Paryżu i może chodzić śladami swoich rodziców. Do hotelu wróciła dopiero wieczorem, wyczerpana, wzruszona i szczęśliwa.

Zjadła kolację w bistro na rogu i długo nie mogła zasnąć. Płakała, myśląc o rodzicach i bracie, o latach, które spędziła w Iowa, i o przyjacielu, który tam został. Smutek nie pozbawił jej jednak radości, jaką budził w niej Paryż. Następnego dnia poszła na Sorbonę i wybrała kilka broszur z zestawami zajęć, w których miała ochotę uczestniczyć. Przez cały dzień chodziła po mieście, wcześniej poszła spać, rano zaś, wypoczęta i odświeżona, wynajęła samochód i wyruszyła w drogę do Marmouton. Na miejsce dotarła dopiero późnym popołudniem. Z bijącym sercem jechała przez miasteczko, rozglądając się dookoła. Zatrzymała się przed piekarnią, w której jako dziecko

kupowała znakomite ciastka, i kiedy weszła do środka, prawie z osłupieniem ujrzała za ladą starą kobietę, która była bliską przyjaciółką Sophie.

Marie-Ange zagadnęła ją ostrożnie i wyjaśniła, kim jest. Staruszka poznała ją i rozplakała się ze wzruszenia.

- Mój Boże, jesteś taka piękna i taka dorosła! - zawołała, obejmując dziewczynę. - Sophie byłaby z ciebie dumna!

- Co się z nią stało? - zapytała Marie-Ange po chwili, biorąc do ręki bułeczkę, którą podsunęła jej kobieta.

- Umarła w zeszłym roku - odparła ze smutkiem staruszka.

- Często do niej pisałam, ale nigdy nie odpowiedziała - powoli rzekła Marie-Ange. - Czy długo chorowała?

Przyszło jej do głowy, że może Sophie dostała udaru mózgu i nie odpisywała, ponieważ była sparaliżowana. Sądziła, że to jedyne logiczne wyjaśnienie milczenia ukochanej niani.

- Nie. Po twoim wyjeździe przeprowadziła się do córki, ale czasami przyjeżdżała do mnie z wizytą. Zawsze rozmawialiśmy o tobie. Mówiła, że w ciągu pierwszego roku wysłała do ciebie chyba ze sto listów, ale wszystkie do niej wróciły. Potem się poddała. Myślała, że może ma zły adres, lecz adwokat twojego ojca potwierdził, że adres jest dobry. Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Może ktoś nie chciał, żebyś dostała te listy...

Serce Marie-Ange ścisnęło się z bólu. To był prawdziwy cios. W jednej chwili zrozumiała, że to ciotka Carole systematycznie odsyłała listy Sophie i wyrzucała te, które Marie-Ange regularnie pisała do niani. Na pewno uważała, że w ten sposób przecina więzy łączące Marie-Ange z przeszłością. Był to typowy dla Carole akt okrucieństwa, zupełnie niepotrzebny i nieprzemyślany. Teraz Sophie już nie było. Umarła. Marie-Ange bolała nad tą stratą tak bardzo, jakby niania odeszła dopiero przed chwilą.

- Tak mi przykro... - szepnęła stara kobieta, widząc wyraz cierpienia malujący się na twarzy młodej dziewczyny.

- Kto mieszka teraz w zamku? - zapytała Marie-Ange. Powrót do Marmouton okazał się bardzo trudnym przeżyciem. Czekają tu na nią mnóstwo gorzkosłodkich wspomnień, więcej niż się spodziewała. Czuła, że na widok zamku serce pęknie jej z bólu, ale wiedziała, że musi spojrzeć na swój dom, oddać hołd przeszłości, dotknąć murów, w których być może rozbrzmiewało jeszcze echo głosów ludzi, których kochała. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie odzyska ani ich, ani tego, co przeżyła w Marmouton, ale mimo wszystko musiała tu wrócić.

- Kupił go hrabia de Beauchamp. Mieszka na stałe w Paryżu i prawie nigdy tu nie przyjeżdża. Zamek stoi pusty, ale jeśli chcesz, możesz się tam wybrać. Brama jest zawsze otwarta. Hrabia zatrudnił jako zarządcę wnuka madame Fournier, może go nawet pamiętasz...

Marie-Ange doskonale go pamiętała. Wnuk pani Fournier był ledwo parę lat starszy od niej i jako dzieci często bawili się razem. Kiedyś pomógł młodej Marie-Ange wdrapać się na drzewo, Sophie skrzyzczała ich oboje i wymierzyła im po tegim klapsie. Marie-Ange zastanawiała się, czy jej były kolega pamięta to zdarzenie równie żywo jak ona.

Podziękowała właścicielce piekarni, obiecała, że na pewno jeszcze do niej zajrzy i bez pośpiechu ruszyła do zamku. Zgodnie z tym, co powiedziała jej stara kobieta, brama była szeroko otwarta. Zaskoczyło to Marie-Ange. Skoro właściciela zamku nie ma w domu, zarządca powinien chyba pomyśleć o lepszym zabezpieczeniu majątku, pomyślała.

Zaparkowała wynajęty samochód pod murami i przeszła przez bramę, czując się tak, jakby wracała do raj. Podświadomie bała się, że ktoś ją zatrzyma, ale wokół nie było żywej duszy i panowała całkowita cisza. Alain Fournier musiał być zajęty gdzie indziej, jeżeli w ogóle przebywał na terenie zamku, który robił wrażenie zupełnie opuszczonego. Okienne były zamknięte, kwietniki zarośnięte chwastami. Dziedziniec emanował dziwnym smutkiem, część zamkowego dachu była w

bardzo złym stanie i wymagała remontu. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła roztaczające się w tle zamku znajome pola, owocowy sad oraz las. Ta część majątku wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętała. Przez chwilę wydawało się jej, że znowu jest dzieckiem i że lada chwila z kuchni wyjdzie Sophie, aby zawołać ją na kolację. Robert będzie już czekał przy stole, a rodzice zaraz się zjawią, zakończywszy codzienne zajęcia... Stała bez ruchu, zasłuchana w śpiew ptaków, nie zwracając uwagi na płynące po jej policzkach łzy. Powietrze było chłodne i pachnące, zamek, mimo atmosfery zaniedbania, piękniejszy niż kiedykolwiek. Żałowała, że nie ma przy niej Billy'ego, bo dom jej dzieciństwa był taki, jak mu go opisała.

Z pochyloną głową wyszła na pole, myśląc o utraconej rodzinie, latach spędzonych poza domem, o życiu pełnym ciepła i poczucia bezpieczeństwa, które tak nagle się skończyło. Teraz wróciła, lecz jej dom należał już do kogoś innego. Na samą myśl o tym serce ścisnęło jej się boleśnie. Usiadła na kamieniu, dopuszczając do siebie tysiąc najmilszych wspomnień i nie licząc mijających minut. Kiedy wreszcie wróciła do rzeczywistości, zapadał zmrok. Nadchodziła chłodna, październikowa noc. Wstała i powoli ruszyła w kierunku zamku. Mijała właśnie wejście do kuchni, gdy tuż koło niej z piskiem opon zatrzymał się sportowy samochód. Siedzący za kierownicą mężczyzna spojrział na nią z lekkim zdziwieniem, zaraz jednak uśmiechnął się i wysiadł. Był wysoki i szczupły, miał ciemne włosy, zielone oczy i regularne, szlachetne rysy twarzy. Marie-Ange natychmiast pomyślała, że musi to być hrabia de Beauchamp.

- Zgubiła pani drogę? - zapytał uprzejmie. - Czy mogę pomóc?

Dostrzegła złoty sygnet z herbem na jego palcu. A więc miała rację...

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała. - Przepraszam, że weszłam na teren pańskiej posiadłości...

Pamięć podsunęła jej obraz ciotki Carole, siedzącej na ganku z wiatrówką na kolanach, i przestraszonej twarzy Billy'ego. Na szczęście ten człowiek miał o wiele lepsze maniery niż jej ciotka.

- To ładne miejsce, prawda? - odezwał się z uśmiechem. - Żałuję, że nie mogę bywać tu częściej.

- Jest bardzo piękne.

W tej samej chwili na dziedziniec wjechał drugi samochód. Ze środka wyskoczył młody mężczyzna, w którym Marie-Ange bez trudu rozpoznała obecnego zarządcę Marmouton, Alaina Fournier.

- Alain? - powiedziała niepewnie, nim zdołała się powstrzymać.

Alain był niski, mocno zbudowany i miał tę samą miłą, otwartą twarz, jaką zapamiętała z dzieciństwa. On również natychmiast poznał Marie-Ange, chociaż teraz miała długie i znacznie mniej kręcone niż kiedyś włosy. Dorosła, ale niewiele się zmieniła.

- Marie-Ange? - Na jego twarzy pojawił się wyraz absolutnego zaskoczenia.

- Znaie się? - zapytał z widocznym rozbawieniem hrabia.

- Tak - powiedział Alain Fournier, wyciągając rękę do Marie-Ange. - Często bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy dziećmi. Kiedy wróciłaś, Marie-Ange?

- Do Paryża przyleciałam przedwczoraj, ale do Marmouton przyjechałam parę godzin temu... - Rzuciła przepraszające spojrzenie nowemu właścicielowi zamku. - Przepraszam, ale po prostu musiałam zobaczyć zamek...

- Mieszkała pani tutaj? - Hrabia patrzył na nią ze zdumieniem.

- Tak, jako dziecko. Moi rodzice... Ja... Moi rodzice zginęli wiele lat temu, a ja wyjechałam do Ameryki, do kuzynki ojca. Dziś po południu przyjechałam tu z Paryża...

- Ja również. - Uśmiechnął się lekko.

Alain pomachał Marie-Ange ręką i zniknął w głębi dziedzińca, najwyraźniej nie chcąc przeszkadzać w rozmowie ze swoim pracodawcą. Hrabia de Beauchamp miał na sobie niebieski rozpinany sweter i spodnie z szarej wełnianej flaneli, wszystko w doskonałym gatunku i niewątpliwie drogie.

- Może ma pani ochotę wejść do środka i rozejrzeć się po domu? - zaproponował swobodnie.

Marie-Ange się zawahała. Nie chciała naruszyć zasad dobrego wychowania, ale nie potrafiła oprzeć się tej wielkiej pokusie. Była pewna, że mężczyzna wyczytał w jej oczach, jak bardzo pragnie zobaczyć zamek.

- Nalegam - powiedział, uśmiechając się ciepło. - Robi się zimno. Zaparzę herbatę, a pani w tym czasie obejrzy stare kąty.

Bez słowa skinęła głową i z wdzięcznością weszła za nim do dobrze znanej kuchni. Ledwo przekroczyła próg, a już poczuła, jak świat dzieciństwa otacza ją miękkimi ramionami. W oczach stanęły jej łzy.

- Bardzo się tu zmieniło? - zapytał łagodnie hrabia. Najwyraźniej nie znał okoliczności śmierci jej rodziców i brata, widział jednak, że jest to dla niej chwila pełna głębokiego wzruszenia. - Proszę się nie krępować. Może pani przejść się po domu, a kiedy pani wróci, gorąca herbata już będzie czekała.

Poczuła się zażenowana, że do tego stopnia wykorzystuje uprzejmość hrabiego, był jednak tak miły i życzliwy, iż po chwili niepewności odrzuciła skrupuły.

- Kuchnia prawie się nie zmieniła - zauważyła, rozglądając się po pomieszczeniu z wyrazem pełnego czułości zaskoczenia.

Pod ścianą stał ten sam stół, przy którym codziennie siadała do posiłków z rodzicami i Robertem. Krzesła również były te same. To tu Robert podawał jej pod stołem namoczone w kawie kostki cukru...

- Czy kupił pan zamek bezpośrednio z masy spadkowej po moim ojcu? - zapytała, podczas gdy hrabia wyjmował z

serwantki porcelanowy imbryk do herbaty i antyczne srebrne sitko.

- Nie. Kupiłem całą posiadłość od człowieka, który sam nabył ją siedem lat wcześniej, ale nigdy tu nie mieszkał. Wydaje mi się, że jego żona była chora, a może po prostu jej się tu nie podobało. Sprzedał mi Marmouton trzy lata temu. Zamierzam odrestaurować zamek i przyjeżdżać tu znacznie częściej niż do tej pory. Nie miałem dotąd czasu na zrealizowanie tych planów, lecz chciałbym rozpocząć remont w zimie, najdalej wiosną. Marmouton zasługuje na to, aby przywrócić mu dawną urodę.

Nie ulegało wątpliwości, że zamek wygląda na mocno zaniedbany.

- Mam wrażenie, że nie będzie to wymagało zbyt wielkich nakładów. - Marie-Ange sięgnęła po podaną przez hrabiego filiżankę herbaty.

Ściany należało pomalować, a podłogi starannie wywoskować, ale w jej oczach zamek nadal wyglądał pięknie, ponieważ niewiele się zmienił. Zapamiętała go właśnie takim i pragnęła, aby taki pozostał. Hrabia uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że system kanalizacyjny jest w marnym stanie, poza tym światło ciągle gdzieś się psuje rzeki. - Trzeba tu włożyć dużo pracy. Może mi pani wierzyć, to poważne przedsięwzięcie. Muszę także zadbać o sad i winnicę, lecz przede wszystkim pokryć zamek nowym dachem. Obawiam się, mademoiselle, że dopuściłem, aby pani rodzinny dom popadł w ruinę -dodał z przepraszającym uśmiechem, pełnym uroku, humoru i energii. - Pani wybacz, że jeszcze jej się nie przedstawiłem - nazywam się Bernard de Beauchamp.

- Marie-Ange Hawkins.

Uścisnęli sobie dłonie. Słyszając jej nazwisko, Bernard de Beauchamp przypomniał sobie nagle historię, którą opowiadał mu ktoś z zamieszkałych w okolicy znajomych. Ponad dziesięć lat temu w pobliżu miał miejsce tragiczny wypadek, w którym

zginęli rodzice i syn. Osierocili małą dziewczynkę. Dopiero teraz zrozumiał, że Marie-Ange jest właśnie tą dziewczynką.

Zachęcił ją, aby przeszła do salonu i po chwili usłyszał, jak powoli wchodzi po schodach na górę. Kiedy wróciła, zauważył ślady łez na policzkach i poczuł, jak serce drgnęło mu ze współczucia.

- Powrót do Marmouton musi być dla pani trudnym przeżyciem. - Zaprosił ją do stołu, podsuwając drugą filiżankę mocnej, ciemnej herbaty.

Marie-Ange sączyła gorący napój i z każdym łykiem odzyskiwała siły.

- Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałam - przyznała.

Bernard de Beauchamp spojrział na nią uważnie, choć dyskretnie. Była bardzo młoda i ładna. On sam parę miesięcy temu skończył czterdzieści lat i przypuszczał, że jest od niej dwa razy starszy.

- Można się było tego spodziewać - odparł poważnie. - Przypominam sobie, że słyszałem o pani rodzicach i o pani. - Uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem. Robił wrażenie bardzo miłego, dobrego człowieka. - Wiem, co znaczy taka strata. Dziesięć lat temu w pożarze, który wybuchł w zamku podobnym do tego, zginęła moja żona i syn. Sprzedałem tamtą posiadłość i długo odzyskiwałem równowagę ducha, jeżeli w ogóle jest to możliwe. Potem kupiłem Marmouton, ponieważ najwyraźniej podświadomie chciałem mieć znowu podobny dom, ale nie było mi łatwo. Może dlatego dopiero teraz zacząłem poważnie myśleć o remoncie zamku, sam nie wiem. Tak czy inaczej, kiedy prace dobiegną końca, będzie tu naprawdę pięknie.

- Zapewne równie pięknie, jak w czasie mojego dzieciństwa. - Marie-Ange uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Moja matka zawsze dbała, żeby wszędzie stały świeże kwiaty...

- A jaka pani była wtedy? - zapytał z łagodnym zainteresowaniem.

- Całymi dniami łąziłam po drzewach i zrywałam owoce w sadzie - odparła i obydwójce roześmiali się, rozbawieni przedstawionym przez nią obrazem.

- Od tego czasu niewątpliwie bardzo się pani zmieniła - rzekł Bernard de Beauchamp.

Wyglądał na naprawdę zadowolonego, że może wypić filiżankę herbaty w jej towarzystwie. Marie-Ange pomyślała, że na pewno czuje się tu samotny, z powodów, o których przed chwilą wspomniał. Jej pojawienie się było chyba dla niego miłą niespodzianką.

- Tym razem planuję zostać w Marmouton cały miesiąc - ciągnął. - Chcę spokojnie przejrzeć plany przebudowy zamku i omówić je z właścicielem lokalnej firmy budowlanej. Po zakończeniu remontu musi mnie pani odwiedzić ponownie, oczywiście jeżeli znajdzie pani czas. Na jak długo chce się tu pani zatrzymać? - zapytał z zainteresowaniem. Marie-Ange spojrzała na niego niepewnie.

- Nie jestem jeszcze pewna... Dwa dni temu przyjechałam ze Stanów i na razie wiem tylko tyle, że bardzo pragnęłam tu przyjechać... Po powrocie do Paryża chcę się zorientować, czy mogę przez jeden semestr uczestniczyć w zajęciach na Sorbonie.

- Przeprowadziła się już pani do Francji?

- Nie wiem - rzekła szczerze. - Nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji. Mój ojciec zostawił... - Przerwała nagle, ponieważ zdała sobie sprawę, że tak daleko posunięta otwartość byłaby w złym guście. - Mogę teraz pozwolić sobie na to, aby robić, co chcę, więc muszę zastanowić się, na czym mi naprawdę zależy.

- To dobry moment w życiu - rzekł Bernard, napelniając jej filiżankę herbatą. - Gdzie się pani zatrzymała, panno Hawkins?

- Tego też jeszcze nie wiem - odparła ze śmiechem. Przyszło jej do głowy, że hrabia, który wyglądał na bardzo inteligentnego i mądrego życiowo, na pewno uważa ją za dziecinną i głupią. - I proszę mówić do mnie po imieniu, dobrze?

- Z przyjemnością. - Maniery Bernarda de Beauchamp były nieskazitelne, jego urok niemożliwy do zignorowania, no i wyglądał bardzo atrakcyjnie. - Przyszedł mi właśnie do głowy dziwny pomysł... Pomyśli pani, że oszalałem, ale z drugiej strony może przypadnie on pani do gustu. Cóż, muszę zaryzykować. Otóż pomyślałem, że może zechce pani zatrzymać się tutaj, w zamku, skoro nie zarezerwowała pani pokoju w hotelu... Zdaję sobie sprawę, że się w ogóle nie znamy, ale może pani przecież zamknąć wszystkie drzwi w swoim skrzydle zamku. Ja śpiam w pokoju gościnnym, ponieważ jest jasny i pogodny. Bardzo go lubię. Mogę oddać pani główny apartament, który można bardzo dokładnie odciąć od pozostałych pomieszczeń, jeżeli miałyby to rozwiać pani ewentualne obawy. Odnoszę wrażenie, że chciałaby pani spędzić noc w swoim rodzinnym domu...

Marie-Ange wpatrywała się w niego bez słowa, nie mogąc uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Propozycja Bernarda bardzo ją zaskoczyła, ale w sposób bardziej niż pozytywny. I wcale się go nie obawiała. Był doskonale wychowanym, niezwykle uprzejmym człowiekiem z dobrej rodziny, wiedziała więc, że nie ma czego się bać. Ponad wszystko na świecie pragnęła zostać w Marmouton i zanurzyć się we wspomnieniach.

- Zachowałabym się bardzo nieuprzejmie, przyjmując tę propozycję, prawda? - zapytała ostrożnie, bojąc się nadużyć jego uprzejmości, a równocześnie z całego serca chcąc pozostać w rodzinnym domu.

- W żadnym razie! - zaprotestował gorąco. - Sam cię zaprosiłem. Gdybym nie chciał cię tu gościć, na pewno bym tego nie zrobił. Nie wyobrażam sobie, abyś miała okazać się kłopotliwym gościem.

Uśmiechnął się do niej z ojcowską serdecznością. Marie-Ange przyjęła zaproszenie, nie zastanawiając się dłużej, czy powinna to uczynić, i obiecała, że następnego dnia wyjedzie do Paryża.

- Zostań tak długo, jak chcesz - odparł Bernard. - Mówiłem ci już, że zamierzam spędzić tu miesiąc wakacji, a kiedy jestem sam, nie najlepiej się tu czuję.

Marie-Ange pomyślała, że może powinna zaproponować mu jakąś zapłatę za gościnę, ale lękała się go obrazić. Nie ulegało wątpliwości, że Bernard de Beauchamp jest bogaty, poza tym był przecież hrabią, prawdziwym arystokratą. Nie chciała, aby przyszło mu do głowy, że traktuje jego zamek jak hotel.

- Skoro już ustaliliśmy najważniejsze sprawy, powinniśmy zdecydować, co zjemy na kolację - odezwał się. - Masz jakieś plany, czy wolisz, bym coś wyczarował? Nie jestem mistrzem patelni, ale potrafię przyrządzić coś jadalnego. W samochodzie mam trochę rzeczy, które kupiłem w supermarkecie przy drodze z Paryża, więc możemy zaryzykować...

- Nie oczekuję, że będzie mnie pan także karmił. - Rzuciła mu zawstydzone spojrzenie, zupełnie nieświadoma, jaką radość sprawiało mu jej towarzystwo. - Może to ja ugotuję coś dla pana - zaoferowała nieśmiało.

Przez ostatnie kilka lat codziennie przygotowywała . posiłki dla ciotki. Nie były one zbyt wymyślne, ale chyba dość smaczne, ponieważ Carole nigdy nie narzekała.

- Umiesz gotować? - zapytał, najwyraźniej rozbawiony tą myślą.

- W Ameryce musiałam gotować dla ciotki' mojego ojca.

- Trochę jak Kopciuszek, co? - W zielonych oczach Bernarda zabłyśły wesołe iskierki.

- Trochę tak - przytaknęła, odnosząc pustą filizankę do zlewu.

Wystarczyło, że stanęła przy blacie, by niezliczone wspomnienia o Sophie napłynęły wielką falą. Myślami wróciła do listów, które pisała do Sophie, nieświadoma, że nigdy nie dotrą do rąk niani...

- Chyba jednak to ja powinienem coś ugotować - oświadczył Bernard.

W końcu oboje zdecydowali się jednak na pasztet, świeżą bagietkę i ser brie, wszystko z supermarketu. Bernard przyniósł z piwnicy butelkę doskonałego czerwonego wina, lecz Marie-Ange odmówiła.

Nakryła stół i usiedli do kolacji ani na chwilę nie przestając rozmawiać. Marie-Ange dowiedziała się, że Bernard pochodzi z Paryża. Jako dziecko przez pewien czas mieszkał w Anglii, potem wrócił do Francji. Powiedział też, że jego synek miał cztery lata, kiedy poniósł śmierć w pożarze. Bernard był pewien, że nigdy nie podniesie się po tym ciosie, i w pewnym sensie rzeczywiście tak się stało. Nie ożenił się ponownie i nie zamierzał tego zrobić, chociaż przyznawał, że często czuje się bardzo samotny. Mimo tak strasznych życiowych doświadczeń wcale nie był ponury i parę razy szczerze ją rozśmieszył.

Pożegnali się o dziesiątej wieczorem. Bernard upewnił się, czy pościel w apartamencie jest świeża, życzył jej dobrej nocy i zniknął w korytarzu prowadzącym do pokoi gościnnych. Nie powiedział nic niewłaściwego i nie robił żadnych aluzji, dotyczących nowej znajomości czy ich przebywania pod jednym dachem. Był prawdziwym dżentelmenem.

Marie-Ange ułożyła się do snu w sypialni rodziców, ale nie mogła zasnąć. Myślała o nich i o Robercie. Jej serce i umysł przepełnione były wspomnieniami, a chwilami miała nawet wrażenie, że wyczuwa wokół siebie ich obecność.

Rozdział ósmy

Kiedy Marie-Ange zeszła na śniadanie następnego dnia rano, wyglądała na zmęczoną. Bernard siedział przy kuchennym stole, popijając kawę z mlekiem i czytając gazetę, którą Alain przywiózł z miasta. Słyszając kroki, podniósł wzrok znad lektury.

- Jak spałeś? - zapytał z wyraźnym niepokojem.

- Och, nie mogłam opędzić się od wspomnień - odparła. - Oczywiście to naturalne, ale jestem trochę niewyspana.

Przed zejściem do kuchni doszła do wniosku, że nie powinna zakłócać spokoju Bernarda jeszcze bardziej, niż zrobiła to do tej pory. Zdecydowała, że podziękuje mu za gościnę, pożegna się z nim, pojedzie na śniadanie do miasteczka, a stamtąd wyruszy w drogę powrotną do Paryża.

- Obawiałem się, że tak będzie - powiedział, nalewając jej kawy do czarnej. - Myślałem o tym wczoraj wieczorem. Przeszłość nigdy nie opuszcza nas całkowicie...

- Moi rodzice i brat zginęli dziesięć lat temu - rzekła, sięgając po czarkę i myśląc o maczanych w kawie z mlekiem kostkach cukru.

- Ale nigdy potem tu nie wróciłaś - zauważył rozsądnie. - Dlatego jest ci tak ciężko. Masz ochotę na spacer po lesie, czy wolisz odwiedzić farmę?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała z uśmiechem. - Powinam wracać do Paryża.

Nie było powodu, by została tu dłużej. Spędziła tu jedną noc, w czasie której dotknęła najcudowniejszych i najstraszniejszych wspomnień, i to musiało jej wystarczyć. Teraz zamek w Marmouton należał do Bernarda, a ona musiała pójść własną drogą.

- Masz jakieś umówione spotkania w Paryżu? - zapytał spokojnie. - Czy po prostu czujesz, że powinnaś wyjechać?

Marie-Ange potakująco skinęła głową, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Przez chwilę Bernard podziwiał w

milczeniu jej wspaniałe, długie jasne włosy, lecz ona nie dostrzegła w wyrazie jego oczu niczego niepokojącego. Wiadomość, że spędziła noc w domu obcego człowieka, na pewno zaszokowałyby wiele osób, ale ona nie miała poczucia, iż postąpiła niewłaściwie. Bernard zachowywał się w stosunku do niej bez zarzutu, całkowicie nieobowiązująco i w żaden sposób się nie narzucał.

- Sądzę, że powinien pan mieć czas nacieszyć się własnym domem, bez obcej osoby, która zadomowiła się w głównym apartamencie - oświadczyła, patrząc na niego poważnie. - Okazał mi pan mnóstwo wyrozumiałości i troski, lecz nie mam prawa dłużej pana absorbować.

- W żaden sposób mnie nie absorbujesz i masz wszelkie prawo przebywać tu jako mój gość. Szczerze mówiąc, chętnie zasięgnąłbym twojej rady w paru kwestiach. Chciałbym, abyś opowiedziała mi, jak wyglądał zamek, kiedy w nim mieszkałaś. Myślisz, że znalazłabyś na to czas?

Marie-Ange pomyślała, że czasu ma z pewnością pod dostatkiem, trudno jednak było jej uwierzyć w dobroć Bernarda de Beauchamp, który całkowicie szczerze, tak jej się w każdym razie wydawało, zapraszał ją, aby została w jego domu dłużej.

- Jest pan pewien? - zapytała niepewnie.

- Zupełnie pewien. I bardzo proszę, żebyś ty także mówiła do mnie po imieniu.

Przed lunchem wybrali się na spacer po polach i dokładnie opowiedziała Bernardowi, co znajdowało się w poszczególnych pokojach. Dotarli aż na farmę, skąd Bernard zadzwonił po Alaina Fournier, prosząc, by przyjechał po nich samochodem. Nie chciał, aby Marie-Ange zmęczyła się zbyt długą pieszą wędrówką.

Wczesnym popołudniem Marie-Ange pojechała do miasta. Kupiła sporo jedzenia i kilka butelek doskonałego wina, aby przynajmniej w ten sposób podziękować Bernardowi za jego niewiarygodną gościnność. Kiedy wieczorem zaproponowała, że

przygotuje dla nich obojga kolację, Bernard zaprosił ją do restauracji. Pojechali do przytulnego bistro pod miasteczkiem, którego nie było dziesięć lat temu, i świetnie się bawili. Bernard opowiadał interesujące historie, ona zaś słuchała go chętnie, mając wrażenie, że znają się od bardzo dawna. Jej nowy znajomy był czarującym, zabawnym i bardzo inteligentnym człowiekiem.

Po powrocie, tak jak poprzednio, pożegnali się pod drzwiami sypialni rodziców Marie-Ange. Dziewczyna wzięła kąpiel i położyła się. Tym razem zasnęła prawie natychmiast i spała długo i spokojnie.

Rano, gdy zeszła na śniadanie, trochę bardziej zdecydowanym tonem niż poprzednio powiedziała Bernardowi, że wraca do Paryża.

- Musiałem chyba czymś cię urazić - rzekł, robiąc zabawną minę. - Mówiłem już, że byłbym ci bardzo wdzięczny za pomoc. Może zechcesz poświęcić mi odrobinę czasu, Marie-Ange.

Cała ta sytuacja wydała jej się nagle zupełnie nienaturalna. Wprowadziła się do domu obcego człowieka, któremu najwyraźniej w ogóle to nie przeszkadzało. Czuła się nieswojo, była zawstydzona i niepewna, jak się dalej zachować.

- Dlaczego nie chcesz zostać na weekend? - zapytał. - Wydaję małe przyjęcie i z radością przedstawię cię swoim przyjaciołom. Będą zafascynowani twoją wiedzą o Marmouton. Jeden z moich bliskich znajomych jest architektem i ma zająć się szczegółowym rozplanowaniem obmyślonych przeze mnie zmian. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś jednak została. Nie bardzo rozumiem, dlaczego upierasz się przy powrocie do Paryża. Z tego, co mówiłaś, zrozumiałem, że nie masz tam żadnych pilnych spraw do załatwienia, więc chyba nie musisz się zbytnio spieszyć.

- I moja obecność naprawdę ci nie przeszkadza? - Marie-Ange spojrzała na niego badawczo, lekko marszcząc brwi, zaraz jednak się uśmiechnęła.

Bernard mówił w bardzo przekonujący sposób, jakby rzeczywiście był zadowolony, że niespodziewanie pojawiła się w jego domu i zamieszkała w głównym apartamencie. Traktował ją jak długo oczekiwanego gościa i dobrą znajomą. Ani na chwilę nie pozwolił, by poczuła się jak intruz.

- Dlaczego miałabyś mi przeszkadzać? Co za głupstwa! Świetnie się z tobą rozmawia, mam wrażenie, że spędzamy razem czas w dość przyjemny sposób. Zresztą już bardzo mi pomogłaś, opowiadając o zamku.

Poprzedniego dnia Marie-Ange pokazała tajny korytarz, w którym kiedyś ona i Robert uwielbiali się bawić. Bernard był zachwycony. Nawet Alain nie wiedział o tym tajemniczym przejściu, a przecież wychował się na farmie, w cieniu zamkowych murów.

- Więc jak, zostaniesz? Jeżeli rzeczywiście musisz jechać, w co nie do końca wierzę, to przynajmniej odłóż wyjazd na poniedziałek albo wtorek.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, abym się stąd wyniosła?

- Z całego serca pragnę, żebyś została, Marie-Ange.

Tak więc została. Codziennie robiła zakupy, Bernard przygotowywał z nich posiłki. Znowu pojechali na kolację do miłego bistro w miasteczku, a dzień później Marie-Ange przygotowała pyszną zapiekankę z sałatą. Rano rozmawiali przy kawie z mlekiem i Bernard cierpliwie jej wyjaśniał, jak wygląda francuska scena polityczna. Opowiadał o ludziach, których dobrze znał, o swoich najbliższych przyjaciółach, wypytywał o jej rodzinę i od czasu do czasu wspominał swoją nieżyjącą żonę i synka. Powiedział, że pracuje jako konsultant dla jednego z wielkich francuskich banków, dzięki czemu ma sporo wolnego czasu. Przez wiele lat pracował bardzo ciężko i intensywnie, lecz śmierć najbliższych zupełnie go załamała i dlatego zmienił tryb życia, podejmując decyzję o wycofaniu się z „wyścigu szczurów”. Wszystko to wydawało się Marie-Ange bardzo logiczne i rozsądne.

Po upływie tygodnia postanowiła zadzwonić do Billy'ego z poczty i poinformować go, gdzie jest i co się z nią dzieje. Nie chciała dzwonić z zamku, aby nie obciążać rachunku Bernarda kosztami międzynarodowego połączenia telefonicznego.

- Zgadnij, gdzie jestem! - Zaśmiała się radośnie, kiedy Billy podszedł do telefonu.

- Daj mi się zastanowić... Na Sorbonie?

Billy nadal miał nadzieję, że Marie-Ange wróci do Iowa, aby skończyć college, i poczuł bolesne ukłucie rozczarowania na myśl, że mogła już zapisać się na Sorbonę.

- Nie! Zgaduj jeszcze raz! - Uwielbiała z nim żartować i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jej go brakowało.

- Poddaję się - oświadczył ze śmiechem.

- Jestem w Marmouton. Mieszkam w zamku.

- Przerobili go na hotel? - zapytał ze zdumieniem, myśląc, że chyba nigdy nie słyszał w jej głosie tak beztrudnej radości.

Robiła wrażenie wypoczętej, zadowolonej i pogodzonej z przeszłością. Cieszył się, że pojechała do Marmouton, bo najwyraźniej odnalazła tam spokój i równowagę ducha.

- Nie. Właścicielem zamku jest wyjątkowo miły człowiek, który pozwolił mi się tu zatrzymać.

- Mieszka tam z rodziną? - Billy nie potrafił ukryć zaniepokojenia.

Roześmiała się, słysząc jego ton.

- Nie, jest wdowcem. Stracił żonę i syna w pożarze.

- Niedawno?

- Dziesięć lat temu - odparła spokojnie. Wiedziała, że nie ma się czego obawiać ze strony

Bernarda. Na samym początku ich znajomości ponad wszelką wątpliwość dowiedział, że jest dżentelmenem i teraz ufała mu jak przyjacielowi. Odkryła jednak, że trudno będzie wyjaśnić to Billy'emu przez telefon. Kierowała się odczuciami i całkowicie zaufała swemu instynktowi, jeśli chodzi o Bernarda.

- Ile ma lat?

- Czterdzieści. - Powiedziała to takim tonem, jakby Bernard był zgrzybiałym starcem. Był od niej przecież dwa razy starszy, mógłby być jej ojcem...

- Marie-Ange, to niebezpieczne - rzekł Billy trzeźwo. - Mieszkasz w zamku sama z czterdziestoletnim wdowcem? Co się właściwie dzieje?

- Jesteśmy przyjaciółmi. Bernard chce odrestaurować zamek, a ja mu w tym pomagam, ponieważ pamiętam, jak kiedyś wyglądały wnętrza.

- Dlaczego nie wynajęłaś pokoju w hotelu?

- Bo wolę mieszkać w zamku, a jemu moja obecność w niczym nie przeszkadza. Mówi, że moje rady pozwolą mu zaoszczędzić mnóstwo czasu i pieniędzy.

- Moim zdaniem bardzo ryzykujesz - rzeki Billy. - Co zrobisz, jeśli rzuci się na ciebie, a nawet tylko zacznie cię podrywać? Jesteś tam z nim zupełnie sama, dziewczyno...

- Na pewno nie zrobi nic takiego - przerwała mu Marie-Ange.

- A na weekend przyjeżdżają tu jego przyjaciele.

Billy nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Wprawdzie cieszył się, że przyjaciółka może spędzić trochę czasu w domu swego dzieciństwa, ale też uważał, iż zachowuje się bardzo nierozważnie, całkowicie ufając obcemu człowiekowi. Usiłował ją o tym przekonać, ale im więcej wytaczał argumentów, tym bardziej wydawała się rozbawiona jego zatroskaniem. Nagle przyszło mu do głowy, że nawet jej głos brzmi zupełnie inaczej niż zaledwie tydzień temu.

- Na miłość boską, bądź ostrożna! - ostrzegł ją z naciskiem. - Nie wiesz o nim nic poza tym, że mieszka w twoim dawnym domu. Sama musisz przyznać, że to niewiele.

- To spokojny, godny szacunku człowiek - powiedziała obronnym tonem.

- A może tylko tak ci się wydaje.

Marie-Ange rozmawiała z nim jak niezależna, pewna siebie osoba, szczęśliwa z powrotu do domu. Z jej słów wynikało

jasno, że nadal uważa Marmouton za swój dom. Oboje zdawali sobie sprawę, że właśnie w ten sposób myśli o zamku i nic nie jest w stanie tego zmienić. Po chwili opowiedziała mu o listach Sophie i do Sophie, które konfiskowała ciotka Carole. Billy'ego to bynajmniej nie zaskoczyło, nie miał złudzeń co do niej.

- Tak czy inaczej, uważaj na siebie i dzwoń. - Westchnął na zakończenie. - Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

- Będę dzwonić, oczywiście, ale nie martw się o mnie, Billy. Wszystko jest w jak największym porządku, tylko tęsknię za tobą.

On również bardzo za nią tęsknił. Co więcej, jej słowa wcale go nie uspokoiły i naprawdę się o nią martwił.

Marie-Ange wróciła do chateau i tego wieczoru znowu poszła z Bernardem na kolację. Następnego ranka do Marmouton przyjechali jego przyjaciele, grupa miłych, pełnych życia i energii ludzi. Kobiety imponowały wyrafinowaną elegancją i odnosiły się do Marie-Ange w bardzo naturalny, sympatyczny sposób. Bernard wyjaśnił im, że jego młoda znajoma jako dziecko mieszkała w Marmouton razem ze swoimi rodzicami i bratem. Jeden z mężczyzn przypomniał sobie nazwisko Marie-Ange i natychmiast skojarzył je z należącą kiedyś do jej ojca firmą. Powiedział, że John Hawkins był szanowanym i wysoko cenionym człowiekiem, którego przedsiębiorstwo świetnie się rozwijało. Marie-Ange już wcześniej opowiedziała Bernardowi, w jaki sposób poznali się, a potem odnaleźli jej rodzice. Historia ta bardzo go wzruszyła, lecz znacznie większe wrażenie wywarła na nim znakomita opinia o Johnie Hawkinsie jako odnoszącym sukcesy w eksporcie win biznesmenie. Marie-Ange pomyślała tylko, że najwyraźniej mężczyzn bardziej interesują historie o powodzeniu w interesach niż o miłości.

Spędziła cudowny weekend w prawdziwie sielankowej atmosferze, a kiedy w poniedziałek spakowała rzeczy, Bernard poprosił ją, aby jeszcze nie wyjeżdżała. Marie-Ange zrozumiała jednak, że spędziła w Marmouton wystarczająco dużo czasu i że

opowiedziała mu o zamku wszystko, co pamiętała. Bernard nie zdołał odwieść jej od podjętej decyzji. Wiedziała, że nigdy nie zapomni o dziesięciu dniach, które spędziła w rodzinnym domu dzięki jego gościnności, i była mu za to serdecznie wdzięczna. Dziękowała z całego serca i nie zdołała zapanować nad wzruszeniem, kiedy ucałował ją w oba policzki i powiedział, że jej wyjazd naprawdę go smuci.

Po południu była już w Paryżu. Zjadła kolację w swoim hotelu i poszła spać, myśląc o Bernardzie i wspaniałych dniach w Marmouton. Ten czas był cudownym подарunkiem, jaki od niego otrzymała i za który nigdy nie zdoła mu się odwdziżyć. Następnego ranka, siedząc przy stoliku w Deux Magots, napisała do niego długi list z podziękowaniem i od razu go wysiała. Dwa dni później wybrała się na Sorbonę. Nie zdecydowała jeszcze, czy zapisze się na zajęcia, czy wróci do Stanów i skończy ostatni rok college'u. Po południu poszła na długi spacer wzdłuż Boulevard Saint-Germain i właśnie zastanawiała się, co zrobić, kiedy nagle wpadła na Bernarda de Beauchamp.

- Co tu robisz? - zapytała ze zdumieniem. - Myślałam, że jesteś w Marmouton!

- Byłem tam jeszcze dziś rano - powiedział, wyraźnie skrępowany. - Ale przyjechałem do Paryża, żeby cię odszukać. Bez ciebie zamek przypomina grobowiec.

Jego słowa sprawiły Marie-Ange ogromną przyjemność, chociaż domyślała się, że Bernard miał po prostu jakąś sprawę do załatwienia w Paryżu. Niezależnie od przyczyny spotkania, była z niego bardzo zadowolona.

Wieczorem Bernard zaprosił ją na kolację do restauracji Lucasa Carton, a następnego dnia poszli na lunch do Chez Laurent. Marie-Ange opowiedziała Bernardowi o swoich rozterkach związanych z możliwością podjęcia zajęć na Sorbonie, a on poprosił ją, żeby wróciła z nim do Marmouton, przynajmniej na kilka dni. Opierała się dość długo, lecz w końcu

uległa, spakowała rzeczy i zgodziła się wrócić do Marmouton. Oddała samochód, który wynajmowała, i pojechali samochodem Bernarda. Jego bliskość bardzo ją cieszyła. Doskonale się rozumieli i prowadzili nie kończące się rozmowy. Zawsze mieli sobie coś do powiedzenia i ani przez chwilę się nie nudzili. Gdy wieczorem dotarli do Marmouton, miała wrażenie, że wróciła do domu.

Tym razem została na tydzień. Oboje z każdym dniem czuli się w swoim towarzystwie coraz lepiej i swobodniej. Chodzili na długie spacerunki po lesie i godzinami zastanawiali się nad planami odnowienia i umeblowania zamku.

Był koniec miesiąca, kiedy Marie-Ange wróciła do Paryża. Już po kilku dniach Bernard przyjechał w ślad za nią i przyszedł do hotelu, aby się z nią zobaczyć. Zatrzymał się w swoim paryskim mieszkaniu i codziennie chodzili razem na kolacje oraz spacerunki po Lasku Bulońskim. Czuli się przy Bernardzie szczęśliwi i całkowicie bezpieczni. Stał się jej przyjacielem i z każdym dniem była do niego coraz bardziej przywiązana. Czasami myślała, że jest jej prawie tak bliski jak Billy. Denerwowała się jedynie tym, że ciągle nie potrafiła podjąć decyzji co do dalszej nauki. Nie była pewna, czy ma wracać do Iowa, czy zostać we Francji i rozpocząć naukę na Sorbonie, i bardzo ją to męczyło.

Kiedy powiedziała o tym Bernardowi, spojrzał na nią z zastanowieniem, jakby jej uwaga pobudziła go do jakichś głębszych refleksji.

- Mam lepszy pomysł - rzekł zagadkowo. - Jestem przekonany, że zanim ostatecznie zdecydujesz, powinnaś zostawić sobie trochę czasu na całkowity odpoczynek.

Nie miała pojęcia, co ma na myśli i bardzo ją zaskoczyło, kiedy zaproponował, aby pojechała z nim do Londynu, gdzie miał parę ważnych spraw do załatwienia.

- Pójdziemy do teatru, zjemy kolację w restauracji Harry's Bar i wybierzemy się na tańce do Annabel's. Posłuchaj, Marie-Ange,

to naprawdę dobrze ci zrobi. A potem pojedziemy na weekend do Marmouton i wtedy podejmiesz decyzję...

Marie-Ange miała wrażenie, że stała się częścią życia Bernarda. Było to zdumiewające, zwłaszcza że nie łączyło ich nic poza dość świeżą przyjaźnią. W innych okolicznościach być może starannie rozważyłaby całą tę sytuację, ale była we Francji zupełnie sama i bardzo potrzebowała kogoś bliskiego.

Pojechała z Bernardem do Londynu. Zatrzymali się w hotelu Claridge's, w osobnych pokojach, i co wieczór bawili się do późna. Marie-Ange była zachwycona Londynem i sztukami teatralnymi, na które zabierał ją Bernard. Wędrowali po antykwariatach, szukając mebli do zamku, i poszli nawet na aukcję do Sotheby's. Towarzystwo Bernarda całkowicie wystarczało Marie-Ange, zapomniała więc zadzwonić do Billy'ego i powiedzieć mu, co się z nią dzieje. Przypomniała sobie o tym tuż przed wyjazdem z Londynu, kiedy nie miała już czasu na telefon. Była pewna, że Billy nie zrozumiałby i nie zaaprobował jej nowego stylu życia. Nawet ona sama zdawała sobie sprawę, że przyjaźń z Bernardem może wydawać się nieco dziwna. Spotykali się przecież codziennie i spędzali ze sobą co najmniej po parę godzin, teraz przyjechała z nim do Londynu, gdzie prawie się nie rozstawali... Prawda była jednak taka, że Marie-Ange nie miała żadnych specjalnych zajęć i planów, a Bernard odnosił się do niej jak ojciec albo o wiele starszy brat i nic nie można mu było zarzucić. Nie ulegało wątpliwości, że darzy ją wielkim szacunkiem. Byli tylko przyjaciółmi...

Ten stan rzeczy trwał do ostatniego wieczora w Londynie. Poszli potańczyć do Annabel's i było już bardzo późno, mocno po północy, gdy Bernard pochylił się i delikatnie musnął wargami jej usta. Podniosła oczy i utkwiała je w jego twarzy, nie wiedząc, co to oznacza. Pragnęła porozmawiać o Bernardzie z kimś bliskim, ale nie miała nikogo. No tak, miała Billy'ego, lecz świetnie wiedziała, że w tym wypadku nie może prosić go o radę.

W czasie weekendu w Marmouton Bernard sam wytłumaczył jej swoje dziwne zachowanie tamtego wieczoru. Marie-Ange czuła, że ten pobyt w zamku w jakiś sposób różni się od poprzednich i spacerując z Bernardem po lesie, podświadomie czekała na wyjaśnienie.

- Marie-Ange, wydaje mi się, że zakochałem się w tobie - powiedział cicho Bernard. - Od śmierci mojej żony nie byłem z nikim związany i nie chciałbym, aby moje uczucia skomplikowały ci życie...

Marie-Ange spojrzała na niego i zdała sobie sprawę, że nie są już tylko przyjaciółmi. Wszystko się zmieniło, chociaż nie miała pojęcia, kiedy to się stało.

- Nie wydaje ci się, że to szaleństwo? - zapytał niespokojnie. - Czy to nie za szybko? Jestem od ciebie dużo starszy i nie mam prawa wciągać cię w swoje życie, zwłaszcza jeśli chcesz wracać do Ameryki. Jeżeli powiesz, że nie chcesz tego ciągnąć, zrozumie cię. Wiem jedno - zależy mi tylko na tym, aby być z tobą, jak najbliżej ciebie. Co o tym wszystkim myślisz?

- Jestem bardzo wzruszona - odparła ostrożnie. - Nie przyszło mi do głowy, że możesz czuć do mnie coś więcej niż sympatię, Bernardzie.

W głębi serca musiała przyznać, że bardzo pochlebiała jej myśl, iż zakochał się w niej tak obyty w świecie, elegancki i wykształcony mężczyzna. Wiedziała, że sama również zaczyna go darzyć uczuciem o wiele cieplejszym niż przyjaźń. Wcześniej nigdy o tym nie myślała, ponieważ chciała, by pozostali tylko przyjaciółmi. Ale nagle okazało się, że Bernard otworzył przed nią nie tylko swój dom, lecz także serce. Korzystała z jego uprzejmości, ciesząc się długimi pobytami w zamku i nadal chciała spędzać tu jak najwięcej czasu, oczywiście w towarzystwie Bernarda. Zaczęła zastanawiać się, czy to możliwe, że właśnie ten mężczyzna został jej przeznaczony.

- Co z tym zrobimy, moje kochanie? - zapytał, a w oczach miał tyle czułości, że kiedy tym razem pocałował ją pod drzewem, na które wdrapywała się jako dziecko, nie była już zdziwiona.

- Nie wiem - odparła. - Nigdy dotąd nie byłam w nikim zakochana.

Była dziewczicą nie tylko pod względem fizycznym, ale także emocjonalnym. Świat miłości pozostawał dla niej zupełnie nie znany. Była głęboko poruszona i nie mniej olśniona odkrytym uczuciem niż sam Bernard.

- Może powinniśmy zostawić sobie trochę czasu - powiedział rozsądnie.

Ale wszystko wskazywało na to, że rozsądek jest pojęciem, które nagle stało im się całkowicie obce.

Zostali w Marmouton dłużej, niż planowali. Bernard przynosił jej codziennie kwiaty i drobne upominki. Ciągłe wymieniali pocałunki. Był w niej tak namiętnie zakochany, że pozwoliła ponieść się na fali uczucia i nie zastanawiała się, czy nie popełnia błędu. I wreszcie w listopadzie, mniej więcej w miesiąc od chwili, gdy się poznali, kochali się po raz pierwszy, kiedy zaś później leżeli objęci i szczęśliwi, usłyszała od Bernarda wszystko, o czym marzyła i co kiedykolwiek pragnęła usłyszeć z ust mężczyzny.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła - szeptał gorąco. - Chcę mieć z tobą dzieci i chcę spędzić przy tobie wszystkie chwile, jakie mam jeszcze przed sobą...

Powiedział jej, że śmierć żony i synka uświadomiła mu, jak bardzo nietrwałe i ulotne jest życie, i że tym razem nie chce zmarnować ani sekundy z czasu, który mają dla siebie. Marie-Ange czuła się najszcześniejszą kobietą na świecie.

- Nie zachowujemy się właściwie, Marie-Ange - powiedział pewnego dnia, przyglądając się jej z nieskrywanym niepokojem. - Mam czterdzieści lat, a ty jesteś bardzo młodą dziewczyną. Kiedy ludzie dowiedzą się, że mamy romans, zaczną

wygadywać o tobie najróżniejsze rzeczy. Bardzo mi się to nie podoba, bo to niesprawiedliwe w stosunku do ciebie.

Przeraziła się, ponieważ w pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że Bernard chce zakończyć ich związek, lecz on pospiesznie wyjaśnił, co ma na myśli.

- Nie masz rodziny, która mogłaby występować w twojej obronie. Ktoś mógłby powiedzieć, że jesteś zdana na moją łaskę...

Marie-Ange odetchnęła z ulgą.

- Nie przeszkadza mi, że jestem zdana na twoją łaskę. - Zaśmiała się radośnie. - To nawet bardzo miłe...

- Wcale tak nie uważam - zaprotestował. - Gdybyś miała krewnych, sytuacja wyglądałaby inaczej, ale...

- Co wobec tego proponujesz? - zapytała pogodnie. - Chcesz mnie zaadoptować?

Uśmiechała się promiennie, ponieważ zrozumiała, że Bernard wcale nie zamierza się z nią rozstawać. Cieszyła się, iż troszczy się o nią i pragnie chronić przed światem. Nikt poza Billym nie zachowywał się wobec niej w tak opiekuńczy sposób, ale Billy był tylko chłopcem, natomiast Bernard jest dojrzałym, odpowiedzialnym mężczyzną. Rzeczywiście mógłby być jej ojcem i czasami właśnie tak ją traktował. A ona nie miała nic przeciwko temu, ponieważ własnego ojca straciła bardzo wcześnie i teraz z radością odkrywała, jak cudownie jest znaleźć się w ramionach kogoś silnego, kto obroni ją przed wszystkim i wszystkimi. Była głęboko zakochana w Bernardzie.

- Nie zamierzam cię zaadoptować, Marie-Ange - powiedział poważnie, prawie ze czcią, kiedy nachyliła się, aby lekko dotknąć jego dłoni. - Chcę się z tobą ożenić. Chyba nie powinniśmy z tym dłużej czekać. Nasza znajomość nie trwa długo, ale znamy się znacznie lepiej niż większość tych, którzy zawierają małżeństwa po kilku latach od pierwszego spotkania. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic i spędzamy ze sobą

mnóstwo czasu. Nigdy w życiu nie kochałem nikogo tak jak ciebie, Marie-Ange.

- Ja także cię kocham, Bernardzie - odparła cicho, mimo wszystko trochę zdumiona jego pomysłem.

Wszystko to stało się bardzo szybko, ale szczerze mówiąc, nie widziała w tym nic niestosownego. Nie myślała już teraz o szkole, tylko o Bernardzie, o powrocie do zamku i założeniu rodziny. Bernard proponował jej życie, które wydawało się bardziej snem niż rzeczywistością.

- Pobierzmy się w tym tygodniu - ciągnął Bernard. - Tu, w Marmouton, w zamkowej kaplicy. A potem zaczniemy wspólne życie. Czy zostaniesz moją żoną, Marie-Ange?

- Ja... Och, Bernardzie... - zająknęła się nagle. - Tak, zostanę twoją żoną.

Bernard przytulił ją mocno i objęci wrócili do zamku. Kochali się przez całe popołudnie, a następnego dnia rano Bernard zadzwonił do proboszcza miejscowej parafii i ustalił wszystkie szczegóły.

Nieco później Marie-Ange zadzwoniła do Billy'ego, tym razem z chateau. Początkowo nie miała pojęcia, jak powiedzieć mu o najnowszej zmianie w swoim życiu, lecz w końcu po prostu wyrzuciła z siebie nowinę. Niepokoiła się, że wiadomość o jej ślubie zrani Billy'ego, chociaż zawsze zniechęcała go do pielęgnowania romantycznych uczuć, związanych z jej osobą. Mimo to dobrze wiedziała, jak bardzo jest do niej przywiązany.

- Co takiego?! - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Mówiłaś przecież, że jesteście tylko przyjaciółmi!

Był przerażony i oskarżył ją, że wyjazd do Francji pozbawił ją umiejętności właściwej oceny rzeczywistości. Nowe życie i możliwości uderzyły jej do głowy, orzekł. Marie-Ange nigdy dotąd nie ulegała impulsom, lecz była bardzo zakochana w Bernardzie, który stał się potężną siłą w jej życiu. Był namiętny, uwodzicielski i zdecydowany zrobić wszystko, aby ją zdobyć, i

prawdopodobnie właśnie dlatego podbił jej serce w tak krótkim czasie.

- Naprawdę łączyła nas tylko przyjaźń, ale teraz wszystko się zmieniło - powiedziała cicho.

Nie spodziewała się, że Billy zareaguje tak ostro. Był bardzo zdenerwowany, a ona nagle straciła sporo pewności siebie.

- Nie wątpię, że wszystko się zmieniło - burknął. - Słuchaj, Marie-Ange, zostaw sobie trochę więcej czasu, sprawdź, czy to uczucie jest naprawdę takie, o jakie ci chodzi. Ledwo co przyjechałaś do Francji i na pewno bardzo emocjonalnie podchodzisz do powrotu do Marmouton, trudno zresztą, żeby było inaczej. Wydaje mi się, że cała ta sprawa z Bernardem wynika właśnie z tego - dodał błagalnym tonem.

- Nie, to nieprawda - zaprotestowała Marie-Ange. - To nie ma nic wspólnego z moim powrotem do Marmouton. Kocham Bernarda i to wszystko.

Billy nie chciał pytać, czy z nim sypia, ponieważ zdążył już odgadnąć, że tak właśnie jest. Próbował przekonać ją, aby jeszcze poczekała ze ślubem, ale nie chciała go słuchać. Kiedy skończyli rozmowę, Billy był prawie chory ze zdenerwowania i niepokoju, wiedział jednak, że nie może nic zrobić. Postanowiła zostać żoną zupełnie obcego mężczyzny i to tylko dlatego, że mieszkał w zamku jej rodziców, pomyślał z rozpaczą. Czuł, że właśnie to leży u podstaw jej decyzji, lecz nie potrafił na nią wpłynąć.

- Kto to był? - zapytał Bernard, kiedy Marie-Ange odłożyła słuchawkę.

- Mój najlepszy przyjaciel z Iowa. - Uśmiechnęła się do niego. - Uważa, że kompletnie zwariowałam.

Zrobiło jej się przykro, że tak zdenerwowała Billy'ego, ale była całkowicie pewna Bernarda i jego uczucia, podobnie jak swojej miłości do niego.

- Podejrzewam, że mnie też to dotknęło. - Bernard się zaśmiał. - To najwyraźniej zaraźliwe...

- Co powiedział ksiądz? - zapytała spokojnie.

Nie przejęła się żadną z rzeczy, które powiedział jej Billy. Był zazdrosny i podejrzewał Bernarda o nieczyste intencje, co było całkowicie zrozumiałe, i tylko postawa jej ukochanego przez następne miesiące, a może nawet lata, mogła go przekonać, jak bardzo się mylił. Tak czy inaczej, Marie-Ange chciała, aby Billy wiedział, że wychodzi za Bernarda. Billy był przecież jej przyjacielem od serca, jej przybranym bratem. Pod koniec rozmowy rzucił, by zadzwoniła do niego, kiedy oprzytomnieje, zaraz dodał jednak, że niezależnie od wszystkiego i tak będzie czekał na jej telefon, bo zawsze będzie jej przyjacielem, człowiekiem, na którego może liczyć w każdej sytuacji. Marie-Ange szczerze kochała Billy'ego, ale teraz najzwyczajniej w świecie nie był jej już tak potrzebny jak dawniej. Przekroczyła próg niezwykłego, barwnego świata, w którym obracał się Bernard, i poczuła, że może znaleźć się w nim miejsce także i dla niej. Czasami zastanawiała się, czy przyjaciele Bernarda ją zaakceptują, lecz on sam najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmował. Obydwoje byli absolutnie pewni, że dokonali właściwego wyboru.

- Ksiądz obiecał, że jeśli za dwa dni, w piątek, weźmiemy cywilny ślub w merostwie, następnego dnia, czyli w sobotę, da nam ślub w kaplicy. Jeszcze dzisiaj ogłosi zapowiedzi. Co ty na to, madame la comtesse?

Marie-Ange dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że zawierając związek małżeński z Bernardem, otrzyma tytuł hrabiny. Czowała się jak w bajce. Zaledwie cztery miesiące temu była niewolnicą ciotki Carole, a już miesiąc później dowiedziała się, że jest dziedziczką ogromnej fortuny, teraz zaś wychodziła za mąż za hrabiego, który darzył ją namiętnym uwielbieniem, i na stałe wracała do swego rodzinnego domu w Marmouton. Kiedy myślała o tym wszystkim, kręciło jej się w głowie. To samo uczucie miała dwa dni później, kiedy udała się wraz z Bernardem do lokalnego merostwa i złożyła podpis na akcie

ślubu. W sobotę po południu stanęła u boku swego ukochanego w zamkowej kaplicy i została jego żoną w obliczu Boga i ludzi. Ich świadkami byli madame Fournier i Alain. Stara kobieta płakała przez całą ceremonię, dziękując Bogu za to, że Marie-Ange szczęśliwie wróciła do domu.

- Kocham cię, najdroższa - powiedział Bernard, całując żonę po zakończeniu ceremonii ślubnej.

Ksiądz i świadkowie uśmiechnęli się z rozczuleniem. Hrabia i hrabina de Beauchamp byli wyjątkowo piękną parą.

Kiedy tylko ksiądz i madame Fournier z wnukiem wyszli, wychyliwszy wcześniej z młodą parą lampkę szampana, Bernard chwycił Marie-Ange w ramiona i zaniósł do gościnnego apartamentu, który pełnił funkcję jego sypialni, położył delikatnie na szerokim łożu, odgarnął z jej twarzy długie, złociste włosy i pocałował ją.

- Uwielbiam cię - szepnął.

Marie-Ange odwzajemniła jego pocałunek, nie mogąc uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Była bardzo szczęśliwa. Bernard zaś, który powoli zdjął z niej piękną ślubną suknię z białego jedwabiu i sam się rozebrał, marzył jedynie o tym, aby uszczęśliwić ją jeszcze bardziej i począc z nią dziecko.

Rozdział dziewiąty

Ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie w Marmouton było po prostu cudowne. Bernard był tak bardzo zakochany w Marie-Ange, że ludzie uśmiechali się, widząc ich razem. Gwiazdka w zamku przywołała z pamięci Marie-Ange tysiące wspomnień, pięknych i wreszcie, dzięki obecności Bernarda, trochę mniej bolesnych. W dzień Wigilii zadzwoniła do Billy'ego, żeby złożyć mu życzenia. Billy cieszył się jej szczęściem, lecz nadal niepokoił go fakt, że jego przyjaciółka pod wpływem nie do końca zrozumiałego dla niego impulsu wyszła za człowieka, którego nie знаła wystarczająco dobrze. Marie-Ange usiłowała go przekonać, że nie ma racji, ale czuła, że Billy wierzy jej tylko częściowo. Tymczasem ona nigdy w życiu nie była tak cudownie szczęśliwa.

- Czy rok temu pomyślałbyś, że te święta Bożego Narodzenia spędzę w Marmouton? - zapytała radośnie.

Billy uśmiechnął się, wspominając ostatnią Gwiazdkę, którą spędzili razem. Nadal nie mógł otrząsnąć się z uczucia panicznego lęku, jaki ogarnął go na wiadomość o jej ślubie. Nie potrafił spokojnie myśleć o tym, że teraz Marie-Ange nigdy już nie wróci do Iowa, chyba że zechce przyjechać z krótką wizytą. Dużo czasu spędzał ze swoją dziewczyną, Debbi, lecz bardzo tęskni! za Marie-Ange i nie mógł pozbyć się wrażenia, że w jego życiu nastąpiła nieodwracalna zmiana.

- A czy rok temu pomyślałabyś, że okażesz się dziedziczką astronomicznej fortuny, a ja będę jeździł nowym porsche? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Wydawało mu się, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, iż jego Marie-Ange została hrabiną. Zaslugiwała na to. Ze względu na nią miał też nadzieję, że Bernard de Beauchamp okaże się człowiekiem, za jakiego Marie-Ange od początku go uważała. Billy nadal miał w stosunku do niego mnóstwo podejrzeń, być może dlatego, że wszystko wydarzyło się tak szybko.

Po świętach młodzi małżonkowie nadal żyli zgodnie z rytmem, do którego Marie-Ange zdążyła już przywyknąć. Często jeździli do Paryża i zatrzymywali się w niezbyt dużym, ale bardzo pięknym i wspaniale umeblowanym mieszkaniu Bernarda. W styczniu Marie-Ange powiedziała mężowi, że jest w ciąży, i Bernard oszalał z radości. Ciągłe powtarzał, jak bardzo pragnie mieć z nią dziecko, i że ma nadzieję, iż Marie-Ange wyda na świat spadkobiercę hrabiowskiego tytułu. Bardzo zależało mu, aby mieć syna.

Na początku lutego rozpoczęły się prace renowacyjne w Marmouton i w ciągu paru tygodni zamek został obrócony w ruinę. Ekipa robotników odnawiała wszystko, zmieniając dach, powiększając duże francuskie okna i korytarze, podwyższając stropy. Bernard zaprojektował wspaniałą nową kuchnię, cudowny apartament dla nich dwojga, pokój dziecinny, który zgodnie z jego słowami miał wyglądać jak z bajki, oraz dużą salę przeznaczoną do projekcji filmów w piwnicy zamku. Robotnicy wymieniali wszystkie kable elektryczne i rury kanalizacyjne. Było to ogromne przedsięwzięcie, którego Marie-Ange nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, przewidywała jednak, że będzie bardzo kosztowne. Bernard powiększał nawet sady i winnice, sadząc całe akry młodych roślin. Powiedział żonie, że chce, aby jej dom był doskonały pod każdym względem. Prace budowlane nadzorował architekt z Paryża, bliski przyjaciel Bernarda. Po całym zamku kręciło się kilkudziesięciu robotników.

Bernard obiecał jej także, że większość prac zakończy się przed narodzinami dziecka, które miały przypaść na wrzesień. W marcu Marie-Ange ponownie zadzwoniła do Billy'ego i powiedziała mu, że jest w ciąży.

- Nie tracisz czasu, prawda? - mruknął, bo ani na chwilę nie przestał niepokoić się jej losem.

Wyjaśniła mu, że Bernard chciałby jak najszybciej mieć dzieci, co jej samej wydawało się całkowicie zrozumiałe wobec

faktu, że skończył już czterdzieści lat, a jego jedyny syn poniósł śmierć w tragicznym wypadku.

Napisła także do ciotki Carole, aby powiadomić ją o zmianach, które zaszły w jej życiu, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Wyglądało na to, że Carole Collins raz na zawsze zamknęła za sobą drzwi, odżegnując się od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym.

Pod koniec marca mury zamku pokryły się rusztowaniami. Wszędzie panował straszny bałagan, więc Marie-Ange i Bernard coraz więcej czasu spędzali w Paryżu. Mieszkanie Bernarda było dla nich dwojga trochę za ciasne, lecz Marie-Ange bardzo je lubiła.

Zdobiły je ściany wyłożone piękną boazerią, wspaniałe, cenne antyki, obrazy pędzla doskonałych malarzy i dywany z Aubusson, które Bernard odziedziczył po swojej rodzinie. Paryski apartament Bernarda był niewątpliwie godną miejską rezydencją świeżo upieczonej hrabiny, lecz oboje woleli Marmouton.

Na początku lata Bernard uznał, że muszą na dobre wyprowadzić się z zamku, ponieważ Marie-Ange potrzebuje porządnego odpoczynku, a poza tym w czasie ich nieobecności robotnicy poczynią szybsze postępy w pracach. Wynajął willę w Saint-Jean-Cap-Ferrat oraz wielki jacht motorowy i zaprosił wielu przyjaciół.

- Strasznie mnie rozpuszczasz, Bernardzie! - zawołała na widok imponującego domu i jachtu.

W Saint-Jean-Cap-Ferrat mieli spędzić cały lipiec, na sierpień planowali wrócić do Marmouton. Marie-Ange uważała, że na miesiąc przed porodem powinna zwolnić nieco tempo, złapać oddech i skupić się na koniecznych przygotowaniach. Zdecydowała się urodzić dziecko w szpitalu w Poitiers.

Miesiąc spędzony na południu Francji był dla niej okresem prawdziwie magicznym. Bawili się, żeglowali i spotykali się z przyjaciółmi Bernarda. Willa stale pełna była gości z Rzymu,

Monachium, Londynu i Paryża. Wszyscy widzieli, jak bardzo szczęśliwi byli Bernard de Beauchamp i jego młoda żona, i cieszyli się ich szczęściem.

Dziewięć miesięcy u boku Bernarda minęło niczym wspaniałym sen, teraz zaś obydwójce niecierpliwie czekali na narodziny dziecka. Kiedy wrócili do Marmouton, pokój dziecinny był gotowy, Bernard zatrudnił już nawet nianię. Imponujący apartament małżeński ukończono pod koniec sierpnia, lecz w pozostałej części zamku prace jeszcze trwały. Marie-Ange była świadoma, jak ogromną robotę już wykonano i cieszyła się, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

Rankiem pierwszego września Marie-Ange układała właśnie maleńkie koszulki i kaftaniki w dziecinnym pokoju, kiedy szef wynajętej przez Bernarda miejscowej firmy budowlanej poprosił ją o chwilę rozmowy. Powiedział, że chce wyjaśnić z nią kilka spraw dotyczących nowego systemu kanalizacyjnego. Bernard zainstalował w zamku wspaniałe nowe łazienki z jacuzzi i wielkimi wannami, a także kilka saun.

Marie-Ange wiedziała o tym wszystkim, lecz pod koniec rozmowy zorientowała się, że mężczyzna ma jej chyba coś jeszcze do powiedzenia. Rozglądał się niespokojnie i nerwowo ścisnął w rękę jakieś papiery. Widząc jego skrępowanie, zapytała wprost, co go niepokoi. Długą chwilę wahał się, wreszcie powiedział, o co mu chodzi.

Od dnia rozpoczęcia robót ani jeden z przedstawionych przez niego rachunków nie został uiszczony, chociaż hrabia obiecał wpłacić pierwszą ratę należności na jego konto w marcu, a drugą, większą, w sierpniu. Wszyscy dostawcy materiałów budowlanych mieli ten sam problem. Marie-Ange pomyślała, że być może Bernard po prostu nie miał czasu się tym zająć, ponieważ cały lipiec spędzili na Riwierze, albo też zapomniał o swojej obietnicy. Zadała mężczyźnie jeszcze kilka pytań i odkryła, że nikt z ludzi zatrudnionych przy budowie nie otrzymał dotąd żadnego wynagrodzenia. Mocno zaniepokojona,

zapytała, ile może wynosić suma tych należności, i dowiedziała się, że jest to ponad milion dolarów. Gdy mężczyzna wyliczał kolejne kwoty, Marie-Ange wpatrywała się w niego z ogromnym zdumieniem. Nigdy nie przyszło jej do głowy, aby zapytać Bernarda, ile będzie kosztować kompletna restauracja Marmouton, a teraz nie mogła uwierzyć, że to taka ogromna suma.

- Jest pan pewien? - zapytała z niedowierzaniem. - Niemożliwe, żeby to było aż tyle...

Nie była w stanie zrozumieć, jakim cudem remont jej rodzinnego domu może kosztować milion dolarów i czuła się głęboko zażenowana, że Bernard planuje wydać tyle pieniędzy tylko dlatego, by sprawić jej przyjemność. Natychmiast zaczęło dręczyć ją poczucie winy z powodu wszystkich zmian w zamku, które przecież zaaprobowała. Obiecała szefowi firmy budowlanej, że wieczorem tego samego dnia porozmawia z mężem. Bernard miał wrócić po południu z krótkiej podróży w interesach do Paryża. W ciągu ostatniego roku prawie nie pracował, lecz parę razy w miesiącu jeździł na zebrania rady nadzorczej banku i spotkania z doradcami finansowymi, zajmującymi się jego inwestycjami. Jakiś czas temu zwierzył się jej, że nie ma ochoty wracać do pracy do banku, ponieważ pragnie spędzać z nią jak najwięcej czasu i skupić się na przebudowie zamku. Jesienią, po przyjściu na świat dziecka, zamierzał prawie w ogóle nie opuszczać Marmouton. Marie-Ange była wzruszona, że Bernard chce zrezygnować ze swojej kariery, aby być z nią i z ich dzieckiem.

Tego wieczoru, kiedy Bernard wrócił do domu, wspomniała mu o rozmowie z szefem firmy budowlanej, chociaż była bardzo zażenowana, że musi to zrobić. Powiedziała mu tylko, że część dostawców nie otrzymała jeszcze wynagrodzenia i zapytała, czy to możliwe, iż paryska sekretarka Bernarda zapomniała dokonać odpowiednich przelewów. Ku jej ogromnej uldze Bernard wcale

się nie zdenerwował. Wyznała mu wtedy, że czuje się winna i nie chce, by wydawał tyle na renowację zamku.

- Wyraz szczęścia w twoich oczach jest dla mnie bezcenny, kochanie - oświadczył czule Bernard.

Jego zdaniem nic nie było wystarczająco dobre dla Marie-Ange. Bez przerwy rozpuszczał młodą żonę, zasypując ją drobnymi i bardzo drogimi prezentami. W czerwcu podarował jej pięknego jaguara, sobie zaś kupił nowego bentleya. Teraz powiedział Marie-Ange, że czeka, aż pewne jego inwestycje zostaną sfinalizowane, i zaraz potem zapłaci zatrudnionym przy renowacji zamku ludziom większą część należnych sum. Oświadczył, że zainwestował mnóstwo pieniędzy w ropę naftową na Bliskim Wschodzie i nie chce stracić, przedwcześnie sprzedając swoje udziały w sytuacji, gdy rynek międzynarodowy jest niestabilny. Marie-Ange uznała to wyjaśnienie za całkowicie rozsądne, logiczne i naturalne. Bernard wyznał jej z wyraźnym zażenowaniem, że zastanawiał się nawet, czy nie poprosić ją o wyłożenie pewnej sumy, którą zwróciłby natychmiast po zrealizowaniu bliskowschodnich inwestycji, co miało nastąpić na początku października. Była to kwestia miesiąca, najwyżej sześciu tygodni. Marie-Ange zgodziła się bez wahania, ponieważ całkowicie ufała Bernardowi. Miał załatwić przelew potrzebnej kwoty za pośrednictwem jej banku i dać jej do podpisania dokumenty potrzebne do dokonania transferu. W głębi duszy była zdumiona kosztami restauracji Marmouton i zaproponowała Bernardowi, aby zmienili plany i ograniczyli wydatki.

- Nie przejmuj się takimi głupstwami, moja śliczna - rzeki. - Chcę, żebyś miała wszystko, co najlepsze. Powinnaś teraz myśleć wyłącznie o sobie i o dziecku.

Przez następne dwa tygodnie Marie-Ange rzeczywiście w ogóle nie zastanawiała się nad tą sprawą. Bernard przywiózł z banku dokumenty, a ona je podpisała. Parę dni później szef firmy budowlanej zapewnił ją, że Bernard zapłacił obiecaną

kwotę i wszyscy są zadowoleni. Nie martwiło ją nawet to, że wyłożyła półtora miliona dolarów na jeszcze niedokończoną renowację zamku, bo przecież Bernard miał wkrótce zwrócić jej pieniądze. Nadal ze zdumieniem myślała o sobie jako o kimś, kto dysponuje tak wielkimi kwotami. Kiedy zadzwonił do niej szef bankowego wydziału funduszków powierniczych, zapewniła go, że wycofana z rachunku suma zostanie za miesiąc wpłacona ponownie.

Chodziła z Bernardem na długie spacerunki po swoim ukochanym lesie, często też jeździli na lunch lub kolację do pobliskich restauracji. W zamku przygotowano wszystko na przyjęcie dziecka, chociaż do zakończenia prac remontowych w całym budynku pozostało jeszcze co najmniej kilka miesięcy.

Dziecko urodziło się we właściwym czasie, pod koniec września. Bernard odwiózł żonę do Poitiers swoim nowym bentleyem i Marie-Ange czuła się jak księżniczka z bajki. Poród był krótki i łatwy, dziecko zaś, małeńka dziewczynka, śliczna i zdrowa. Zachwycony Bernard uznał, że mała jest bardzo podobna do matki i zaproponował, aby nadać jej imiona Heloise Françoise. Heloise Françoise Hawkins de Beauchamp została przywieziona do zamku dwa dni po przyjściu na świat.

Marie-Ange zakochała się w córeczce od pierwszego wejrzenia, a Bernard z wyraźną radością opiekował się żoną i dzieckiem. W Marmouton na ich przybycie czekał szampan i kawior oraz wspaniała bransoleta z brylantami dla Marie-Ange. Bernard ze łzami w oczach powiedział, że jest z niej bardzo dumny, a kilka dni potem wyznał, że ma nadzieję, iż wkrótce Heloise będzie miała młodszego braciszka. Nadal powtarzał, że bardzo pragnie mieć syna i dziedzica tytułu, i Marie-Ange miała czasami wrażenie, że sprawiła mu zawód.

Kiedy Heloise skończyła miesiąc, szef firmy budowlanej znowu poprosił Marie-Ange o rozmowę. Powiedział jej, że od sześciu tygodni znowu narastają niezapłacone rachunki, a

zaległa suma wynosi tym razem około dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Marie-Ange natychmiast przypomniała sobie, że inwestycje Bernarda powinny już być zrealizowane. Nie miała cienia wątpliwości, że jej mąż wyłoży pieniądze na dalsze roboty w Marmouton, którego restauracja miała zakończyć się tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Bernard zapewnił ją, że wszystko zostanie załatwione, chociaż doradcy finansowi zalecają, aby jeszcze wstrzymał się ze sprzedażą udziałów w spółkach naftowych. Poprosił Marie-Ange, aby i tym razem pokryła wydatki, i przyrzekł, że w listopadzie wszystko jej zwróci. Podobnie jak poprzednio, Marie-Ange skontaktowała się ze swoim bankiem i wyjaśniła całą sytuację, a następnego dnia dokonała przelewu gotówki. W sumie, wliczając poprzednią operację, wypłaciła ze swego konta prawie dwa miliony dolarów, lecz zamek w Marmouton nigdy nie wyglądał tak imponująco.

Heloise skończyła sześć tygodni, gdy Marie-Ange zaskoczyła Bernarda, przyjeżdżając do niego do Paryża. Nie zastała go w mieszkaniu, a sprzątaczką powiedziała jej, że hrabia jest na ulicy de Varenne, gdzie nadzoruje robotników.

- Jakich robotników? - zdziwiła się Marie-Ange. - Co jest na rue de Varenne?

Kobieta wyraźnie się zmieszała. Kiedy Marie-Ange powtórzyła pytanie, oświadczyła, że Bernard chce chyba zrobić jej niespodziankę, ponieważ remont rozpoczął się dopiero w ubiegłym tygodniu. Poradziła jej nawet, aby nie mówiła mężowi, że wie o rue de Varenne, lecz ona była zbyt zaintrygowana dziwną zagadką, aby posłuchać. Kiedy wysiadła z samochodu pod wskazanym adresem, zobaczyła ogromną osiemnastowieczną rezydencję miejską, zwaną we Francji hotel particulier, ze stajniami, dużym ogrodem i dziedzińcem. Przed domem stał Bernard i razem z jakimś mężczyzną, najwyraźniej architektem, przeglądał naniesione na papier kalkowy plany.

Marie-Ange miała ochotę niepostrzeżenie odjechać, lecz Bernard ją zauważył.

- A więc odkryłaś moją tajemnicę - rzekł z pogodnym uśmiechem. - Chciałem zrobić ci niespodziankę i pokazać plan domu dopiero w czasie świąt, ale skoro już tu jesteś...

Robił wrażenie raczej dumnego niż rozczarowanego, że jego tajemnica przestała być tajemnicą, Marie-Ange zaś nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- Co to jest? - zapytała niepewnie.

Śpiąca na tylnym siedzeniu Heloise obudziła się i zaczęła popłakiwać. Była pora karmienia i dziecko chciało jeść.

- Twój dom w Paryżu, skarbie - powiedział czule i pocałował ją. - Rozejrzyj się, to miłe miejsce.

Marie-Ange nigdy nie widziała równie pięknego i fajnego uroku domu. Niestety, rezydencji od wielu lat nie odnawiano i teraz była prawie w ruinie.

- Kupiłem go nieomal za grosze - dodał.

- Czy na pewno możemy sobie na to pozwolić? - zapytała szeptem Marie-Ange.

- Myślę, że tak - odparł z niezachwianą pewnością siebie. - Powiedziałbym, że jest to rezydencja godna hrabiego i hrabiny de Beauchamp.

Marie-Ange była pod ogromnym wrażeniem nowego domu. Wydawał jej się tak wspaniały, jakby kiedyś mieszkała w nim sama królowa Maria Antonina. Oprawdając ją po domu i ogrodzie, Bernard powiedział, że nie można wykluczyć, iż ponad dwieście lat temu właścicielem siedziby przy rue de Varenne był również hrabia de Beauchamp. Jeżeli tak, to Bernard kupił dom za sprawą zrzędzenia losu.

- Kiedy go kupiłeś?

- Na krótko przed przyjściem na świat Heloise. - Bernard rzucił jej chłopięcy, nieco zawstydzony uśmiech. - Bardzo zależało mi, żeby zrobić ci przyjemną niespodziankę...

Jego słowa nie zdołały jednak przytłumić niepokoju Marie-Ange. Nie mogła przestać myśleć o tym, że prace remontowe w Marmouton nie były jeszcze ani zakończone, ani opłacone. Lecz Bernard najwyraźniej nie obawiał się wydawać pieniędzy, nie miała więc powodu, aby wątpić, że dysponuje środkami na pokrycie wszystkich wydatków.

Tę noc spędzili w mieszkaniu w Paryżu. Bernard był jak zwykle czuły, uroczy i troskliwy, i nim wieczór dobiegł końca, prawie udało mu się przekonać Marie-Ange, że dom na rue de Yarenne będzie doskonałym miejscem pracy dla niego i bardzo przyda im się na specjalne okazje, jeśli na przykład zechcą zorganizować przyjęcie dla znajomych i przyjaciół, którzy nie mogą odwiedzać ich w Marmouton.

- Teraz będziemy mogli dzielić nasz czas między Paryż i Marmouton - oświadczył z dumą. - W domu na rue de Varenne jest nawet sala balowa!

Marie-Ange dostrzegła słuszność jego argumentów, lecz kiedy następnego ranka wyruszyli w drogę do château, nadal czuła się trochę nieswojo.

- I naprawdę stać nas na dwie duże rezydencje? - powtórzyła pytanie, które zadała mu już poprzedniego dnia.

Po raz pierwszy nie mogła pozbyć się wrażenia, że wydają zdecydowanie za dużo.

- Tak sędzę. System, który wypracowaliśmy, świetnie się sprawdza - ty wykładasz drobne sumy na pokrycie niewielkich rachunków, a ja zyskuję czas, aby w odpowiedni sposób zająć się naszymi inwestycjami.

Problem polegał na tym, że inwestycje stanowiły własność Bernarda, a „drobne sumy”, które wykladała Marie-Ange, wynosiły już prawie dwa miliony dolarów. Zakładała jednak, że Bernard wie, co robi, miała przecież do niego całkowite zaufanie.

Na święta Bożego Narodzenia zamek był już prawie gotowy. Marie-Ange zrobiła Bernardowi wspólny prezent - w wigilijny

wieczór powiedziała mu, że znowu jest w ciąży. Miała nadzieję, że tym razem urodzi chłopca i mąż nie będzie miał powodu do rozczarowania.

- Dobrze wiem, że nigdy mnie nie zawiedziesz -oznajmił wielkodusznie.

Niemniej jednak obydwójce byli świadomi, jak bardzo zależy mu na synu. Heloise skończyła trzy i pół miesiąca, drugie dziecko miało przyjść na świat w sierpniu, co oznaczało, że między małą a jej bratem lub siostrą będzie zaledwie jedenaście miesięcy różnicy. Marie-Ange nie zadzwoniła do Billy'ego, aby przekazać mu wielką nowinę, lecz napisała długi list, który dołączyła do świątecznej kartki. Rozmawiała teraz z Billym mniej więcej raz na dwa miesiące. Była zbyt zajęta życiem z Bernardem, aby myśleć o kimkolwiek innym, z wyjątkiem dziecka.

W styczniu, kiedy Marie-Ange zleciła bankowi, by przelał kolejną dużą sumę na konto Bernarda, zatelefonował do niej szef wydziału funduszy.

- Czy u ciebie wszystko w porządku, Marie-Ange? Zaczynasz wydawać pieniądze w zastraszającym tempie.

Oczywiście, nadal miała do dyspozycji wystarczająco dużą sumę, aby nie martwić się zbyt wydatkami, ale po ostatnim przelewie gotówki na remont domu przy rue de Varenne okazało się, że wydała już ponad dwa miliony dolarów. Zostało jej jeszcze półtora miliona, gdyż następną kwotę, ponad trzy miliony, miała otrzymać dopiero po dwudziestych piątych urodzinach. Zasadniczo nie było więc powodu do obaw, lecz jej doradca finansowy nieco się niepokoił. Marie-Ange dokładnie wyjaśniła mu, na czym polega system rozliczeń, który wypracowała wspólnie z Bernardem - ona wykladała pieniądze na pokrycie bieżących wydatków, a jej mąż miał je zwracać po upłynięciu inwestycji.

- To znaczy kiedy?

- Już wkrótce - zapewniła go. - Bernard sam pokrywa koszty remontu obu domów.

Wprawdzie Bernard nigdy nie ujął tego dokładnie w ten sposób, ale wynikało to dość jasno z jego słów, więc Marie-Ange nie miała wątpliwości, że tak właśnie będzie.

Tydzień później Bernard oświadczył, że rynek bliskowschodni niespodziewanie znalazł się w stanie kryzysu. Nie mógł sprzedać teraz swoich udziałów, ponieważ straciłby ogromne pieniądze. O wiele mądrzej zrobi, jeśli jeszcze trochę wstrzyma się z decyzją sprzedaży. Oznaczało to także, że Marie-Ange powinna niezwłocznie wpłacić sumę miliona dolarów za dom w Paryżu, z którą Bernard zalegał. Zapewnił żonę, że rezydencję przy rue de Varenne kupił naprawdę wyjątkowo tanio, a na spłatę brakujących dwóch milionów mają całe trzy lata, przed których upływem Marie-Ange wejdzie już w posiadanie następnej raty swego funduszu.

- Dostanę te pieniądze dopiero po ukończeniu dwudziestu pięciu lat - powiedziała z wahaniem.

Trochę przerażała ją myśl, że ma zostać głównym bankierem Bernarda, zwłaszcza że sama nie przywykła do wydawania tak wielkich pieniędzy. Ale on pocałował ją z uśmiechem i oświadczył, że ponad wszystko na świecie uwielbia jej niewinność.

- Postanowienia takiego funduszu powierniczego jak twój, kochanie, można z łatwością uchylić - rzekł lekko. - Jesteś teraz odpowiedzialną, zamężną kobietą z dzieckiem. Nie tracimy tych pieniędzy w Monte Carlo, lecz dokonujemy rozsądnej inwestycji, więc zarządzający funduszem na pewno spojrzą na to we właściwy sposób. Mogą albo wypłacić ci pieniądze awansem, na poczet sumy, którą odziedziczysz w dniu dwudziestych piątych urodzin, albo pożyczyć ci je. Tak czy inaczej, cała kwota z funduszu należy do ciebie i możesz nią dysponować. Ile ona właściwie wynosi?

- Trochę ponad dziesięć milionów dolarów minus trzy miliony, które już wypłaciłam - odparła bez wahania.

- To przyzwoita suma - rzekł spokojnie Bernard.

Na podstawie jego zachowania można było wywnioskować, że jego własne inwestycje są o wiele większe. W końcu Bernard był o dwadzieścia lat starszy od niej i pochodził z bardzo bogatej rodziny. Wymieniona przez Marie-Ange kwota nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Jeżeli chcesz, porozmawiamy z twoimi bankierami o dostępie do funduszy, które posiadasz - dodał.

Nie ulegało wątpliwości, że dużo wiedział na ten temat. Marie-Ange była zafascynowana jego bogatym doświadczeniem i na pewien czas przestała się niepokoić.

Do końca wiosny sytuacja nie uległa zmianie. Bernard nadal nie oddał jej pieniędzy, a ona wstydziła się go nagabywać. Udało jej się zapłacić wszystkie rachunki związane z restauracją Marmouton i teraz mogła już myśleć wyłącznie o domu w Paryżu. Czasami plany Bernarda wydawały jej się zakrojone na zbyt wielką skalę, ale przekonywał ją, że rezydencja przy rue de Varenne będzie zabytkiem historycznym i wspaniałym dziedzictwem, jakie przekażą swoim dzieciom. Kiedy tak mówił, trudno było mu odmówić, w każdym razie Marie-Anne nie potrafiła tego zrobić.

Lipiec znowu spędzili na południu Francji, na pokładzie ogromnego jachtu i w towarzystwie licznej grupy przyjaciół i znajomych. Tym razem Marie-Ange czuła się jednak znacznie gorzej niż przed narodzinami Heloise. Dużo podróżowali, głównie między Marmouton i Paryżem, gdzie czuwali nad postępem prac budowlanych, a na tydzień przed wyjazdem na Riwierę Bernard zabrał Marie-Ange na wielkie przyjęcie do Wenecji. Nic dziwnego, że kiedy wreszcie wrócili do chateau, czuła się bardzo zmęczona. Koniec lata był wyjątkowo upalny i Marie-Ange nie mogła już doczekać się porodu. Lekarze

twierdzili, że jej drugie dziecko jest dużo większe od pierwszego.

Urodziło się tydzień po wyznaczonym terminie, podczas spokojnego weekendu, który spędzali w Marmouton. Była szczęśliwa, bo wreszcie udało jej się spełnić marzenia Bernarda. Ich drugie dziecko okazało się upragnionym synem. Bernard szalał z radości i dokładał wszelkich starań, aby okazać żonie wdzięczność. Nadali synkowi imię Robert, na cześć tragicznie zmarłego brata Marie-Ange.

Marie-Ange odzyskiwała siły znacznie wolniej niż po urodzeniu Heloise. Ten poród okazał się o wiele trudniejszy, ponieważ dziecko było większe, lecz w połowie września wróciła już do formy i pojechała z Bernardem do Paryża, aby czuwać nad pracami w rezydencji na rue de Varenne. Nie mówiła nic Bernardowi, ale wydała już całą sumę, jaką mogła dysponować do swoich dwudziestych piątych urodzin, a rachunki nadal napływały. Bernard nie zwrócił jej dotąd ani centa, zakładała jednak, że wkrótce to zrobi.

Przebywała właśnie w nowym domu w Paryżu, razem z dziećmi, kiedy nadzorujący prace architekt podczas przypadkowej rozmowy powiedział coś, co mocno ją zaniepokoiło. Bernard obiecał jej, że nie będzie kupował nic do nowego domu, dopóki nie zapłacą bieżących rachunków, tymczasem architekt wspomniiał, że Bernard wynajął magazyn w pobliżu Les Halles, gdzie gromadził bezcenne dzieła sztuki, głównie obrazy i meble.

Tego samego wieczoru Marie-Ange zapytała o to Bernarda, który gorąco zaprzeczył i oświadczył, że nie ma pojęcia, dlaczego architekt powiedział coś takiego. Następnego dnia Marie-Ange pod nieobecność męża zajrzała do skoroszytu z rachunkami i znalazła w nim gruby plik kwitów na duże sumy, wystawionych przez galerie dzieł sztuki i antykwiariaty. Po podliczeniu tych kwot zorientowała się, że nowe długi Bernarda wynoszą ponad milion dolarów.

Odłożyła kwity i oparła głowę na dłoniach, nie wiedząc, co dalej robić, kiedy nagle ciszę przerwał telefon. Dzwonił Billy, aby złożyć jej gratulacje z okazji narodzin Roberta.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Czy Bernard nadal jest twoim księciem z bajki?

Przytaknęła, lecz nie mogła skupić się na rozmowie z Billym, ponieważ stale myślała o rachunkach, które trzymała w ręku. Najbardziej martwiło ją to, że Bernard ją okłamał. Na wszystkich kwitach wypisano adres magazynu, którego, jak twierdził, wcale nie wynajął. Po raz pierwszy przyłapała go na kłamstwie. Nie powiedziała o tym Billy'emu, bo wydawało jej się, że w ten sposób wykazałaby się brakiem lojalności wobec męża.

Billy przekazał jej wiadomość o chorobie ciotki Carole, lecz, co najważniejsze, oświadczył, że zamierza się ożenić. Jego narzeczoną była ta sama dziewczyna, z którą chodził od trzech lat i Marie-Ange bardzo się ucieszyła. Billy i Debbi planowali ślub na następne lato.

- Ponieważ nie chciałaś za mnie wyjść, musiałem sam się o siebie zatroszczyć - rzekł żartobliwym tonem.

Naręczona Billy'ego za parę miesięcy kończyła college i ślub miał się odbyć niedługo po ceremonii rozdania dyplomów. Billy serdecznie zapraszał Marie-Ange, ona zaś obiecała, że postara się przyjechać, była jednak tak zdenerwowana odkryciem niezapłaconych rachunków, iż tym razem rozmowa z przyjacielem nie sprawiła jej przyjemności. Kiedy odłożyła słuchawkę, pomyślała ze ściśniętym sercem, jak cudownie byłoby znowu zobaczyć Billy'ego, ale cóż, teraz ma własne życie, męża i dzieci. Nie brakowało jej wciąż nowych zajęć i zmartwień. Nie była pewna, jak poruszyć temat rachunków w rozmowie z Bernardem, lecz czuła, że musi to zrobić. Wierzyła, że istnieje jakieś wyjaśnienie jego pozornego braku uczciwości. Może znowu chciał zrobić jej niespodziankę? Uparcie odsuwała wszelkie wątpliwości i przekonywała samą siebie, że intencje,

jakimi kierował się Bernard, były z pewnością czyste. Gotowa była zrobić wszystko, aby uniknąć konfrontacji.

Kiedy tydzień później wyjechali do Marmouton, Marie-Ange dokonała prawdziwie szokującego odkrycia. W jej ręce wpadł nadesłany do Bernarda rachunek za bardzo drogi pierścionek z rubinem, wystawiony na kobietę noszącą nazwisko Bernarda, Louise de Beauchamp. Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni Marie-Ange miała powód wątpić w uczciwość Bernarda i wiedziała, że nie zniesie dłużej dręczących ją obaw. Bała się, że Bernard ją zdradza, postanowiła więc zabrać dzieci i pojechać z nimi do Paryża. Bernard przebywał w Londynie, z wizytą u przyjaciół, zatrzymała się więc w pustym paryskim mieszkaniu, aby spokojnie wszystko przemyśleć.

Przemogła ogromne poczucie winy i zadzwoniła do swego banku z prośbą, aby polecono jej dobrego prywatnego detektywa. Musiała się dowiedzieć, co robi

Bernard i czy rzeczywiście ją oszukuje. Z pewnością miał po temu mnóstwo możliwości, ale Marie-Ange zawsze była głęboko przekonana, że mąż ją kocha. Zastanawiała się, czy kobieta, która kupiła pierścionek z rubinem, jest jego kochanką i bezczelnie posługuje się jego nazwiskiem, czy też może daleką krewną, której rachunek przesłano na adres Bernarda przez zwykłą pomyłkę. Już sama nie wiedziała, w co może wierzyć, nie mogła jednak zdobyć się, aby zadzwonić do sklepu i zapytać wprost, kto dokonał zakupu. Serce pękało jej z bólu, lecz wiedziała, że tylko dotarcie do prawdy pozwoli jej odzyskać spokój.

Nadal szukała w myślach korzystnego dla Bernarda wyjaśnienia całej sytuacji. Może ta kobieta to wariatka, która ma zwyczaj podszywać się pod kogo innego... Powiedzmy, że rzeczywiście tak było, lecz pozostawała jeszcze kwestia rachunków za dzieła sztuki i kłamstwa, jakiego dopuścił się Bernard. Marie-Ange mogła zapłacić rachunki, ale chciała dowiedzieć się, dlaczego mąż ją oszukał. Pragnęła mu ufać i

miało to dla niej największe znaczenie. Postanowiła, że nie zacznie rozmowy z Bernardem na ten temat, dopóki nie zyska całkowitej pewności co do jego winy lub niewinności. Jeżeli rachunek za pierścionek trafił do Bernarda przez przypadek, a rzeczy w magazynie były prezentami dla niej, za które zamierzał zapłacić z własnej kieszeni, nie miała podstaw, aby go oskarżać, jeśli jednak się okaże, że sprawy mają się inaczej, będzie musiała stawić mu czoło i wysłuchać jego wersji całej tej historii.

Na razie wolała wierzyć w jego niewinność, niemniej na dnie serca załagał się strach. Od pierwszej chwili ich znajomości darzyła Bernarda ogromnym zaufaniem i bez reszty zaangażowała się w ich wspólne życie. W ciągu niespełna dwóch lat urodziła mu dwoje dzieci. Nie mogła jednak pominąć faktu, że koniec końców to ona zapłaciła za remont zamku Marmouton i wszystkie prace wykonane dotychczas w domu na rue de Varenne. Kosztowało ją to trzy miliony dolarów. Poprzednim właścicielom swojej paryskiej rezydencji winni byli jeszcze dwa miliony, a do tego należało doliczyć milion należności za niezapłacone rachunki. Nie ulegało wątpliwości, że w ciągu dwóch lat wydali ogromną sumę, a Bernard ani myślał o ograniczeniu wydatków.

Kiedy weszła do biura prywatnego detektywa, ogarnęło ją wielkie przygnębienie. Pomieszczenie było małe, zaniedbane i brudne, a polecony przez jej doradców człowiek wyglądał nieporządnie i nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Niedbale zapisał na kartce papieru parę podanych przez nią informacji i zaczął zadawać bardzo osobiste pytania. Wyliczając kolejne kwoty, jakie musiała wypłacić ze swego konta, zorientowała się, że ma powody do niepokoju, ale zaraz pomyślała, iż skłonność do wydawania pieniędzy nie czyni jeszcze z Bernarda kłamcy i oszusta. Prawdziwą przyczyną jej rozterki był rachunek za pierścionek z rubinem i najbardziej nalegała na sprawdzenie tego właśnie faktu. Dlaczego ta kobieta używała nazwiska

Bernarda? Marie-Ange była przekonana, że mąż nie ma żadnych żyjących krewnych, ponieważ sam tak powiedział. Martwiła się, lecz ciągle jeszcze wierzyła, że wszystko się wyjaśni. Nie mogła przecież wykluczyć, że we Francji mieszka nie spokrewniona z Bernardem osoba, która ma prawo do tego samego nazwiska.

- Czy chce pani, aby sprawdził także inne niezapłacone rachunki? - zapytał detektyw.

Marie-Ange kiwnęła głową. Powiedziała mu już o rachunku za pierścionek, ale nadal nie wyobrażała sobie, aby Bernard mógł ją oszukiwać i zdradzać, kupować kosztowne prezenty dla kochanki i spodziewać się, że zapłaci za nie jego żona. Nikt nie mógłby być na tyle bezczelny, wulgarny i pozbawiony wszelkich zasad moralnych, a już na pewno nie Bernard. Był przecież wrażliwym, uczciwym, szlachetnym i dobrze wychowanym człowiekiem...

- Nie wydaje mi się, aby było to coś poważnego - odezwała się niepewnym tonem. - Po prostu zaniepokoiłam się, kiedy znalazłam cały plik niezapłaconych rachunków i adres magazynu, o którego wynajęciu nic mi nie mówił... No i jeszcze ten pierścionek... Nie mam pojęcia, kim może być ta kobieta i dlaczego rachunek odesłano do mojego męża. Najprawdopodobniej to jakieś nieporozumienie...

- Rozumiem, o co pani chodzi - odparł spokojnie detektyw.

Podniósł wzrok znad notatek i uśmiechnął się do niej.

- Na pani miejscu także byłbym zaniepokojony - dodał. - W ciągu dwóch lat pani mąż wydał mnóstwo pieniędzy.

Była to astronomiczna suma i mężczyzna był zdumiony, że jego klientka nie nabrała wątpliwości znacznie wcześniej. Przypuszczał jednak, że jej mąż był mistrzem w tej grze, ona sama zaś nie mogła mu w porę przeszkodzić, ponieważ była młoda i naiwna.

- Oczywiście, to wszystko jest w pewnym sensie inwestycją - wyjaśniła Marie-Ange. - Mamy dwa wspaniałe domy, o niewymiernej wartości historycznej...

Powtarzała słowa Bernarda, chciała bowiem usprawiedliwić skalę poniesionych wydatków. Obawiała się też, że Bernard ukrywa przed nią jeszcze inne zakupy i niezapłacone rachunki. O domu w Paryżu powiedział przecież dopiero po podpisaniu umowy kupna i rozpoczęciu prac, a to dawało do myślenia. Nie mogła wykluczyć, że czekają ją inne tego rodzaju niespodzianki...

Mimo wszystko nie była jednak przygotowana na wynik śledztwa. Po tygodniu od pierwszego spotkania detektyw zadzwonił do niej do Marmouton i zapytał, czy chciałaby umówić się z nim w Paryżu, czy też woli, aby przyjechał do zamku. Bernard był wtedy w Paryżu, a Robert, który miał zaledwie sześć tygodni, złapał właśnie paskudną infekcję, więc Marie-Ange zaproponowała, aby detektyw przyjechał do Marmouton.

Gdy zjawił się następnego dnia rano, zaprowadziła go do gabinetu Bernarda. Umierała z niepokoju, ale z wyrazu twarzy mężczyzny nie była w stanie wyczytać, jaki jest wynik przeprowadzonego dochodzenia. Zaproponowała mu kawę, lecz odmówił. Od razu przeszedł do sedna sprawy, wyjmując z teczki dużą szarą kopertę i kładąc ją na biurku. Spojrzał na Marie-Ange, która nagle zrozumiała, że musi przygotować się na złe wiadomości.

- Miała pani rację co do tych rachunków - rzekł bez ogródek. - Znalazłem kolejne, na sześćset tysięcy dolarów. Zdecydowana większość dotyczy należności za obrazy i ubrania.

- Ubrania? - zapytała drżącym głosem. - Dla kogo? Lecz detektyw uspokoił jej najgorsze obawy.

- Dla pani męża - odparł. - Ma bardzo drogiego krawca w Londynie, a dodatkowo winien jest ponad sto tysięcy dolarów firmie Hermes. Reszta to rachunki za dzieła sztuki, antyki, sądzę, że przeznaczone dla domu, jednego lub drugiego. Rachunek za pierścionek z rubinem, wystawiony dla Louise de Beauchamp, trafił do pani męża przez pomyłkę.

Marie-Ange uśmiechnęła się radośnie. Rachunki można było zapłacić lub w najgorszym razie sprzedać kupione przez Bernarda dzieła sztuki. W tej chwili liczyło się dla niej tylko to, że Louise de Beauchamp nie jest kochanką jej męża. Gdyby odkryła, że Bernard ją zdradza, serce pękłoby jej z bólu. Właściwie przestało ją interesować, co jeszcze detektyw ma do powiedzenia. Bernard został uwolniony od zarzutów, a ona wstydziła się, że na krótką chwilę straciła do niego zaufanie. Nic więcej nie miało znaczenia.

- Odnalazłem Louise de Beauchamp i dowiedziałem się, kim jest - ciągnął detektyw. - Najbardziej interesujące wydaje mi się to, że pani mąż poślubił ją siedem lat temu. Zakładam, że nic pani o tym nie wiedziała, bo przecież nie ukrywałaby pani przede mną tak istotnej informacji.

- To niemożliwe - odezwała się Marie-Ange, patrząc na niego dziwnym wzrokiem. - Zona i syn Bernarda zginęli w czasie pożaru dwanaście lat temu, chłopiec miał wtedy cztery lata. Ta kobieta kłamie.

A może jednak nie kłamie, przemknęło jej przez głowę. Może Bernard zawarł drugie małżeństwo po śmierci pierwszej żony i syna... Ale dlaczego miałby to przed nią ukrywać? Nie mógłby jej tak okłamać...

- W rzeczywistości cała ta historia wygląda trochę inaczej - powiedział detektyw, szczerze współczując zagubionej młodej kobiecie. - Syn Louise de Beauchamp faktycznie zginął w pożarze, ale było to pięć lat temu. Ojcem chłopca nie był Bernard de Beauchamp, lecz pierwszy mąż Louise. Louise odniosła poważne obrażenia, ale przeżyła. To czysty zbieg okoliczności, że kupiła ten pierścionek, a firma jubilerska przez pomyłkę przesłała rachunek do pani męża. Tak czy inaczej, Louise de Beauchamp pokazała mi dokumenty stwierdzające, że ona i pani mąż byli małżeństwem, a także całą serię wycinków prasowych o pożarze. Bernardowi de Beauchamp wypłacono ogromną sumę z racji ubezpieczenia zamku, który wtedy

splonął. Zamek został kupiony za pieniądze Louise, ale akt własności wypisano na Bernarda. Sądzę, że za otrzymaną od firmy ubezpieczeniowej sumę kupił Marmouton, nie miał jednak środków na przeprowadzenie renowacji. Potem w jego życiu pojawiła się pani i wszystko uległo zmianie. I jeszcze jedno - od zawarcia małżeństwa z Louise Bernard nie przepracował ani jednego dnia...

- Czy Bernard wie, że ona żyje? - zapytała Marie-Ange.

Na jej twarzy malowało się ogromne zdumienie. Nie wiedziała, co o tym myśleć, ale nie przyszło jej nawet do głowy, że Bernard ją okłamał, więcej, że okłamywał ją przez całe dwa lata. Musiało zajść jakieś nieporozumienie, które lada chwila się wyjaśni. Bernard z całą pewnością nie mógłby ją tak strasznie oszukać.

- Przypuszczam, że wie. Po pożarze wzięli rozwód...

- To niemożliwe! - przerwała mu Marie-Ange. - Mamy ślub kościelny!

- Może pani mąż ukrył przed księdzem, że jest rozwiedziony albo dobrze mu zapłacił. - Detektyw miał znacznie mniej złudzeń niż Marie-Ange. - Sam rozmawiałem z madame de Beauchamp. Prosiła, aby przekazać pani, że chciałyby się z nią spotkać. Jeżeli zdecyduje się pani na to spotkanie, raczej nie powinna pani wspominać o tym mężowi. - Podał Marie-Ange kartkę z telefonem i adresem w Paryżu, przy Avenue Foch. - Louise de Beauchamp ma blizny po oparzeniach, jakich doznała podczas pożaru, i unika ludzi. Mam wrażenie, że nigdy nie przeboleła śmierci synka.

- On także nie - powiedziała Marie-Ange z oczyma pełnymi łez.

Teraz, kiedy sama była matką, strata dziecka wydawała jej się najgorszą tragedią, jaka mogłaby ją spotkać. Z całego serca współczuła tej kobiecie, niezależnie od tego, kim naprawdę była i jakiego rodzaju więzi łączyły ją z Bernardem. Nie wierzyła w historię, którą opowiedział jej detektyw, była jednak

zdecydowana dotrzeć do sedna sprawy. Ktoś tu kłamał, była jednak pewna, że tym kimś nie jest Bernard. Najdziwniejsze wydawało jej się to, że nikt z przyjaciół i znajomych Bernarda nigdy nie wspomniał ani słowem o Louise i jej synku.

- Myślę, że powinna pani zobaczyć się z Louise de Beauchamp, hrabino - powiedział cicho detektyw. - Dużo wie o pani mężu i część tych faktów musi pani poznać...

- Jakich faktów? - zapytała z niepokojem.

- Louise uważa, że to Bernard podłożył ogień w zamku, przyczyniając się do śmierci jej syna.

Nie dodał, że Louise de Beauchamp uważała, iż Bernard próbował ją zabić. Doszedł do wniosku, że jeśli zechce, sama powie o tym Marie-Ange. Pracował w swoim fachu od wielu lat i dobrze znał się na ludziach. Wiedział, kiedy kłamią i był pewien, że Louise de Beauchamp mówi prawdę.

- To straszne oskarżenie. - Marie-Ange spojrzała na niego z oburzeniem. - Może ta kobieta uważa, że musi zrzucić na kogoś winę. Może nie jest w stanie zaakceptować faktu, że był to wypadek...

Ale to wszystko nie tłumaczyło, dlaczego Bernard nigdy nie powiedział, że jego była żona żyje, a chłopiec, który poniósł śmierć w pożarze, nie był jego rodzonym synem. W jej głowie zaczęły kłębić się pytania i wątpliwości. Nie wiedziała, czy nie powinna żałować, iż detektyw odnalazł Louise de Beauchamp. Z drugiej strony była mu szczerze wdzięczna, ponieważ wiadomość, że Louise de Beauchamp nie jest kochanką Bernarda, przyniosła jej prawdziwą ulgę. Jak jednak miała potraktować informacje Louise, że Bernard zabił jej syna? I dlaczego historia opowiedziana przez nieznaną kobietę w tak zasadniczy sposób różniła się od tego, co wie od Bernarda? Wcale nie była pewna, czy chce zobaczyć się z Louise i otworzyć puszkę Pandory. Po wyjściu detektywa wybrała się na długi spacer po sadzie, lecz ani na chwilę nie mogła uwolnić się od myśli o Louise de Beauchamp i jej synku.

Trudno jej było skupić się na czymkolwiek. Martwiła się, w jaki sposób zdołają zapłacić zaległe rachunki. W przeciwieństwie do Bernarda bała się uchylić postanowienia funduszu. Wydawało jej się to bardzo ryzykowne, zwłaszcza biorąc pod uwagę sumę, którą już wydała. Nie chciała naruszać pozostałej kwoty, ponieważ stanowiła zabezpieczenie przyszłości jej, dzieci i Bernarda.

Wróciła z sadu, aby nakarmić Roberta, lecz nadal nie mogła podjąć żadnej decyzji. Po karmieniu ułożyła zadowolonego i sytego synka do łóżeczka i długą chwilę stała w milczeniu, z wzrokiem wbitym w aparat telefoniczny. Powoli wyjęła z kieszeni kartkę z numerem Louise de Beauchamp. Zastanawiała się, czy nie porozmawiać najpierw z Billym, ale nawet myśl o przyjacielu nie przyniosła jej ukojenia. Nie знаła jeszcze całej prawdy i nie chciała rzucać nieuzasadnionych oskarżeń pod adresem Bernarda. Może mąż bał się przyznać, że jest rozwiedziony, a tamtego chłopca rzeczywiście kochał jak własnego syna... Ale niezależnie od tego, co kierowało Bernardem, musiała dowiedzieć się prawdy. Podniosła słuchawkę i drżącą ręką wybrała numer Louise de Beauchamp.

Już po drugim sygnale usłyszała niski, melodyjny kobiecy głos i poprosiła do telefonu Louise de Beauchamp.

- Przy aparacie - odparła spokojnie kobieta. Marie-Ange się zawahała. Miała wrażenie, że stoi przed lustrem i zaraz zajrzy, co dzieje się po drugiej stronie szklanej tafli. Nagle ogarnął ją lęk.

- Mówi Marie-Ange de Beauchamp - powiedziała bardzo cicho, prawie szeptem.

Ze słuchawki dobiegł ją jakiś dźwięk przypominający westchnienie ulgi.

- Cieszę się, że pani zadzwoniła - odezwała się kobieta. - Nie sądziłam, że zdobędzie się pani na ten krok, ale naprawdę się cieszę. Powinna pani dowiedzieć się o kilku sprawach.

Wiedziała już od detektywa, że Bernard ukrył fakt jej istnienia przed młodą żoną i to stanowiło w jej oczach dodatkowy argument, obciążający byłego męża.

- Miałaby pani może ochotę mnie odwiedzić? - zapytała łagodnie. - Przykro mi, że nie mogę zaproponować spotkania na neutralnym gruncie, ale rzadko wychodzę z domu...

Marie-Ange wiedziała, że Louise została poważnie poparzona i nawet cała seria operacji plastycznych nie zdołała jej pomóc. Kobieta uległa poparzeniom, usiłując ratować dziecko.

- Przyjadę do pani do Paryża - szepnęła Marie-Ange. - Kiedy mogłybyśmy porozmawiać?

Śmiertelnie bała się tego, co usłyszy od Louise. Instynkt podpowiadał jej, że wyznania pierwszej żony Bernarda poważnie zaważą na zaufaniu do męża i jakaś jej częśćka pragnęła rzucić się do ucieczki, ukryć się w jakimś ustronnym miejscu i zapomnieć o spotkaniu z Louise de Beauchamp, wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Nie miała wyboru. Jeżeli stchórzy, do końca życia nie uwolni się od wątpliwości i podejrzeń. Bernard zasługiwał na to, aby przynajmniej spróbowała je rozwiązać.

- Może jutro? - zaproponowała Louise. - Albo pojutrze, jeśli pani woli...

Nie żywiła żadnych negatywnych uczuć wobec drugiej żony Bernarda. Chciała tylko uratować jej życie. Z tego, co powiedział detektyw, wynikało jasno, że Marie-Ange jest w poważnym niebezpieczeństwie. Być może jej dzieci również...

Z piersi Marie-Ange wyrwało się stłumione westchnienie.

- Mogę przyjechać do Paryża jutro i spotkać się z panią po południu - powiedziała.

- Czy piąta to nie za wcześnie?

- Nie, powinnam zdążyć. Nie ma pani nic przeciwko temu, że przywiozę ze sobą dziecko? Karmię synka piersią i muszę zabrać go z Marmouton. Córeczkę zostawię pod opieką niani, ale Robert...

- Z radością go zobaczę - przerwała jej łagodnie Louise.

- Wobec tego do zobaczenia jutro o piątej.

Wiele by dała, żeby zapomnieć o istnieniu Louise de Beauchamp, ale wiedziała, że to niemożliwe. Naprawdę nie miała wyboru. Stała samotnie na długiej ścieżce i zrobiła już nawet pierwszy krok. Teraz mogła tylko modlić się, aby jak najprędzej udało jej się wrócić z tej wyprawy w nieznane, z nienaruszoną wiarą w uczciwość Bernarda.

Louise de Beauchamp odłożyła słuchawkę w swoim pustym paryskim mieszkaniu i ze smutkiem spojrzała na fotografię synka. Uśmiechał się do niej. Tyle zdarzyło się od chwili, kiedy zrobiła mu to zdjęcie...

RS

Rozdział dziesiąty

Podróż z Marmouton do Paryża wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Marie-Ange jechała powoli i ostrożnie, nie chcąc budzić śpiącego na tylnym siedzeniu synka. Raz musiała się zatrzymać, żeby go nakarmić. Na dworze panował dotkliwy ziąb i padał drobny deszcz. Do Paryża dotarła koło czwartej trzydzieści, a ponieważ na ulicach były korki, znalazła się przed domem Louise de Beauchamp dopiero za pięć piąta. Nie wiedziała nic o byłej żonie Bernarda, nigdy nie widziała nawet jej zdjęcia. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że było to dość dziwne, zaraz jednak doszła do wniosku, że może Bernard chciał zapomnieć o przeszłości. Nie rozumiała tylko, dlaczego powiedział, że jego pierwsza żona nie żyje.

Nie wiedziała więc, czego się spodziewać i widok Louise bardzo ją zaskoczył. Ujrzała wysoką, elegancką młodą kobietę w wieku lat trzydziestu paru, o sięgających do ramion jasnych włosach, które zasłaniały część twarzy. Kiedy jednak Louise się cofnęła, aby wpuścić gościa do mieszkania, Marie-Ange zobaczyła całą jej twarz. Jedna połowa zachwycała delikatnym, szlachetnym rysunkiem, natomiast na drugiej rysy jakby się roztopiły, poznaczone tu i ówdzie bliznami po operacjach plastycznych, które bynajmniej nie zatarły śladów oparzeń.

- Dziękuję, że zechciała mnie pani odwiedzić, hrabino - odezwała się Louise, szybko odwracając oszpeconą połowę twarzy.

Zaprowadziła Marie-Ange do salonu umeblowanego bezcennymi antykami. Usiadły na fotelach w stylu Ludwika XV, usiłując nie przyglądać się sobie ze zbytnią ciekawością. Marie-Ange trzymała w ramionach spokojnie śpiącego synka.

Louise de Beauchamp uśmiechnęła się na jego widok, lecz Marie-Ange dostrzegła w jej oczach bezbrzeżny smutek.

- Nieczęsto widuję dzieci - powiedziała cicho Louise. - W ogóle rzadko spotykam się teraz z ludźmi.

Zaproponowała, że poda coś do picia, ale Marie-Ange potrząsnęła głową. Chciała tylko wysłuchać Louise i jak najszybciej wrócić do domu.

- Zdaję sobie sprawę, że ta sytuacja musi być dla pani niezwykle trudna - zaczęła Louise, patrząc Marie-Ange prosto w oczy. - Nie zna mnie pani' i nie ma żadnego powodu, aby miała mi pani uwierzyć, liczę jednak, że ze względu na własne bezpieczeństwo i bezpieczeństwo swoich dzieci zechce mnie pani wysłuchać i zachowa ostrożność...

Westchnęła i na chwilę zapatrzyła się w okno. Marie-Ange obserwowała ją uważnie. Louise de Beauchamp nie robiła wrażenia szalonej i chociaż otaczała ją atmosfera smutku, nie wyglądała też na zgorzkniałą czy niezrównoważoną. Mówiła zupełnie spokojnie i właśnie ten spokój do głębi wstrząsnął sercem Marie-Ange.

- Poznaliśmy się na przyjęciu w Saint-Tropez i dziś zdaję sobie sprawę, że Bernard musiał świetnie wiedzieć, kim jestem. Mój ojciec, który zmarł niecały rok wcześniej, był bardzo znanym człowiekiem, miał rozległe posiadłości w całej Europie, a także szyby naftowe w Bahrajnie. Matka umarła, gdy byłem dzieckiem. Nie miałam żadnych krewnych, byłem samotna i młoda, chociaż nie tak młoda jak pani. Od razu zaczął zabiegać o moje uczucie. Mówił, że pragnie tylko jednego - ożenić się ze mną i mieć ze mną dzieci. Miałam dwuletniego syna z pierwszego małżeństwa. Charles uwielbiał Bernarda. Ja także uważałam, że mój ukochany będzie idealnym mężem i ojcem. Moje poprzednie małżeństwo zakończyło się bardzo źle, mąż nie chciał widywać Charles'a i w ogóle się z nim nie kontaktował. Uważałam, że Charles potrzebuje ojca i oczywiście byłem bardzo zakochana w Bernardzie. Po naszym ślubie zmieniłam testament, zapisując jedną połowę majątku Bernardowi, a drugą Charles'owi. Nie miałam zamiaru żegnać się z tym światem, byłem jednak wystarczająco głupia, aby powiedzieć o tym Bernardowi.

Mieliśmy zamek w Dordogne, który odziedziczyłam po ojcu, i spędzaliśmy tam dużo czasu. Bernard narobił masę długów, zawsze wydawał pieniądze bez opamiętania, i gdyby nie prawnicy mojego ojca, na pewno doprowadziłyby mnie do ruiny. Dopiero pod naciskiem adwokatów i doradców finansowych oświadczyłam Bernardowi, że nie będę więcej płacić jego rachunków. Wtedy wpadł w furję. Później dowiedziałam się, że zadłużył się na kilka milionów dolarów, i spłaciłam wszystko, aby oszczędzić nam obojgu skandalu.

Tego lata byliśmy w Dordogne - Louise przerwała na chwilę, starając się zapanować nad sobą. - Charles był z nami...

Marie-Ange zacisnęła ręce, wiedząc, że teraz usłyszysz najtraficniejszą część opowieści Louise.

- Miał wtedy cztery lata - ciągnęła kobieta. - Był śliczny i słodki, miał jasne, kręcone włoski... Nadal nie widział świata poza Bernardem, chociaż ja byłam nim już znacznie mniej oczarowana i przerażona jego długami. Pewnej nocy w zamku wybuchł pożar. Ogień szerzył się błyskawicznie i zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, pochłonął połowę zamku. Pobiegałam do pokoju synka, który znajdował się nad naszą sypialnią. Gospodyni nie było, miała wrócić dopiero rano. Kiedy znalazłam się w korytarzu prowadzącym do pokoju Charles'a, ujrzałam Bernarda, który... - głos Louise załamał się gwałtownie. - Bernarda, który właśnie zamykał drzwi na klucz. Rzuciłam się na niego, próbowałam mu go wyrwać, i w końcu mi się udało. Wpadłam do pokoju i chwyciłam dziecko w ramiona, ale nie mogłam wydostać się na korytarz. Bernard zastawił czymś drzwi, fotelem albo stolikiem, nie wiem...

- O mój Boże... - Marie-Ange jęknęła, przytulając niemowlę do piersi i ocierając łzy wierzchem dłoni. - Jak się pani wydostała?

- Przyjechała straż pożarna i strażacy rozpostarli siatkę pod oknem, ale ja bałam się wypuścić Charles'a z ramion i bałam się skoczyć razem z nim... - Louise zakryła twarz dłońmi, jej ciałem

wstrząsnął szloch. -Wahałam się zbyt długo - wykrztusiła wreszcie. - Mój synek... Charles umarł na moich rękach, zaczadzony... W końcu skoczyłam, ale było już za późno. Próbowali go reanimować. Bezskutecznie. Bernarda wyciągnięto z jednego z pokoi na parterze. Był w stanie kompletnej hysterii i powtarzał, że przez cały czas próbował nas ratować. Kłamał. Powiedziałam policji, co zrobił, ale pod drzwiami pokoju mojego synka nic nie znaleziono. Bernard zdążył usunąć to, czym je zablokował. Wyjaśnił policji, że nie jestem w stanie przyjąć wyroku losu i dlatego usiłuję go obwiniać. Podczas przesłuchania szlochał rozpaczliwie i przysięgli mu uwierzyli. Oświadczył też, że jestem niezrównowazona, a moje przywiązanie do Charles'a było nienaturalne. Nie mam żadnych dowodów na poparcie mojej historii, wiem jednak, że gdybym umarła razem z Charles'em, Bernard odziedziczyłby cały mój majątek i zostałby bardzo, bardzo bogatym człowiekiem. Strażacy odkryli, że pożar wybuchł na strychu, najprawdopodobniej w wyniku spięcia w instalacji elektrycznej. Jeden z kabli był uszkodzony. Jestem przekonana, że zrobił to Bernard, ale nie potrafię tego dowieść. Niezależnie od wszystkiego, tamtej nocy widziałam, jak zamykał drzwi do pokoju mojego dziecka, i wiem, że potem zrobił wszystko, abyśmy nie wyszli z niego żywi. Wiem, co widziałam, hrabino, i wiem, że mój synek nie żyje...

Marie-Ange zdawała sobie sprawę, że najwygodniej byłoby, gdyby uwierzyła, że Louise jest nienormalna, że usiłuje obarczyć kogoś winą za śmierć dziecka. Chętnie przyjęłaby wersję Bernarda, ale coś w głosie Louise i wyrazie jej twarzy sprawiło, że nie mogła tego zrobić. Zadrzała. Nie chciała przyjąć do wiadomości słów Louise, ponieważ wynikało z nich jasno, że Bernard jest potworem i mordercą.

- Nie mam pojęcia, jaka jest pani sytuacja - ciągnęła Louise, nie spuszczać z niej wzroku. - Rozumiem jednak, że dysponuje pani dużą sumą pieniędzy i nie ma nikogo, kto

mógłby panią obronić. Jest pani bardzo młoda, ale może ma pani dobrych prawników, a może jest pani rozsądniejsza niż ja i potrafi lepiej zadbać o swoje interesy. Jeżeli jednak zapisała mu pani swój majątek lub nie sporządziła pani testamentu, co oznacza, że po pani śmierci Bernard odziedziczy wszystko, jest pani w ogromnym niebezpieczeństwie, i pani dzieci również. A jeśli Bernard zaciągnął duże długi, zagrożenie jest jeszcze większe. Gdyby była pani moją córką lub siostrą, błagałabym, aby zabrała pani dzieci i ratowała się ucieczką. - Oczywiście de Beauchamp napełniły się łzami.

- Nie... Nie mogę tego zrobić - wyjąkała z trudem Marie-Ange. Och, gdyby mogła sobie wmówić, że Louise jest wariatką i mitomanką! Gdyby tylko było to możliwe! Ale Louise nie kłamała i Marie-Ange była tego w pełni świadoma. - Nie mogę... Kocham Bernarda, jest ojcem moich dzieci. Rzeczywiście narobił długów, ale jestem w stanie je spłacić. Nie ma żadnego powodu, aby próbował nas zabić czy wyrządzić nam krzywdę... Może dostać wszystko, czego zapagnie...

- Nie ma studni bez dna - powiedziała Louise. - Kiedy zabraknie pieniędzy, Bernard panią porzuci, ale zanim to zrobi, wyciągnie z pani wszystko, do ostatniego centa. A jeśli dowie się, że jakaś część pani majątku będzie dostępna dopiero po pani śmierci, nie zawaha się pani zabić. Proszę się nie łudzić, Bernard jest złym, chciwym człowiekiem...

W jej oczach był mordercą, lecz wiedziała, że Marie-Ange trudno jest w to uwierzyć.

- Zjawił się na pogrzebie Charles'a i płakał rzewnymi łzami, ale mnie nie oszukał. Zabił mojego synka, zupełnie tak samo, jakby zadusił go własnymi rękoma.

Nigdy nie będę w stanie tego dowieść, ale mogę przestrzec panią. Proszę ratować swoje dzieci. Bernard de Beauchamp to bardzo niebezpieczny człowiek.

W pokoju zapadła cisza. Obie kobiety długo patrzyły na siebie bez słowa. Marie-Ange uwierzyła w historię Louise, chociaż

sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Z łatwością można było powiedzieć, że zrozpaczona matka wyobraziła sobie, iż drzwi na korytarz są zamknięte, lecz nie sposób było wyjaśnić, dlaczego Bernard usiłował zamknąć drzwi pokoju Charles^a na klucz. Może wpadł w panikę, może próbował chronić chłopca przed ogniem i dymem, a może jednak był z gruntu złym, chciwym człowiekiem, jak twierdziła Louise. Marie-Ange nie wiedziała, co powiedzieć, wstrząśnięta i zagubiona na próżno szukała w myślach argumentów na obronę Bernarda.

- Tak mi przykro... - szepnęła wreszcie. Nie mogła pocieszyć Louise, więc tylko patrzyła na nią z litością i ze smutkiem. - Bernard powiedział mi, że zginęła pani razem z synkiem, dziesięć lat przed naszym poznaniem się. Mówił też, że... Ze Charles był jego synem.

Louise uśmiechnęła się gorzko.

- Nie wątpię, że żałuje, iż nie zginęłam. I tak może uważać się za szczęściarza. Nie widuję nikogo poza swoimi najbliższymi przyjaciółmi, nigdzie nie wychodzę, a po procesie przez długi czas w ogóle z nikim się nie spotykałam. W oczach jego świata jestem martwa. Nikogo nie próbuję przekonać do swojej historii. Wiem, co się wydarzyło, podobnie jak Bernard, niezależnie od tego, co opowiada. Proszę bardzo uważać -powtórzyła, podnosząc się z fotela. Wyglądała na całkowicie wyczerpaną, na policzkach nadal miała ślady łez. - Gdyby cokolwiek przydarzyło się pani lub pani dzieciom, będę zeznawać przeciwko niemu. W tej chwili może nie mieć to dla pani żadnego znaczenia, ale pewnego dnia okaże się, że jest inaczej. Choć mimo wszystko mam jednak nadzieję, że nigdy nie będzie pani potrzebowała mojej pomocy.

- Ja również. - Marie-Ange westchnęła, idąc za Louise do drzwi.

Robert poruszył się niespokojnie w jej ramionach.

- Niech pani uważa - rzekła Louise i uściśniła dłoń Marie-Ange.

- Dziękuję, że zechciała pani się ze mną spotkać. W chwilę później, schodząc po schodach, poczuła,

że kolana uginają się pod nią, a po policzkach spływają gorące łzy. Chciała zadzwonić do Billy'ego i opowiedzieć mu o wszystkim, ale Billy nie mógł jej przecież pomóc. Sama zaś mogła tylko schronić się w jakimś spokojnym miejscu i dokładnie przemyśleć opowieść Louise.

Była już prawie siódma, nie mogła wracać do Marmouton. Postanowiła spędzić noc w mieszkaniu Bernarda, chociaż wiedziała, że on również tam będzie. Bała się spojrzeć mu w oczy i modliła się, aby nie zauważył w niej żadnej zmiany. Wiedziała, że musi się bardzo pilnować.

Gdy weszła do mieszkania, okazało się, że Bernard dopiero przed chwilą wrócił ze spotkania z architektem. Dom na rue de Varenne był już prawie gotowy i architekt zapewnił, że roboty zakończą się tuż przed Nowym Rokiem. Bernard robił wrażenie szczęśliwego i mile zaskoczonego, że ich widzi. Ucałował Marie-Ange i Roberta, lecz jego młoda żona mogła teraz myśleć wyłącznie o chłopcu, który zginął w pożarze, i o kobiecie z twarzą pokrytą bliznami.

- Co robisz w Paryżu, skarbie? Co za cudowna niespodzianka!
- wykrzyknął, szczerze zadowolony z ich przybycia.

Marie-Ange poczuła się nagle winna, że tak łatwo uwierzyła we wszystko, co powiedziała Louise. A co, jeśli Louise naprawdę jest szalona? Jeśli zmyśliła całą tę historię? Jeśli oszalała z rozpaczy, ponieważ zabiła swego syna? Marie-Ange zdrząła, lecz Bernard otoczył ją ramionami, niczego nie zauważając. Marie-Ange czuła, jak smutek i miłość do męża wzbierają w niej wielką falą. Nie chciała uwierzyć w słowa Louise. Może Bernard powiedział jej, że Louise nie żyje, ponieważ nie chciał, aby poznała wszystkie szczegóły tej strasznej historii i oskarżenia, jakie wytoczyła przeciwko niemu

jego pierwsza żona. Może kłamał z jakiejś określonej przyczyny, może bał się stracić ją lub zranić. Był przecież tylko człowiekiem...

- Chodźmy gdzieś na kolację, dobrze? Jeżeli zdecydujemy się na bistro, możemy wziąć małego ze sobą. I nadal nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd się tu wzięliście - rzekł, patrząc na nią zupełnie niewinnie.

Marie-Ange czuła się rozdarta. Jedna część jej istoty nadal kochała go całym sercem, lecz druga przepelniona była lękiem i obrzydzeniem.

- Tęskniłam za tobą - odparła po prostu.

Bernard uśmiechnął się i znowu ją pocałował. Kiedy tak stał przed nią, trzymając syna na rękach, wydał jej się tak kochający, czuły i dobry, że nagle zwątpiła we wszystko, co usłyszała z ust Louise de Beauchamp. Jediną rzeczą, w którą nadal wierzyła, była niezaprzeczalna skłonność Bernarda do zaciągania długów, ale przecież to nie było aż takie ważne... Na pewno sama zdoła uporać się z tym jakoś i opanuje sytuację... Niewykluczone nawet, że z czasem Bernard nauczy się walczyć z tą wadą, być może pokona swoją słabość. Może kłamał ze strachu... Ależ tak, na pewno tak właśnie było! Kiedy wychodzili na kolację, Marie-Ange nie miała już żadnych wątpliwości. Bernard rozbawił ją do łez śmiesznymi historyjkami, które usłyszał od swoich znajomych, przez cały wieczór troskliwie zajmował się Robertem i dbał, aby żona była zadowolona ze wspólnego wyjścia.

Zanim po powrocie z kolacji ułożyli się do snu, z Robertem mocno śpiącym w wiklinowym łóżeczku obok ich łóżka, Marie-Ange zdołała już przekonać samą siebie, że Louise de Beauchamp kłamała, może z zemsty za to, że Bernard ją zostawił. Najprawdopodobniej Louise była po prostu rozpaczliwie zazdrosna. Oczywiście, nie wspomniała Bernardowi o swoim spotkaniu z jego pierwszą żoną i nadal bardzo współczuła tej biednej kobiecie, ale jej współczucie już

niewielkie i nie było aż tak wielkie, by miała bezkrytycznie wierzyć we wszystko, co usłyszała. Żyła przecież z Bernardem przez ostatnie dwa lata, doskonale go znała i miała z nim dwoje dzieci. Jej mąż nie był mordercą kobiet i dzieci, na miłość boską... Nie skrzywdziłby nawet muchy. Zasypiając w jego ramionach, doszła do wniosku, że nie może zarzucić mu nic poza tym, iż zaciągnął parę długów. A że okłamał ją, podając się za wdowca? Tę historyjkę mogła mu bez trudu wybaczyć. Bernard był arystokratą i katolikiem, nic więc dziwnego, że niełatwo było mu przyznać się do rozwodu. Zresztą, niezależnie od wszystkiego, nadal bardzo go kochała i nie wierzyła, nie mogła uwierzyć, że to on zabił syna Louise. Nie, to było absolutnie niemożliwe.

RS

Rozdział jedenasty

Po powrocie do Marmouton Marie-Ange miała ogromne wyrzuty sumienia, że w ogóle spotkała się z Louise de Beauchamp, więc kiedy odkryła, że Bernard ma jeszcze większe długi, niż dotąd sądziła, starała się być dla niego wyjątkowo wyrozumiała. Wszystko wskazywało na to, że Bernard zwyczajnie zapomniał zapłacić za wynajęcie willi, w której spędzili lipiec, oraz jachtu. Musiała więc sama uregulować tę należność, ale nie zastanawiała się nad tym zbytnio i potraktowała całą sprawę jako niewinne przeoczenie ze strony męża.

Dom przy rue de Varenne był już prawie gotowy. Na biurku Marie-Ange piętrzył się stos niezapłaconych rachunków, lecz młoda kobieta była dobrej myśli, ponieważ wreszcie podjęła decyzję, iż weźmie pożyczkę z banku i zapłaci za cały remont. Inwestycje, o których Bernard opowiadał jej od dwóch lat, nie doczekały się jakoś ostatecznej realizacji i przestała już nawet o nie pytać. W głębi serca nie była pewna, czy te udziały w ogóle istnieją. Może Bernard stracił pieniądze, a może miał ich mniej, niż utrzymywał, kto wie? Dla niej nie miało to żadnego znaczenia. Nie chciała wprawiać męża w niepotrzebne zażenowanie. W końcu był przecież jej fundusz, nie byli więc bez środków do życia. Mieli też dwie piękne rezydencje i dwoje zdrowych dzieci. I jeśli nawet czasami Marie-Ange wracała myślami do spotkania z Louise de Beauchamp, szybko spychała wszelkie refleksje na ten temat w głąb podświadomości. Uparcie powtarzała sobie, że Louise chciała zemścić się na Bernardzie i dlatego bezpodstawnie go oskarżyła. Więcej, wmówiła sobie, że Bernard zabił jej dziecko. Było to straszne, lecz Marie-Ange starała się wczuć w sytuację Louise i wybaczyć jej. Nie miała wątpliwości, że gdyby sama straciła dziecko, także by oszalała. Bernard i dzieci byli całym jej życiem, dlatego doskonale rozumiała rozpacz Louise.

Kiedy zaś Bernard zaczynał napomykać o kupnie pałacu w Wenecji lub domu w Londynie, karciała go łagodnie, jak małego chłopca, który nigdy nie ma dosyć cukierków, i powtarzała, że dwie rezydencje w zupełności im wystarczą. Bernard mówił także, że przydałby się jacht, lecz po prostu nie zwracała na to uwagi. Jej mąż miał nienasycony apetyt na domy i przedmioty luksusowe, ale ona potrafiła kontrolować jego ekstrawagancje i zamierzała trzymać rękę na pulsie.

Gdy Robert skończył trzy miesiące, Bernard zaczął mówić o trzecim dziecku. W gruncie rzeczy ten pomysł jej też się podobał, lecz tym razem wołała zacząć jeszcze kilka miesięcy. Odzyskała wprawdzie smukłą sylwetkę i wyglądała ślicznie, ale pragnęła poświęcić teraz trochę więcej czasu Bernardowi. Zimą zamierzali wybrać się na długą wycieczkę do Afryki i nie mogła już doczekać się wyjazdu. Zaraz po świętach Bożego Narodzenia planowali wydać wielkie przyjęcie w Marmouton, a parę dni po Nowym Roku drugie, jeszcze bardziej wystawne i uroczyste, z okazji objęcia w posiadanie rezydencji na rue de Yarenne.

Dwa tygodnie przed Gwiazdką Marie-Ange zadzwoniła do Billy'ego, aby zapytać, czy wyznaczyli już z Debbi datę ślubu. Chciała wybrać się do Iowa, ale ciągle brakowało jej czasu, a poza tym Stany były tak daleko... Billy zapytał żartem, czy Marie-Ange znowu jest w ciąży i długo rozmawiali z ożywieniem o jej dzieciach, dlatego zaskoczył ją nagłym i zadany dziwnie poważnym tonem pytaniem, czy aby na pewno wszystko u niej w porządku.

- Oczywiście! - zawołała. - Dlaczego pytasz? Billy zawsze intuicyjnie wyczuwał, kiedy działo się z nią coś złego, lecz teraz szósty zmysł najwyraźniej go zawiódł. Z uporem zapewniała go, że jej życie układa się po prostu znakomicie. Kierując się poczuciem lojalności wobec Bernarda, postanowiła nie mówić Billy'emu o spotkaniu z Louise de Beauchamp. Wiedziała, jak

trudno byłoby mu to wszystko wyjaśnić, zwłaszcza że nadal miał dość podejrzliwy stosunek do Bernarda.

- Martwię się o ciebie, to wszystko - odparł Billy. - Nie zapominaj, że nie znam twojego męża, nigdy go nawet nie widziałem, więc skąd niby mam wiedzieć, że rzeczywiście jest takim wspaniałym facetem?

- Zaufaj mi - powiedziała, uśmiechając się na wspomnienie piegowatej twarzy Billy'ego, które właśnie podsunęła jej pamięć. - Bernard naprawdę jest świetnym facetem.

Ze smutkiem pomyślała, że minęły już całe dwa lata od chwili, gdy po raz ostatni widziała Billy'ego. Wiedziała, że przyjaciel cieszy się jej szczęściem, ale dałaby wiele, by mieć go choć trochę bliżej siebie.

- Dostajesz jakieś wiadomości od ciotki? - zapytał Billy.

Carole miała teraz osiemdziesiąt parę lat i od dawna nie czuła się dobrze. Poprzedniego dnia Marie-Ange wysłała do niej życzenia świąteczne oraz zdjęcie Heloise i Roberta, ale nie sądziła, aby miało to dla Carole jakieś znaczenie. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia zawsze dostawała od ciotki krótką kartkę i była to jedyna próba podtrzymania kontaktu, jaką czyniła Carole. Pisała, że pozdrawia Marie-Ange i ma nadzieję, że jej mąż dobrze się czuje, nic więcej.

- Nadal zamierzasz przyjechać na mój ślub w czerwcu? - zapytał Billy.

- Na pewno się postaram.

- Mama mówi, że powinnaś przywieźć dzieci. Wszyscy bardzo chcieliby je zobaczyć, a szczególnie ona.

Marie-Ange pomyślała, że do czerwca jest jeszcze bardzo daleko. Niewykluczone zresztą, że będzie wtedy w ciąży z trzecim dzieckiem. Tak czy inaczej, coraz częściej miała wrażenie, że Iowa znajduje się na innej planecie.

Rozmawiali jeszcze chwilę, lecz wkrótce Bernard wrócił do domu i Marie-Ange musiała zakończyć rozmowę.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytał ciekawie. Zawsze bardzo interesował się jej życiem, natomiast o swoich sprawach opowiadał niezbyt chętnie. Marie-Ange zauważyła to już dość dawno temu.

- Z Billym - odpowiedziała. - Chce, żebyśmy przyjechali na jego ślub w czerwcu...

- To straszny kawał drogi. - Bernard się uśmiechnął.

Dla niego Stany ograniczały się do Los Angeles i Nowego Jorku. Kilka razy odwiedził też Palm Beach, lecz farma w stanie Iowa była zdecydowanie nie w jego stylu. W ubiegłym tygodniu kupił sobie komplet walizek z krokodylej skóry i Marie-Ange z rozbawieniem wyobraziła sobie, jak jej mąż wysiada z pickupa i sięga do bagażnika po elegancki bagaż. Sama miała jednak ogromną ochotę odwiedzić Stany i obiecywała sobie, że pewnego dnia to zrobi. Próbowwała namówić Billy'ego, aby przyjechał z Debbi do Marmouton na miodowy miesiąc, ale on tylko się roześmiał w odpowiedzi. Niedawno on i jego narzeczona doszli do wniosku, że tygodniowa wyprawa do Wielkiego Kanionu będzie dla nich zbyt wielkim wydatkiem i nawet weekend w Chicago wydawał się trochę za drogi. Wakacje we Francji mieściły się dla nich w sferze niemożliwych do zrealizowania marzeń. Oszczędzali każdego centa, aby trochę zainwestować w farmę.

- Co dzisiaj robiłaś, kochanie? - zapytał Bernard w czasie kolacji.

Parę dni temu zatrudnili kucharkę i Marie-Ange miała teraz więcej czasu dla dzieci, lecz czasami przychodziło jej do głowy, że chętnie ugotowałyby coś dla Bernarda.

- Nic specjalnego - odparła. - Wybrałam się na zakupy i kupiłam trochę rzeczy potrzebnych na świąteczne przyjęcie, a potem bawiłam się z dziećmi. Heloise znowu jest trochę zaziębiona. A jak tobie minął dzień?

Bernard uśmiechnął się tajemniczo.

- Dość ciekawie - powiedział powoli i uroczyście. - Kupiłem szyb naftowy - oznajmił z wyraźnym zadowoleniem.

Marie-Ange zmarszczyła brwi.

- Co takiego? - Miała nadzieję, że Bernard żartuje, ale niestety patrzył na nią z przerażającą szczerością.

- Kupiłem szyb naftowy w Teksasie. Już od pewnego czasu prowadziłem rozmowy z właścicielami udziałów w tym przedsięwzięciu. Poprzednio zrobili ogromne pieniądze na szybach w Oklahomie i tym razem też na pewno im się uda. - Rzucił jej zwycięski uśmiech.

- W jaki sposób kupiłeś ten szyb? - Marie-Ange z trudem opanowała wzbierające w niej przerażenie.

- Wystawiłem weksel. Doskonale znam tych ludzi, więc nie ma żadnego ryzyka...

- Ile to ma kosztować? - przerwała mu nerwowo. - Ile masz zapłacić za te udziały?

Bernard spojrział na nią z pełnym pobłażliwością rozbawieniem.

- To prawdziwa okazja - oznajmił. - Pozwolili mi zapłacić połowę, to jest osiemset tysięcy dolarów, wekslem. Drugą ratę mam wpłacić dopiero w przyszłym roku.

Marie-Ange nie miała cienia wątpliwości, że Bernard nie wykupi weksla. Ona będzie musiała to zrobić, zaciągając kolejną pożyczkę. Dwa lata temu wydawało jej się, że dziesięć milionów dolarów to wielka fortuna, a teraz żyła w bezustannym strachu przed bankructwem. Bernard był w stanie przepuścić dziesięć milionów w ciągu jednego tygodnia...

- Nie możemy sobie na to pozwolić, Bernardzie. Dopiero skończyliśmy płacić za remont domu.

Roześmiał się, rozbawiony taką naiwnością, i musnął wargami czubek jej nosa.

- Kochanie, jesteś bardzo, bardzo bogatą kobietą. Masz nieprzebrane mnóstwo pieniędzy, a na tym szybie zarobimy ich

jeszcze więcej. Zaufaj mi. Znam tych ludzi, nie są debiutantami w tej branży.

- Do kiedy musisz wykupić weksel?

- Do końca roku - odpowiedział beztrzesko.

- Przecież to już za dwa tygodnie! - wykrztusiła.

- Wierz mi, gdybym mógł, wykupiłbym go z własnych środków. Twój doradca finansowy będzie mi dziękować za tak rozsądne ulokowanie twoich pieniędzy.

Bernard mówił to wszystko bez mrugnienia okiem, absolutnie pewien swoich racji. Marie-Ange spędziła bezsenną noc, nie mogąc przestać myśleć o nowym kaprysie męża.

Rano zadzwoniła do banku, lecz jej doradcy nie mieli zamiaru dziękować Bernardowi i dla jej dobra odmówili udzielenia pożyczki pod następną ratę funduszu. Zdecydowanie sprzeciwili się, aby użyła własnych pieniędzy na wykupienie wystawionego przez Bernarda weksla, o czym musiała powiedzieć mu podczas lunchu. Bernard wpadł we wściekłość.

- Mój Boże, jak mogą być tacy głupi! - wybuchnął. -I co ja mam teraz zrobić? Dałem słowo, nie mogę się wycofać, to sprawa honoru! Ci ludzie wezmą mnie za oszusta, mogą mnie nawet podać do sądu! Podpisałem dokumenty dwa dni temu, wiedziałas o tym, Marie-Ange! Musisz wydać polecenie, żeby twój bank wypłacił sumę z weksla!

- Zrobiłam to - odpowiedziała sucho. - Być może powinniśmy byli poprosić ich o radę, zanim podpisałeś umowę.

- Nie jesteś przecież żebraczką, na Boga! Jutro sam do nich zadzwonię!

Marie-Ange natychmiast zrozumiała słabo zawołaną aluzję. Bernard sugerował, że jego żona nie umie wywrzeć odpowiedniej presji na bank, kiedy jednak sam skontaktował się z wydziałem funduszy powierniczych, doradcy finansowi Marie-Ange w jednoznaczny sposób poinformowali go, że w żadnym razie nie wyrażą zgody na zaciągnięcie pożyczki.

- Drzwi są zamknięte - oświadczyli. Bernard nie ukrywał oburzenia.

- To ty im poradziłaś, żeby rozmawiali ze mną w taki sposób? - zapytał podejrzliwie.

Marie-Ange poczuła się głęboko urażona. Bernard uważał najwyraźniej, że usiłuje rzucać mu kłody pod nogi.

- Oczywiście że nie, ale nie zapominaj, że wydaliśmy majątek na oba domy.

Nie chciała mu wypominać, że wydał też co najmniej milion dolarów na dzieła sztuki i spłatę innych długów. Jej doradcy finansowi oświadczyli, że mają zamiar dbać o jej interesy w bardziej zdecydowany sposób. Przypomnieli również, że musi myśleć o przyszłości swojej i swoich dzieci, i skoro sama nie umie powstrzymać męża, to oni są gotowi uczynić to w jej imieniu i dla jej dobra.

Przez następnych kilka dni Bernard zachowywał się jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę. Wściekał się i obrzucał ją oskarżeniami, dąsał się jak rozpieszczone dziecko. W czasie posiłków siedzieli przy stole w kamiennym milczeniu, a po czterech dniach Bernard pojechał do Paryża. Wrócił pod koniec tygodnia i wtedy poprosił Marie-Ange na rozmowę do swego gabinetu. Powiedział jej, że jawna nieufność, jaką wobec niego demonstruje ona oraz jej bankierzy, którzy traktują go jak zwykłego żigolaka, skłania go do zastanowienia się, czy jej nie opuścić. Nie zamierza pozwolić, aby ktokolwiek odnosił się do niego w ten sposób i nie chce żyć w małżeństwie, które nie opiera się na wzajemnym zaufaniu.

- Od chwili, kiedy cię poznałem, mam na względzie wyłącznie twoje dobro, Marie-Ange - oznajmił urażonym tonem. - Mój Boże, kiedy pomyślę, że pozwoliłem ci zamieszkać w Marmouton, chociaż w ogóle cię jeszcze wtedy nie znałem, tylko dlatego, iż zdawałem sobie sprawę, jakie to dla ciebie ważne... Ach, szkoda słów! Wydałem majątek na renowację zamku, ponieważ jest to pamiątka twojego

utraconego dzieciństwa. Kupiłem dom w Paryżu, bo uznałem, że zasługujesz na bardziej ekscytujący styl życia niż ciągle przesiadywanie w Marmouton. Od samego początku bez wytchnienia pracuję dla ciebie i naszych dzieci, a teraz odkryłem, że mi nie ufasz. Nie mogę w ten sposób żyć!

Marie-Ange była przerażona jego słowami, lecz w jeszcze większą panikę wprowadziła ją myśl o odejściu Bernarda. Miała dwoje małych dzieci i nie mogła wykluczyć, że jest w ciąży z trzecim. Kiedy wyobraziła sobie, że Bernard zostawi ją zupełnie samą, zmartwiła ze strachu i była gotowa dać mu absolutnie wszystko. W jednej chwili zapomniała, że ogromne koszty restauracji Marmouton poniosła ona sama, nie Bernard, a także o tym, że majątek, który wydał, aby rzekomo sprawić jej przyjemność, należał do niej. To ona zapłaciła za dom w Paryżu, który Bernard kupił, nie pytając jej nawet o zdanie, podobnie jak parę dni temu zawarł umowę na kupno szybu naftowego za milion sześćset tysięcy dolarów. Nie myślała o tym wszystkim, opanowana pragnieniem, aby zatrzymać męża przy sobie.

- Przepraszam, Bernardzie... - powiedziała, zgnębiona i drżąca ze strachu. - Przepraszam cię... To nie moja wina. Bank nie chce pożyczyć mi pieniędzy.

- Nie wierzę, że starałaś się ich przekonać, a więc jednak to twoja wina - rzucił ostro. - Ci ludzie pracują dla ciebie, Marie-Ange. Powiedz mi, czego od nich wymagasz, chyba że zależy ci, żeby publicznie mnie upokorzyć, odmawiając spłaty długu, który zaciągnąłem ze względu na ciebie. To ty, Robert i Heloise odnieśliście korzyści z tej inwestycji, prawda?

Bernard oskarżał ją, przybierając pozę skrzywdzonej niewinności, ona zaś czuła się tak, jakby wymierzyła mu strzał prosto w serce. Tragedia polegała na tym, że w odwecie Bernard postanowił złamać jej serce.

- Ci ludzie nie są moimi pracownikami, Bernardzie, czuwają tylko nad zabezpieczeniem mojego majątku, dobrze o tym

wiesz. To oni podejmują decyzje, nie ja. - Jej oczy błęgały go, by wybaczył jej, że nie może dać mu więcej pieniędzy.

- Wiem, że mogłabyś podać ich do sądu, naturalnie gdybyś chciała - warknął.

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Chcesz, żebym to zrobiła? - zapytała niepewnie.

- Gdybyś mnie kochała, nie wahałabyś się ani chwili.

Bernard postawił sprawę na ostrzu noża, lecz następnego dnia, gdy znowu zadzwoniła do banku, otrzymała tę samą odpowiedź. Kiedy zaś zagroziła doradcom procesem, bez wahania oświadczyli, że przegra. Mogli bez trudu wykazać, jak szybko i nierozważnie wydała ogromną sumę pieniędzy. W tych okolicznościach żaden sędzia nie zgodziłby się na uchylene postanowień funduszu. Marie-Ange miała zaledwie dwadzieścia trzy lata i doradcy wiedzieli, że Bernard zrobi na przysięgłych wrażenie wyjątkowo chciwego, wręcz nienasyconego człowieka.

Gdy powtórzyła tę rozmowę Bernardowi, oznajmił chłodno, że wkrótce powiadomi ją o swojej decyzji co do ich dalszej przyszłości. Marie-Ange zdawała sobie sprawę, że w tym stwierdzeniu zawarta jest groźba. Bernard zaszantażował ją już odejściem, jeśli nie pokryje jego długu, a termin wykupu weksła przypadał za niecałe dwa tygodnie.

W wieczór ich gwiazdkowego przyjęcia była nadal nieprzytomna ze zdenerwowania, ponieważ Bernard od wielu dni w ogóle się do niej nie odzywał. Czuł się upokorzony i obrażony, i mścił się na niej. Witając gości, nie mogła otrząsnąć się z uczucia zagubienia i wielkiego smutku. Bernard był jak zwykle elegancki, dystyngowany i spokojny. Miał na sobie nowy smoking, który kazał sobie uszyć w Londynie, i również robione na zamówienie buty z najlepszej skóry. Marie-Ange włożyła czerwoną satynową suknię, którą Bernard ponad miesiąc temu kupił jej u Diora. Nie miała najmniejszej ochoty odgrywać roli pogodnej pani domu, ponieważ umierała ze

strachu i zmartwienia, że Bernard opuści ją zaraz po Nowym Roku, stwierdziwszy, iż nie pokryła jego długu. Codziennie zarzucał jej, że nie rozumie, ile on dla niej zrobił i nadal robi.

Nie odezwał się do niej ani słowem, kiedy poprowadzili gości do sali jadalnej na kolację, a później, gdy zespół muzyczny zaczął grać, prosił do tańca wszystkie kobiety po kolei, z wyjątkiem własnej żony. Dla Marie-Ange był to pod każdym względem bolesny wieczór.

Prawie wszyscy goście pożegnali się już i opuścili Marmouton, gdy w kuchni ktoś poczuł zapach dymu. Alain Fournier, który pomagał znosić naczynia i uprzątać jadalnię, powiedział, że rozejrzy się, czy coś się nie pali. Najpierw kucharka i dostawcy gotowych potraw upierali się, że dym wydobywa się z nie do końca wyczyszczonego pieca, potem zaś ktoś inny stwierdził, że przyczyną mogą być palące się w całym domu świece, albo może nie zgaszone cygaro. Alain uznał, że najlepiej będzie, jeśli sam sprawdzi, co się dzieje. Na drugim piętrze zauważył, że jedna ze świec jest przechylona za daleko w kierunku ciężkich aksamitnych zasłon. Obszycie kotary zapaliło się w mgnieniu oka i nim Alain dobiegł na miejsce, płonął już cały bok zasłony.

Alain zerwał ją z drążka, rzucił na podłogę i zaczął deptać płomienie, lecz w tej samej chwili dostrzegł, że ogień w jakiś sposób przeniósł się już na drugą stronę korytarza i druga część kotary również pali się wielkim płomieniem. Krzyknął, ale nikt go nie usłyszał. Rozpaczliwie próbował zgasić ogień, nim rozprzestrzeni się dalej. Wzywał pomocy, lecz na dole grała jeszcze muzyka i jego wysiłki na nic się zdały. Płomienie przeskakiwały z jednego kawałka tkaniny na drugi, niczym w jakimś koszmarnym śnie, i w ciągu kilku sekund cały korytarz na drugim piętrze zaczął się palić. Ogień szybko zbliżał się do schodów.

Nie wiedząc, co robić, Alain pognał do kuchni, kazał ludziom przynieść na górę wiadra z wodą, krzyknął, aby ktoś zadzwonił

po straż pożarną i pobiegł do salonu ostrzec gości i gospodarzy. Gdy Marie-Ange usłyszała, co się dzieje, natychmiast pobiegła w kierunku schodów. Dogoniła Alaina i obydwójce równocześnie dotarli do korytarza drugiego piętra, który teraz przypominał ognisty tunel. Marie-Ange wiedziała, że musi przedostać się między płomieniami, ponieważ piętro wyżej spały jej dzieci. Rzuciła się naprzód, ale powstrzymali ją mężczyźni, którzy w tej samej chwili nadbiegli z kuchni, aby gasić pożar. Trzymali ją mocno, bo gdyby w swojej szerokiej sukni przebiegła między płonącymi ścianami, w ciągu sekundy zamieniłaby się w ognistą pochodnię.

- Puśćcie mnie! - krzyknęła, usiłując wyrwać się z ich ramion.

Właśnie wtedy kątem oka dojrzała Bernarda, który minął ich, kierując się ku schodom prowadzącym na drugie piętro. Marie-Ange wyszarpnęła się mężczyznom i pobiegła za mężem. Zobaczyła otwarte drzwi do pokoju Roberta i pełen dymu korytarz, potem zaś Bernarda, który z chłopcem na rękach wpadł do pokoju, gdzie spała Heloise. Marie-Ange wbiegła tam tuż za nim. Heloise obudziła się, słysząc głosy rodziców. Marie-Ange nachyliła się i chwyciła ją w ramiona. Z korytarza słychać było coraz głośniejszy trzask płomieni, na dole krzyczeli ludzie. Marie-Ange obejrzała się i ujrzała, że pożar ogarnął już schody łączące pierwsze i drugie piętro. Wiedziała, że okna na drugim piętrze są bardzo małe, więc natychmiast zrozumiała, że jeśli nie uda im się przedostać z powrotem na dół, nie zdołają się uratować. Odwróciła się i rzuciła Bernardowi pełne rozpaczy spojrzenie.

- Pójdę po pomoc - rzucił, nie ukrywając przerażenia. - Zostań tu z dziećmi. Straż pożarna jest już w drodze. Jeżeli okaże się to konieczne, biegnij na dach i tam czekaj na ratunek!

Położył Roberta w łóżeczku Heloise i rzucił się po schodach na dół. Marie-Ange patrzyła za nim w panice. Bernard zatrzymał się na ułamek sekundy przy drzwiach prowadzących na dach i na oczach żony schował klucz do kieszeni. Zawołała,

aby rzucił jej klucz, ale on odwrócił się i zniknął. Była przekonana, że pobiegł po pomoc, ale zostawił ją na drugim piętrze samą z dwójgiem dzieci, samą pośrodku morza rozszalałych płomieni.

Zanim odszedł, powiedział, że nie chce, aby próbowała przedostać się przez ogień na pierwsze piętro, bo tu, na górze, będzie bezpieczniejsza. Teraz jednak Marie-Ange, obserwując zbliżające się płomienie, uświadomiła sobie, że Bernard się pomylił. Z oddali dobiegło przejmujące wycie syren, ale dla niej stanowiło to niewielką pociechę. Dzieci płakały głośno, a malutki Robert zaczął krztusić się dymem. Spodziewała się, że lada chwila zobaczy Bernarda na czele grupy ludzi z wiadrami lub strażaków, lecz huk pożaru zagłuszał wszelkie odgłosy z zewnątrz i z pierwszego piętra. Parę sekund później usłyszała głośny trzask. Jedna ze stropowych belek spadła i zablokowała klatkę schodową. Bernard nie nadchodził z pomocą i Marie-Ange rozplakała się bezradnie, tuląc do siebie dzieci.

Po chwili wsadziła je do łóżeczka Heloise i podbiegła, by otworzyć drzwi wiodące na dach, lecz były zamknięte. Bernard przekręcił klucz w zamku i schował go do kieszeni... Nagle Marie-Ange ujrzała przed sobą oszpeconą bliznami twarz Louise de Beauchamp i usłyszała jej głos. W tej chwili niezwykłego napięcia pojęła, że wszystko, co powiedziała o Bernardzie Louise, było prawdą. Zostawił ją tutaj z dziećmi, oddawszy jej drogę ucieczki na dach, a tym samym wszelką możliwość ratunku.

- Nie bójcie się, dzieci - powtarzała raz po raz, gorączkowo biegając od jednego małego okienka do drugiego. - Nie bójcie się, nic nam się nie stanie...

Kiedy wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła Bernarda. Stał na podjeździe przed wejściem, szlochając histerycznie i wymachując ramionami w ich kierunku. Mówił coś do zgromadzonych wokół niego ludzi i bezradnie potrząsał głową. Marie-Ange nie musiała wysilać wyobraźni, aby zrozumieć, że

jej mąż opowiada, iż widział ich troje martwych, albo że bezskutecznie próbował przedrzeć się do nich, ale musiał zostawić ich własnemu losowi, ponieważ odgradziła ich od niego ściana ognia. Bernard usiłował spowodować, aby nikt nie przyszedł im na pomoc.

Otworzyła wszystkie okna, żeby dzieci mogły oddychać świeżym powietrzem i zaczęła przebiegać z jednego pokoju do drugiego, osłaniając maleńkie główki przed fruującymi wokół iskrami. I wtedy niespodziewanie przypomniała sobie małą łazienkę, której nigdy nie używali. Było to jedyne pomieszczenie na drugim piętrze, w którym znajdowało się nieco większe okno. Gdy tam dotarła, odkryła, że bez trudu je otworzy. Stała w otwartym oknie i zaczęła krzyczeć.

- Tutaj! Jestem tutaj! Tu, jestem tu z dziećmi!

Wrzeszczała ze wszystkich sił, wymachując wolną ręką. Przez kilka chwil, które wydawały jej się wiecznością, nikt nie patrzył w stronę otwartego okna, lecz nagle jeden ze strażaków musiał usłyszeć, bo podniósł wzrok i dostrzegł ją. Przywołał kilku innych i pobiegli po drabinę. Bernard zauważył, co się stało i spojrzał w górę. Marie-Ange ujrzała na jego twarzy wyraz nieskrywanej nienawiści. Nie miała już żadnych wątpliwości, kto jest sprawcą pożaru. Była pewna, że Bernard podłożył ogień gdzieś na pierwszym piętrze, w pobliżu klatki schodowej. Zależało mu, żeby płomienie dotarły na drugie piętro, gdzie znajdowały się pogrążone w głębokim śnie dzieci. Wiedział, co zrobi Marie-Ange - pobiegnie do Heloise i Roberta, i razem z nimi znajdzie się w pułapce. Nie przez roztargnienie zamknął drzwi, przez które można było przedostać się na dach, i zabrał klucz. Chciał pozbyć się ich trojga i nadal mogło mu się to jeszcze udać. Strażacy przystawili drabiny do murów zamku, szybko się jednak zorientowali, że są one zbyt krótkie, aby dotrzeć do uwięzionej na drugim piętrze Marie-Ange. Bernard obserwował ich rozpaczliwe starania i nagle zaczął histerycznie szlochać, tak jak w noc śmierci synka Louise. Po plecach Marie-

Ange przebiegł zimny dreszcz. Nie miała pojęcia, jak ratować dzieci, wiedziała też, że jeżeli ona, Heloise i Robert zginą, Bernard odziedziczy cały jej majątek. Gdyby w pożarze śmierć poniosła tylko ona, dostałby tylko jedną trzecią. Motyw jego działania był zupełnie jasny. Marie-Ange czuła się tak, jakby ktoś rozciął jej klatkę piersiową i wyrwał z niej serce. Bernard próbował zamordować nie tylko ją, ale i swoje dzieci.

Trzymała dzieci jak najbliżej okna, aby nie wdychały dymu. Drzwi łazienki były zamknięte, a ryk płomieni nasilał się coraz bardziej. Była pewna, że ogień dotarł już do korytarza, a może nawet do najbliższego pokoju. Nie słyszała, co krzyczą do niej strażacy, ale trzech z nich rozpięło siatkę na dole. Nie spuszczała wzroku z ich warg, starając się zrozumieć, co usiłują jej powiedzieć. Stojący z prawej strony strażak uniósł jeden palec. Jeden, powtarzał. Po jednej osobie, nie wszyscy naraz. Marie-Ange posadziła Heloise na podłodze u swoich stóp, pocałowała Roberta w czoło i wysunęła go za okno, najdalej jak mogła. Strażacy przesunęli się pospiesznie, napinając siatkę. W chwili gdy wypuściła synka z rąk, miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Widziała, jak spadał, odbił się od siatki niczym mała piłka i na sekundę znieruchomiał. Zaraz jednak poruszył się i jeden ze strażaków chwycił go na ręce. Bernard podbiegł do nich i wyrwał synka mężczyźnie. Marie-Ange patrzyła na męża z nienawiścią w sercu.

Potem podniosła Heloise, która kurczowo przywarła do jej nóg, przytuliła ją i wychyliła się z nią daleko za okno. Dziewczynka krzyczała, kopała i wyrwała się ze wszystkich sił. Marie-Ange usiłowała ją uspokoić, wysunęła dłonie spod ramionek córeczki. Heloise spadła na środek siatki, podobnie jak wcześniej Robert. Strażacy postawili ją na ziemi, lecz Bernard zaraz chwycił ją w ramiona i uniósł wysoko. Teraz wszyscy wpatrywali się w Marie-Ange. Spojrzała w dół. Miała wrażenie, że siatka znajduje się bardzo daleko. Okno było małe i wiedziała, że trudno jej będzie przecisnąć się przez nie i stanąć

na gzymsie po zewnętrznej stronie muru. Była jednak absolutnie świadoma tego, że jeśli nie skoczy, jej dzieci trafią w ręce Bernarda, i Bóg jeden wie, jaki los je spotka. Bernard zrobi wszystko, aby zagarnąć należącą do nich część majątku. Była przekonana, że Heloise i Robert ani przez chwilę nie będą przy nim bezpieczni. Wspięła się na parapet i usiadła na nim ostrożnie, sztywno wyprostowana. Zachwiała się, kiedy powietrze rozdarł huk eksplozji. Wszystkie szyby w oknach na pierwszym piętrze rozprysły się na drobne kawałki. Było tylko kwestią czasu, kiedy strop się załamie i runie, zabierając ją ze sobą...

- Skacz! - krzyczeli strażacy. - Skacz!

Ale ona siedziała nieruchomo i nie mogła nic zrobić, aby jej pomóc. Próbowali dodawać jej odwagi, lecz Marie-Ange ich nie słyszała. Zaciskała dłonie na drewnianej futrynie i nie mogła zdobyć się na skok. Przed oczami miała twarz Louise de Beauchamp. Teraz wiedziała już, co biedna kobieta czuła tamtej nocy, kiedy zyskała pewność, że to Bernard podpalił dom, aby pozbawić życia ją i jej synka. Marie-Ange zrozumiała nagle, że musi skoczyć, aby ocalić dzieci i powstrzymać Bernarda. Spróbowała się poruszyć, lecz strach zupełnie ją sparaliżował.

Bernard oddał dzieci komuś ze służby i krzyczał coś do niej. Wszyscy patrzyli teraz na Marie-Ange. Bernard, gdy zorientował się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, odwrócił się twarzą do niej i posłał jej drwiący uśmiech. Cieszył się, że jest zbyt przerażona, aby skoczyć. Nie wątpił, że po jej śmierci otrzyma lwią część pieniędzy i będzie mógł zrobić z nimi, co zechce. Nie udało mu się zabić pierwszej żony, lecz tym razem był pewien sukcesu. Kto będzie następny, pomyślała Marie-Ange. Kto? Heloise czy Robert? A może i jedno, i drugie? Ile istnień ludzkich zniszczy, zanim ktoś go wreszcie powstrzyma? W uszach brzmiał jej głos Louise, kiedy opowiadała o śmierci Charles'a. I nagle poczuła, jakby Louise mówiła do niej tuż obok. „Skacz, Marie-Ange! Skacz! Teraz!”

Usłyszała tego głosu i wreszcie skoczyła. Szeroka spódnica czerwonej sukni wydeła się wokół niej jak spadochron. Spadła na siatkę i na chwilę straciła oddech. Pierwszą twarzą, jaką ujrzała nad sobą, gdy otworzyła oczy, była twarz Bernarda. Płakał i wyciągał do niej ramiona, lecz ona gwałtownie szarpnęła się do tyłu. Kiedy się wahała, czy skoczyć, zobaczyła w jego oczach nienawiść, i teraz wszystko już rozumiała. Bernard naprawdę był potworem, człowiekiem, który gotów był zabić troje dzieci, w tym dwoje własnych, i dwie kobiety, a wszystko po to, aby zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy. Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem i odwróciła głowę.

- Mój mąż próbował nas zabić - powiedziała spokojnie, zaskoczona równym, pewnym brzmieniem swojego głosu i słowami, które wydobyły się z jej ust. - Zamknął drzwi prowadzące na dach i zabrał ze sobą klucz, żebyśmy nie mogli uciec. Zostawił nas tam na śmierć.

Bernard cofnął się, jakby go uderzyła.

- To nie jest jego pierwsza próba zabójstwa - ciągnęła głośno, bez śladu niepewności, tak aby wszyscy ją słyszeli. Bernard zniszczył wszystko, co było jej drogie i wiedziała, że nigdy mu tego nie wybaczy. - Parę lat temu podpalił dom swojej pierwszej żony. W pożarze zginął wtedy jej czteroletni synek. - Spojrzała Bernardowi prosto w oczy i teraz również ujrzała w nich płomienną nienawiść. - Próbowałeś nas zabić - rzekła dobitnie.

Bernard podniósł dłoń, jakby chciał wymierzyć jej policzek, ale zaraz się opanował.

- Ona kłamie! - wykrzyknął. - Nie wie, co mówi! Zawsze była niezrównoważona!

Ściszył głos i starał się uspokoić. Stojący obok niego komendant straży pożarnej nie spuszczał wzroku z twarzy Marie-Ange, która bynajmniej nie zrobiła na nim wrażenia niezrównoważonej.

- Zupełnie się załamała - ciągnął Bernard. - Jest w szoku.

- Podłożyłeś ogień, Bernardzie - powiedziała lodowatym głosem Marie-Ange. - Zostawiłeś nas tam i zabrałeś klucz. Chciałeś, żebyśmy zginęli, bo wtedy dostałbyś wszystkie pieniądze. Szkoda, że sam nie spłonąłeś, ale może następnym razem szczęście cię opuści...

Gdy skończyła mówić, policjant z miejscowego posterunku, który przyjechał do zamku równocześnie ze strażą pożarną, dyskretnie przesunął się w kierunku Bernarda. Jeden ze strażaków szepnął mu coś do ucha i policjant położył rękę na ramieniu Bernarda. Usiłował przekonać hrabiego, aby spokojnie udał się na posterunek i odpowiedział na kilka pytań. Bernard oczywiście odmówił i dał wyraz swemu oburzeniu.

- Jak pan śmie! - krzyknął. - Dlaczego słuchacie, co ona mówi?! To wariatka!

- A Louise? - odezwała się Marie-Ange, po której twarzy spływały teraz duże krople łez. - Czy ona także jest wariatką? A co z Charles'em? Miał cztery latka, kiedy go zabiłeś!

Rozpląkała się głośno. Jeden ze strażaków narzucił na jej ramiona gruby koc. Noc była bardzo zimna. Pożar został już prawie zupełnie ugaszony, lecz z zamku Marmouton pozostały tylko mury.

- Panie hrabio, mam nadzieję, że pójdzie pan z nami dobrowolnie - powiedział policjant. - Jeżeli jednak będzie pan stawiał opór, uprzedzam, że będę musiał założyć panu kajdanki.

- Dopilnuję, żebyś stracił za to pracę, durniu! - wrzasnął Bernard. - To skandal!

Po chwili jednak poszedł w stronę policyjnego wozu i bez słowa zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Marie-Ange została sama z dziećmi, kilkoma mężczyznami z farmy, którzy przybiegli, aby ratować zamek, i kucharką. Robertowi podano tlen i teraz chłopczyk był zupełnie spokojny, chociaż drżał z zimna. Heloise mocno spała w ramionach strażaka, zupełnie jakby nic się nie stało. Alain Fournier zaproponował, aby Marie-Ange z dziećmi spędziła resztę nocy w jego domu.

Patrząc na dogasający pożar, młoda kobieta zdała sobie sprawę, że oto znowu zaczyna wszystko od zera, ale wydało jej się to zupełnie nieważne. Jej dzieci ocalały i były zdrowe, ona także, i nic poza tym nie miało najmniejszego znaczenia.

Stała jeszcze przez długą chwilę, następnie poszła do domu Alaina, położyła dzieci i okryła je ciepło. Jej samej nie udało się już zasnąć. Rano do drzwi zapukało dwóch policjantów, którzy chcieli z nią pilnie porozmawiać. Zostawiła więc dzieci z matką Alaina, która przyszła, aby jej pomóc, i cicho zamknęła za sobą drzwi domu zarządcy. Nie chciała, by Alain i jego matka usłyszeli, co ma do powiedzenia na temat swego męża. Policjanci zadali jej mnóstwo pytań i poinformowali ją, że strażacy znaleźli ślady nafty na podłodze korytarza na pierwszym piętrze zamku oraz na schodach prowadzących do pokojów dzieci. Śledztwo w tej sprawie miało rozpocząć się jeszcze tego samego dnia, lecz już na podstawie istniejących dowodów i zeznań Marie-Ange policja mogła sporządzić akt oskarżenia przeciwko Bernardowi. Marie-Ange opowiedziała policjantom o tragedii Louise de Beauchamp i podała im numer telefonu i adres. Policjanci podziękowali i odjechali.

Po południu Marie-Ange wynajęła w miejscowym hotelu pokój dla siebie i dla dzieci. Madame Fournier zgodziła się przychodzić rano, aby zająć się Heloise i Robertem. Mieszkali w hotelu przez tydzień i Marie-Ange codziennie odpowiadała na pytania policji i straży pożarnej. Kiedy ruiny Marmouton ostygły, wróciła, aby sprawdzić, czy coś ocalało. Znalazła trochę sreber stołowych, kilka posążków i jakieś narzędzia. Poza tym wszystko spłonęło lub uległo zniszczeniu. Przedstawiciele agencji ubezpieczeniowej obejrzel już miejsce pożaru, nie było jednak pewne, czy wypłacą cokolwiek, ponieważ podejrzanym o podpalenie był właściciel zamku.

Do Louise de Beauchamp Marie-Ange zadzwoniła dopiero po paru dniach, kiedy odzyskała już względną równowagę ducha. Szok wywołany pożarem i ostatecznym odkryciem

prawdziwych zamiarów Bernarda był większy, niż przypuszczała. Nie chodziło tylko o to, że ona i dzieci znalazły się w strasliwym niebezpieczeństwie, a Marmouton spłonęło. Straciła także swoje nadzieje, marzenia, męża i zaufanie, jakim go darzyła. Bernard przebywał w lokalnym więzieniu, gdzie zatrzymano go do czasu zakończenia przesłuchań i nie widziała się z nim ani razu od tamtej tragicznej nocy. Nie chciała z nim rozmawiać, pragnęła tylko zapytać go, dlaczego to zrobił, dlaczego tak bardzo ją nienawidził i czemu chciał zabić ich dzieci. Była przekonana, że nigdy tego nie zrozumie, ale przecież jego motywy były jasne. Bernard chciał zabić ich troje dla pieniędzy.

Podczas rozmowy telefonicznej podziękowała Louise za ostrzeżenie. Gdyby nie wiedziała, co spotkało Louise, niewykluczone, że nadal byłaby dość głupia i naiwna, by uwierzyć, iż Bernard wróci po nią i po dzieci. Wtedy nigdy nie wydostaliby się przez okno w łazience. Nie ulegało też wątpliwości, że Marie-Ange wzięłaby jego histeryczne demonstracje rozpacz za dobrą monetę. Jedno było pewne - nigdy, do końca życia nie zapomni wyrazu nienawiści w jego oczach, kiedy wpatrywał się w nią z podjazdu przed płonącym zamkiem i modlił się, aby nie znalazła w sobie dość siły i wiary, żeby skoczyć.

- Wydawało mi się wtedy, że nagle usłyszałam pani głos - powiedziała Marie-Ange. - Tak strasznie się bałam... Mało brakowało, a bym nie skoczyła. Tylko w głowie mi kołatało, co Bernard zrobi z moimi dziećmi, jeśli nie przeżyję... I wtedy usłyszałam, jak mi pani mówi, żebym skoczyła... I zrobiłam to.

- Cieszę się - rzekła cicho Louise. Przypomniała, że w każdej chwili gotowa jest złożyć obciążające Bernarda zeznania, a Marie-Ange powiedziała jej, że policja na pewno się z nią skontaktuje. - Teraz jest już pani bezpieczna - dodała Louise. - I dzieci także. Biedny Charles padł ofiarą chciwości tego drania, ale na to nic już nie poradzimy...

- Strasznie mi przykro - powtórzyła Marie-Ange.

Rozmawiały jeszcze dość długo, pocieszając się nawzajem. Marie-Ange była przekonana, że ostrzeżenie Louise uratowało ją w tym samym stopniu, co rozpięta przez strażaków siatka i jej własna wiara.

Niedługo potem Marie-Ange pojechała z dziećmi do Paryża. Postanowiła już, że sprzeda dom przy rue de Varenne razem ze wszystkim, co się w nim znajduje. Nie miała ochoty zatrzymywać się w mieszkaniu Bernarda, lecz w końcu zdecydowała, że tak będzie najlepiej, ponieważ właśnie tam znajdowały się wszystkie rzeczy jej i dzieci. Bernard nie był już w stanie wyrządzić im żadnej krzywdy. Przed jej wyjazdem z Marmouton próbował się z nią skontaktować, ale nie zamierzała z nim rozmawiać. Nie chciała go więcej widzieć, nigdzie poza salą sądową, i miała nadzieję, że za to, co zrobił Louise i Charles'owi oraz jej i dzieciom, zostanie skazany na dożywocie. Prawdziwa tragedia polegała na tym, że przecież kochała go kiedyś, ufała mu i wierzyła w jego miłość.

Był Sylwester, kiedy wreszcie zadzwoniła do Billy'ego. Spędzała ten wieczór razem z dziećmi i myślała o swoim najlepszym przyjacielu. Ostatnio dużo zastanawiała się nad życiem, wartościami i ideałami, zniszczonymi marzeniami i niespełnionymi snami. Zrozumiała, że dla Bernarda była od samego początku celem, który należy osiągnąć, źródłem pieniędzy, z którego korzystałby aż do wyczerpania. Na szczęście doradcy strzegący jej funduszu okazali się ostrożniejsi od niej i była im za to bardzo wdzięczna. Dwa dni temu powiedzieli, że po sprzedaży domu w Paryżu powinna odzyskać pewną część straconych pieniędzy.

- Co robisz w domu w taki wieczór? - zapytał Billy. - Dlaczego nie jesteś na przyjęciu? W Paryżu jest chyba właśnie północ.

- Jest już parę minut po północy - odpowiedziała.

W Iowa była dopiero piąta po południu. Billy zamierzał spędzić spokojny wieczór w domu, z rodziną i narzeczoną.

- Więc dlaczego nie tańczysz na wielkim balu, pani hrabino? - zażartował.

Marie-Ange nie uśmiechnęła się w odpowiedzi. Nie śmiała się od ponad dwóch tygodni.

Opowiedziała Billy'emu o pożarze i o tym, co próbował zrobić Bernard, a także o Louise i Charles'u, o pieniądzach, które od niej wyłudził. W największym stopniu skupiła się jednak na chwilach, które spędziła z dziećmi, zamknięta w łazience, nasłuchując przerażającego huku zbliżającego się ognia. Powiedziała Billy'emu, jak rzuciła dzieci na rozpiętą siatkę i w końcu skoczyła sama. Kiedy Billy wreszcie się odezwał, jego głos załamywał się ze wzruszenia.

- Boże, mam nadzieję, że ten bandyta nigdy nie wyjdzie z więzienia! - zawołał.

Nigdy nie ufał Bernardowi. Wyjazd Marie-Ange do Francji, spotkanie z Bernardem i małżeństwo - wszystko to wydarzyło się zbyt szybko. Marie-Ange zawsze powtarzała, że jest z Bernardem szczęśliwa i przez pewien czas rzeczywiście w to wierzyła, lecz teraz, patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że już od dawna nie była spokojna i zadowolona. Zastanawiała się nawet, czy pragnienie posiadania dzieci, któremu tak często dawał wyraz Bernard, nie wynikało po prostu z tego, że chciał jak najmocniej przywiązać ją do siebie.

- I co teraz? - zapytał Billy, zmartwiony i wstrząśnięty.

- Nie wiem. Przesłuchania rozpoczną się za miesiąc, Louise i ja musimy tutaj być. Zostanę w Paryżu, dopóki nie zdecyduję, co dalej. Z Marmouton zostały tylko ruiny. Powinnam chyba sprzedać całą posiadłość - rzekła ze smutkiem.

- Jeżeli chcesz, możesz przecież odbudować zamek - powiedział Billy, próbując poprawić jej nastrój.

Ponad wszystko na świecie pragnął znaleźć się teraz przy niej i otoczyć ją ramionami. Jego matka usłyszała jego zmieniony głos i wyprosiła z kuchni wszystkich, nawet Debbi.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym odbudować Marmouton - rzekła szczerze Marie-Ange. Naprawdę nie wiedziała, co powinna zrobić. - Wydarzyło się tam tyle strasznych rzeczy, Billy...

- Ale także dobrych. Wydaje mi się, że musisz mieć trochę czasu, by spokojnie to przemyśleć. Może przyjechałabyś tutaj na krótki odpoczynek?

Ten pomysł od razu jej się spodobał, nie chciała jednak mieszkać w hotelu. Wiedziała też, że nie może zjawić się na farmie z dwójką małych dzieci, ponieważ matka Billy'ego na pewno czułaby się w obowiązku jej pomagać, a to po prostu nie wchodziło w grę. Na farmie wszyscy mieli swoje zajęcia i przez cały dzień ciężko pracowali.

- Może... - odparła niepewnie. - Nie będę tylko mogła przyjechać na twój ślub w czerwcu, Billy. Muszę być we Francji, bo proces jeszcze się nie zakończy.

- Nic nie szkodzi.

- Co masz na myśli? - zapytała ze zdumieniem, trochę zaskoczona tą uwagą.

- Sam nie wiem. Zastanawiamy się, czy nie przełożyć ślubu na następny rok. Bardzo się lubimy, ale czasami wydaje mi się, że to może za mało. Małżeństwo to związek na zawsze, a to poważna sprawa. Moja mama mówi, żebyśmy się nie spieszyli, a Debbi ciągle powtarza, że chce mieszkać w Chicago. Wiesz, jak jest na naszej farmie i w ogóle w Iowa. Nie mamy tu wielu rozrywek.

- Powinieneś przywieźć Debbi do Paryża.

Miała nadzieję, że Billy i Debbi mimo wszystko wezmą ślub i będą szczęśliwi. W jej oczach nikt nie zasługiwał na szczęście tak bardzo jak Billy. Ona już miała swoją szansę i straciła ją. Teraz pragnęła tylko spokoju. Chciała wychować dzieci i dać im

poczucie bezpieczeństwa. Nie wyobrażała sobie, aby po tragedii, którą przeżyła, mogła jeszcze zaufać jakiemuś mężczyźnie. Ale przynajmniej znała Billy'ego i kochała go jak brata. Bardzo potrzebowała teraz przyjaciela.

Nagle przyszedł jej do głowy doskonały pomysł.

- A może ty przyjechałbyś do Paryża? - zapytała. - Mógłbyś zatrzymać się w moim mieszkaniu, Billy. Tak bardzo chciałabym cię zobaczyć...

Billy był jedyną osobą, której nadal całkowicie wierzyła.

- Ja też chciałbym zobaczyć ciebie i twoje dzieci - powiedział z namysłem.

- Jak tam twój francuski?

- Zapominam po trochu. Nie mam z kim rozmawiać.

- Powinam częściej dzwonić...

Marie-Ange nie zapytała, czy Billy może sobie pozwolić na podróż do Paryża. Nie sądziła, aby było go na to stać, wiedziała jednak, że nie może go obrażać, proponując, że sama pokryje koszty biletu. Wiedziała tylko, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła go znowu ujrzeć.

- Na farmie nie ma teraz dużo pracy, więc spróbuję porozmawiać z ojcem - rzekł Billy. - Prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko temu, gdybym wyjechał na jakieś dwa tygodnie. Zobaczymy. Pomyślę o tym i dam ci znać, dobrze?

- Dziękuję, że zawsze jesteś przy mnie. - Powiedziała to z uśmiechem, który Billy doskonale pamiętał.

- Po to są przyjaciele, Marie-Ange. Chyba wiesz, że zawsze o tobie myślę. Szkoda, że wcześniej nie powiedziałaś mi o swoich podejrzeniach w stosunku do Bernarda. Czasami byłem prawie pewien, że dzieje się coś złego, ale ty powtarzałaś, że wszystko jest w porządku...

- I tak było, w każdym razie do niedawna, naprawdę, Billy. Przerazało mnie, że Bernard wydaje tyle pieniędzy, lecz poza tym wszystko było dobrze.

- Najważniejsze, że nic nie stało się tobie i dzieciom.

- Tak. A gdybym tak pożyczyła ci pieniądze na bilet? - zapytała ostrożnie.

Martwiła się, że Billy nie ma pieniędzy i bardzo bała się go urazić, ale była gotowa zrobić wszystko, żeby go zobaczyć. Czuła się samotna i opuszczona. Ostatni raz widziała go dwa lata temu, lecz miała wrażenie, że od tego czasu minęły całe wieki. I tyle się wydarzyło - wyszła za męża, urodziła dwoje dzieci i tylko cudem nie zginęła z ręki Bernarda.

- Jeżeli pozwolę, byś pożyczyła mi pieniądze na bilet, to czym będę się różnił od twojego męża? - zapytał poważnie.

- Mnóstwem rzeczy. - Zaśmiała się gorzko. - Nie kupisz chyba za te pieniądze szybu naftowego, prawda?

- Muszę się zastanowić. - Billy się roześmiał, lecz zaraz znowu spoważniał. - Pomyślę o tym wszystkim i zadzwonię, gdy coś postanowię.

- Czekam na twój telefon - odrzekła. - Szczęśliwego Nowego Roku, Billy.

- Nawzajem, Marie-Ange. Zrób coś dla mnie, dobrze?

- Co takiego? - Rozmawiając z Billym, czuła, jak powoli opuszczają ją wszystkie troski.

- Postaraj się nie wpaść w żadne kłopoty do mojego przyjazdu.

- Czy to ma znaczyć, że przyjedziesz?

- To znaczy, że zobaczę, co da się zrobić. Na razie uważaj na siebie i na dzieci. A gdyby twojego męża wypuścili jednak z więzienia, to obiecaj mi, że natychmiast przylecisz do Stanów.

- Nie sądzę, aby go wypuścili - odparła, ale była mu bardzo wdzięczna za troskę.

Odłożyła słuchawkę i wślizgnęła się pod kołdrę. Heloise spała razem z nią, a Robert w swoim łóżeczku w pokoju obok. Zasnęła spokojnie, mając przed oczami twarz Billy'ego i uśmiechając się lekko.

Tymczasem Billy rozmawia! właśnie z ojcem. Poprosił go o pożyczkę, a Tom Parker, chociaż trochę zaskoczony pomysłem

wyjazdu do Paryża, zgodził się bez wahania. Billy obiecał, że odda mu pieniądze w ciągu trzech następnych miesięcy. Mógł teraz liczyć na pożyczoną od ojca kwotę i czterysta dolarów, które wcześniej odłożył na miesiąc miodowy.

Gdy wrócił do salonu, jego siostry natychmiast zauważyły, że jest bardzo zdenerwowany. Jedna z nich powiedziała coś do niego, ale nawet nie usłyszał.

- Co się stało, Billy? - zapytała najstarsza.

- Na szczęście nic złego - odparł. Opowiedział im, co spotkało Marie-Ange. Wszyscy słuchali z przerażeniem. Narzeczoną Billy'ego, Debbi, nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Jadę do Paryża - oświadczył Billy. - Marie-Ange ma za sobą straszny okres i muszę pomóc jej wrócić do równowagi. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić.

Nikt z rodziny Billy'ego nie zapomniał, że Marie-Ange przed wyjazdem do Francji podarowała mu porsche.

- Przenoszę się do Chicago - odezwała się nagle Debbi.

Wszyscy umilkli i patrzyli na nią w milczeniu.

- Co to za pomysł? - zapytał Billy. Debbi się zaczerwieniła.

- Chciałam ci o tym powiedzieć już parę dni temu, ale jakoś nie mogłam... Dostałam pracę w Chicago.

- A co z nami? - Billy nie był pewien, czy jest mu przykro, czy się cieszy. Od dawna nie mógł się połapać w swoich uczuciach do Debbi.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Wydaje mi się, że nie bylibyśmy ze sobą szczęśliwi. Nie chcę mieszkać do końca życia na farmie, nienawidzę wsi - dodała szeptem.

- Ale ja mieszkam tu i pracuję - rzeki cicho. - Jestem farmerem, Debbi.

- Mógłbyś robić co innego, gdybyś naprawdę chciał - wymamrotała.

Billy odwrócił wzrok i powoli pokręcił głową.

- Porozmawiajmy na dworze - zaproponował spokojnie, podając Debbi kurtkę.

Wyszli na ganek, a rodzice i rodzeństwo natychmiast zaczęli wymieniać uwagi o Marie-Ange i jej tragedii. Wszyscy nadal nie mogli uwierzyć, że spotkało ją coś takiego. Matka Billy'ego bardzo się o nią martwiła.

- Myślicie, że oni się pobiorą? - zapytała najmłodsza córka Parkerów, wskazując ruchem głowy drzwi prowadzące na ganek.

- Bóg jeden wie - odparła z westchnieniem matka. - Nie mam pojęcia, co dzieje się teraz z ludźmi, po prostu przestałam rozumieć ten świat. Ci, którzy powinni się pobrać, żyją oddzielnie, a ci, którzy nawet nie powinni myśleć o ślubie, pędem biegną do ołtarza. Większość małżeństw rozstaje się po roku, może dwóch. Niewiele jest takich jak nasze - dodała, uśmiechając się do męża.

Kiedy Debbi odjechała, Billy poszedł prosto do swojego pokoju. Nie powiedział nikomu, jak zakończyła się ich rozmowa, i cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozdział dwunasty

Samolot z Chicago już wylądował i Marie-Ange niecierpliwie czekała w hali przylotów, z Heloise w wózku i Robertem na rękach. Ubrana była w spodnie, gruby sweter i ciepły płaszcz, a dzieci miały na sobie identyczne czerwone kurtki, podobne do tych, jakie pamiętała z własnego dzieciństwa. W rękę trzymała czerwoną różę dla Billy'ego.

Wreszcie go zobaczyła. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy codziennie jeździli autobusem do szkoły. Miał na sobie dżinsy, białą koszulę, ciepłą kurtkę i nowe buty na grubych podeszwach, które podarowała mu matka. Zauważył Marie-Ange i ruszył w jej stronę takim samym krokiem jak zawsze, z uśmiechem na ustach.

Bez słowa podała mu różę, a on wziął kwiat i długą chwilę wpatrywał się w twarz dziewczyny, którą kochał. Potem przytulił ją mocno do piersi i poczuł jedwabisty dotyk jej włosów na policzku. I wszystko było jak dawniej. Oboje czuli się tak, jakby po długim rozstaniu wrócili wreszcie do domu. Zawsze byli sobie bardzo bliscy i nawet ostatnie dwa lata nie zdołały ich rozdzielić. Kochali się i nic nie mogło tego zmienić. Nie wiedzieli o tym, ale to samo czuli rodzice Marie-Ange, Françoise i John, kiedy padli sobie w ramiona na ulicy w Paryżu.

Billy wypuścił Marie-Ange z objęć i nachylił się, aby przyjrzeć się jej dzieciom. Powiedział, że są śliczne i bardzo podobne do matki.

Kiedy szli po bagaż, Marie-Ange opowiedziała mu, jak wyglądało pierwsze przesłuchanie. Bernard został oskarżony o trzy próby zabójstwa, a prokuratura wznowiła dochodzenie w sprawie śmierci Charles'a, syna Louise. Zdaniem oskarżyciela Bernardowi groził bardzo surowy wyrok za zabójstwo z premedytacją.

- Mam nadzieję, że go powiesz - rzucił Billy z zajadłością, jakiej nigdy nie słyszała w jego głosie.

Billy nie mógł znieść myśli o jej cierpieniu. Dużo myślał o swoim i jej życiu, w samolocie i wcześniej, po wyjeździe Debbi do Chicago. Postanowili ostatecznie zerwać zaręczyny, lecz jeszcze nie powiedział o tym Marie-Ange. Nie chciał jej zmartwić i przestraszyć.

Billy przyjechał na dwa tygodnie i Marie-Ange chciała pokazać mu cały Paryż. Ułożyła już szczegółowy plan zwiedzania - Luwr, wieża Eiffla, Lasek Buloński, Tuileries i tysiąc innych miejsc. W drugim tygodniu mieli pojechać do Marmouton, aby Billy zobaczył miejsce, w którym się wychowywała. Ponieważ nie mogli przenocować w zamku, wynajęła dwa pokoje w hotelu w miasteczku. Następnego dnia mieli wracać do Paryża. Marie-Ange bardzo zależało, aby pokazać mu swoje ukochane sady, ogród i las, chciała też poprosić go o radę, ponieważ nadal nie potrafiła zdecydować, czy ma odbudowywać zamek, czy sprzedać całą posiadłość. Wiedziała jednak, że jeśli odbuduje Marmouton, wnętrza będą wyglądały tak jak za czasów jej dzieciństwa. Nie chciała luksusowych mebli i drogich dzieł sztuki, jakimi pragnęła nappełnić zamek Bernard.

Kiedy na lotnisku Billy zdjął z taśmy swoją małą torbę, Marie-Ange zrozumiała, że chociaż pozornie nadal był tym samym chłopcem, z którym rozstała się dwa lata temu, w rzeczywistości bardzo się zmienił. Miał teraz dwadzieścia cztery lata i był dorosłym, spokojnym, pewnym swojej wartości młodym mężczyzną. Ona także nie była już tą samą dziewczyną. Dużo przeżyła, była matką dwojga dzieci. I wyszła cało z walki z Bernardem. A teraz Billy był tutaj, znowu przy niej. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej szeroko, potem zaś wziął Roberta z jej ramion.

- Czuję się, jakbym właśnie wrócił do domu - powiedział. - A ty?

Odpowiedziała mu uśmiechem. Spojrzała mu w oczy i zapytała, o czym myśli.

- Jestem szczęśliwy, że zdecydowałaś się skoczyć z tego okna, chociaż tak bardzo się bałaś - rzekł poważnie. - Gdybyś tego nie zrobiła, musiałbym go zabić.

- Ja też się cieszę, że skoczyłam - odparła.

Poszli w stronę wyjścia z lotniska. Wyglądali jak rodzina i z pewnością nawet najuważniejszy obserwator nie domyśliłby się, że nią nie są. Pasowali do siebie.

Marie-Ange myślała w tej chwili tylko o tym, że Billy zostanie z nią przez całe dwa tygodnie. Będą rozmawiali o tym, co przeżyli i o sprawach, o których zawsze rozmawiali. Była szczęśliwa. Czekają ich długie godziny spokojnych pogawędek i cieszenia się swoją obecnością. I oczywiście odkrywania nowych uroków Paryża. Było tak, jakby jakieś drzwi zamknęły się za nimi powoli, a jednocześnie otworzyły się drugie. Za tymi drzwiami czekał nowy świat.

